

SIECI

DRUŻYNA KACZYŃSKIEGO KONTRA III RP.
ROK 2019 TO BITWA O WSZYSTKO

GÓRNY: OD NERONA PRZESZ BOLSEWIKÓW
I NAZISTÓW PO „KLER”. CEL TEN SAM!

WILDSTEIN MOCNO
O „URODZINACH HITLERA”

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 1 (319) 2019
7-13 stycznia 2019

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

JAK AKOWIEC POKONAŁ NIEMIECKIE KŁAMSTWO



KPT. ZBIGNIEW RADŁOWSKI, ŻOŁNIERZ POWSTANIA WARSZAWSKIEGO,
WYGRAŁ PROCES WYTOCZONY NIEMIECKIEJ TELEWIZJI ZDF
ZA ANTYPOLSKIE MANIPULACJE W FILMIE „NASZE MATKI, NASI OJCOWIE”.
PUBLIKUJEMY PORUSZAJĄCE PRZESŁANIE WETERANA DO MŁODYCH POLAKÓW

Telewizja na start nawet **6 MIESIĘCY BEZ OPŁAT**



Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z minimalnym zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat” nie dotyczy sprzętu. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Liga Sprawiedliwości” © Warner Bros. „Ucieczka z Dannemory” © Home Box Office, Inc. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

Skąd ta szaleńcza presja obozu III RP na przyjęcie waluty euro?

Z pozoru nie ma to sensu. Oto rok przed wyborami parlamentarnymi establishment III RP zwiększa szaleńczą presję na promowanie w Polsce waluty euro.

I to pomimo nie najlepszych doświadczeń tych państw, które ją przyjęły, choć były zapóźnione w stosunku do najbardziej rozwiniętych państw Unii Europejskiej. A także pomimo dobrej kondycji polskiej gospodarki, która m.in. dzięki własnej elastycznej walucie i samodzielnej polityce monetarnej rozwija się od kilku lat w tempie dającym nadzieję na dogonienie bogatszych.

Co jest celem tej operacji? Warto tu wrócić do wywiadu, którego niedawno udzielił tygodnikowi „Sieci” prezes Narodowego Banku Polskiego prof. Adam Glapiński: „Siły polityczne, które chcą powrócić do władzy, myślą o zapewnieniu swojej dominacji już »na zawsze«. Ma im to umożliwić wejście Polski do strefy euro. Ale bez zmiany prezesa banku centralnego nie będzie to ani łatwe, ani proste, ani szybkie. A może w ogóle nie będzie możliwe”.

Stąd właśnie – zdaniem Glapińskiego – seria medialnych ataków na niego. I dalej: „Strefa euro wciąż ma problemy, nie jest w stanie się zreformować, funkcjonuje od kryzysu do kryzysu. Potrzebny jest silny ruch do przodu. A co byłoby największym sukcesem dla Niemiec, Francji i strefy euro, a co jednocześnie jest w zasięgu ręki? [...] Oczywiście

wciągnięcie Polski do strefy euro. Nieprzypadkowo partie opozycyjne umieściły wejście do strefy euro jako drugi punkt swojego programu, zaraz po »depisizacji«. Dla nowej partii Ryszarda Petru to także rzecz najważniejsza. Wszyscy poprzedni prezesi NBP również wspierają ten kierunek, włącznie z moim bezpośrednim poprzednikiem, który w czasie pełnienia funkcji był stanowczo przeciw, a teraz nagle zmienił zdanie”.

Że za bardzo spiskowe?

To przypomnę: w listopadzie ubiegłego roku „Gazeta Wyborcza” opublikowała wywiad z niemieckim dziennikarzem Robinem Alexandrem, autorem książki „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu”, któremu wymknął się taki smaczek w opisie debaty unijnej o przymusowej relokacji imigrantów: „Nad Kopacz przez telefon pracowała Merkel, a Piotrowska była w Brukseli. Niemcom udało się złamać Polaków. Przed posiedzeniem byli przeciwko, na posiedzeniu zagłosowali za postulatem Berlina. Dużą rolę odgrywało też to, że Kopacz była bliską współpracowniczką Tuska. A on jako przewodniczący Rady Europejskiej wybrany dzięki poparciu Merkel potrzebował sukcesów”.

Mam narastającą pewność, że teraz też ktoś w Berlinie ciężko pracuje, by złamać Polaków.

Michał Karnowski



2019/F

7.01-13.01.2019



36

**Z Pawłem Solochem
rozmawiają Marek
Pyza i Marcin Wikło**



68

**Teraz Panama:
informator pielgrzyma
Przemysław Barszcz**



76

**Z Elżbietą Rafalską
rozmawia Dorota
Łosiewicz**

NA POZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 WRÓŻBY BABY JADZI**
Krzysztof Feusette
- 9 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 12 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Piotr Skwieciński
- 14 UZDROWIĆ KOMISARIAT BRUKSELSKI!**
Jan Pietrzak
- 15 DO PRAWNIKA ZA DARMO**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 16 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz
- 17 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 18 NEONAZISTA NA SALONACH**
Bronisław Wildstein

TEMAT TYGODNIA

- 20 BĄDŹ WIERNY, DZIAŁAJ!**
Maciej Pawlicki
- 24 GŁOS ODCHODZĄCEGO POKOLENIA**
Maciej Świrski
- 28 ZAMINOWANE POLE**
Piotr Cywiński

KRAJ

- 30 SPĘTANIE 2019**
Piotr Skwieciński
- 33 PLATFORMA NIEWIARYGODNYCH**
Konrad Kołodziejewski
- 36 Z PAWŁEM SOLOCHEM**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło
- 41 NA ILE MOŻE LICZYĆ BIEDROŃ**
Stanisław Janecki
- 44 Z JACKIEM KURSKIM**
rozmawia Jacek Karnowski

SIECI KULTURY

- 49 DICK CHENEY.
DRAPIEŻNIK W BIAŁYM DOMU**
Łukasz Adamski
- 53 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba
- 54 PADEREWSKI W AMERYCE.
W RYTMIE WOLNOŚCI**
Przemysław Skrzydelski
- 56 CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski
- 58 POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

- 60 POKAŻEMY WSZYSTKIE
ODCIEŃCE HISTORII**
Marek Magierowski

- 62 KOŚCIÓŁ NA ŁAWIE OSKARŻONYCH**
Grzegorz Górny

HISTORIA

- 66 SZTAFETA Z WILKAMI**
Marcin Wikło

ŚWIAT

- 68 TERAZ PANAMA**
Przemysław Barszcz
- 71 KURDYJSKA JAŁTA**
Jan Rokita
- 74 Z KATALIN NOVÁK**
rozmawia Kamila Hedwig-Górny

GOSPODARKA

- 76 Z ELŻBIETĄ RAFALSKĄ**
rozmawia Dorota Łosiewicz
- 80 GRA POLSKICH FIRM O MILIARDY**
Kajetan Kutnowski
- 82 KAPITAŁ MA NARODOWOŚĆ**
część 2

KUCHNIA

- 86 MOJE SMAKI: JĘDRZEJ TARANEK**
Jolanta Gajda-Zadworna
- 87 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 88 1983, CZYLI NIGDY**
Piotr Skwieciński
- 89 FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński
- 90 EUROPEJSKIE PLANY NIEMIEC**
Wojciech Reszczyński
- 91 FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki
- 92 OTWÓRZMY DRZWI**
Aleksander Nalaskowski
- 93 PO CO NAM MAMUT?**
Wiktor Świetlik
- 94 FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska
- 96 2019 ROKIEM HEJTU**
Ryszard Makowski
- 97 Z POCHYLONYM CZOLEM**
Leszek Długosz
- 98 NAUCZYCIEL NA WOJNIE
(KULTUROWEJ)**
Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

TYGODNIK KATOLICKI „NIEDZIELA” POLECA DOMOWY KALENDARZ „NIEDZIELI” I WYDAWNICTWA JEDNOŚĆ



To już kolejna, szósta edycja, bestsellerowego kalendarza i poradnika – tym razem na rok 2019! Kompendium wiedzy i użyteczna pomoc dla każdej pani domu i dla wszystkich członków rodziny – przydatna w codziennych okolicznościach, poręczna i użyteczna.

cena
~~19,90 zł~~

| PLUS KOSZTY WYSYŁKI |

aktualna
cena
13 zł

| PLUS KOSZTY WYSYŁKI |

ZAMÓWIENIA:

Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”
3 Maja 12, 42-200 Częstochowa
www.ksiegarnia.niedziela.pl

telefonicznie: 34 365 19 17
34 369 43 00, 34 369 43 52
pocztą elektroniczną: kolportaz@niedziela.pl

www.ksiegarnia.niedziela.pl

Sygnalista nadaje

„Sylwester marzeń”, zorganizowany przez TVP w Zakopanem, znokautował konkurencję, gromadząc dwukrotnie więcej widzów niż imprezy Polsatu i TVN razem wzięte. To ważna lekcja nie tylko w obszarze lekkiej rozrywki: jeśli grasz ofensywnie, jeśli jesteś sobą i nie podlizujesz się swoim rzeźnikom, to owszem, możesz przegrać, lecz możesz też wysoko wygrać. Najważniejsze, by się nie bać. A dziwnego strachu w obozie rządzącym, niestety, coraz więcej.

W Zakopanem jedną z gwiazd był Sławomir, autor wielkiego hitu disco polo „Miłość w Zakopanem”. Niestety, wypromowanemu przez TVP Sławomirowi sława zaczęła szkodzić. Najpierw nie chciał się wypowiedzieć dla „Wiadomości”, a później ruszył z Zakopanego do Chorzowa, by zaśpiewać również na imprezie Polsatu. TVP sprytnie odpowiedziała: tuż przed występem Sławomira na śląskiej scenie odtworzyła z taśmy jego występ z Zakopanego. Ale fakt pozostaje faktem: nawet gwiazdę disco polo ciągnie na mainstreamowe salony. Może talent ma, ale rozumu nie za wiele.

Mainstreamowe tony pojawiły się również w „Szopce noworocznej” Marcina Wolskiego. Dwie najważniejsze tezy bojowe opozycji zostały wyeksponowane jasno i wyraźnie. A więc po pierwsze, prezydent został przedstawiony jako podporządkowany innym „Adrianek”, a po drugie, prezes PiS okazał się przedszkolakiem na tle europejskich i światowych mężów stanu. Na tym tle mniej lub bardziej trafione żarty z liderów opozycji nie miały już większego znaczenia.

Zapewne „w ramach łagodzenia wizerunku” w roku wyborczym do

ządu dołączył **Adam Andruszkiewicz**, były szef Młodzieży Wszechpolskiej, który do Sejmu wszedł z listy Kukiza, a później współtworzył koło Kornela Morawieckiego. Chłopak wygadany, z pewnością zdolny, ale także mający w dorobku dość radykalne wypowiedzi. W sumie nominacja jak nominacja, bywały mniej trafione, ale jaki jest jej polityczny sens, trudno dociec. Bo jeśli ktoś uwierzył, że za tym ambitnym politykiem „stoi mnóstwo młodych ludzi”, to znaczy, że żyje w wirtualnej rzeczywistości.

Zdaniem Abrahama Foxmana, byłego dyrektora żydowskiej Ligi przeciwko Zniesławieniu, powołując do rządu „neonazistowskiego antysemitę, który będzie odpowiedzialny za internet i media społecznościowe”, Polska „osiągnęła nowy poziom”. „Gdzie są głosy oburzenia w Polsce i UE? A gdzie jest Departament Stanu USA?” – pytał Foxman. Coś jest nie tak, coś naprawdę nie działa. A może to wszystko jest inna gra, niż myślimy?

Andruszkiewicz to już drugi szef Młodzieży Wszechpolskiej, który wybiera karierę poza ruchem narodowym, spektakularnie porzucając swoich wychowanków. Pierwszym był oczywiście Roman Giertych, który akurat w sprawie awansu Andruszkiewicza taktownie milczy. Narodowcy wyrastają na poważnych dostarczczyeli politycznych kadr dla swojej konkurencji. Tym samym przejmują funkcję, którą tradycyjnie pełnił Korwin-Mikke. Ten ostatni niestety nie tylko wprowadzał do polityki, lecz również zarażał wyjątkowo groteskowymi poglądami, które później wracały w najmniej spodziewanych momentach. Nie ma wariata, który nie był kiedyś u Korwina.

Nowy rok
papież
Franciszek
rozpoczął
uroczą
deklaracją:
„Lepiej nie
chodzić do
kościół i żyć jako
ateiści, niż chodzić
codziennie, a mimo
to nienawidzić innych
i mówić o nich źle”.
Innymi słowy, lepiej
nie mieć kontaktu
z chrześcijańskim
sacrum, niż mieć.
Pozostaje czekać na kolejną
deklarację papieża: że to
katolicy są najpoważniejszym
problemem świata. Bo grzeszni
i ułomni. Prawdziwie piękni są
wyłącznie ateści, dający nadzieję
na pełne, czyste, doskonałe
nawrócenie. Ale to pewnie
usłyszymy dopiero za rok.

🔊 Dziś narodowcy i Korwin idą razem do wyborów europejskich, a później być może i do parlamentarnych. To chyba jedno z najważniejszych pytań tego roku: czy zdolają zająć miejsce słabnącego Kukiza? Jeśli tak, PiS będzie w prawdziwych opalach. Bo o ile Kukiz zadowala się obecnością w parlamencie i nie buduje sztywnej struktury zdolnej do samodzielnego rządzenia, o tyle narodowcy chcieliby PiS zastąpić. Dlatego to narodowcy i Korwin – a nie Kukiz – dostaną wsparcie, i to nie tylko ze wschodu.

🔊 Prof. Jadwiga Staniszkis u Korwina nie praktykowała, ale dziś również bije rekordy samooorganizacji. „Zdaniem Zachodu stajemy się coraz bardziej podobni do Rosji, ja się z tym zgadzam. I to nawet nie do Rosji współczesnej, ale bolszewickiej. To, co się u nas dzieje, jest szokiem dla Putina” – stwierdziła w TVN24. Kto wie, może Putin nie może spać, martwiąc się o naszą udręczoną ojczyznę?

🔊 Przy okazji dyskusji wokół awansu Andruszkiewicza prof. Magdalena Środa solidnie przyłożyła Monice Olejnik, określając ją jako osobę, która „ma słabość do osobowości autorytarnych”. Dlaczego? Bo jej ulubieńcem jest przecież Roman Giertych – „ten sam, który wprowadził to nacjonalistyczne ugrupowanie do parlamentu, upodmiotowił je, roznosił i nauczył roszczeniowości, a teraz przebrał się w skórę liberalnej owcy i skutecznie uwodzi politycznych celebrytów”. Chryścijanin by przebaczył, ale poganin/ateista krzywd nie zapomina.

🔊 Lewica atakuje rząd za projekt ustawy o przemocy domowej, który – według „Wyborczej” – wprowadzał m.in. zapis, że „jednorazowe pobicie nie będzie już przemocą domową”. Premier wstrzymał prace, a media rzuciły się na minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbietę Rafalską. Ciekawe zjawisko: ostatnio każdy, kto może uchodzić za kandydata do awansu w strukturach państwa, ma poważne kłopoty. Niby potyka się sam, niby sam sobie winien, ale jest w tym także jakaś tajemnica.

🔊 Tygodniki lewicowe zgodnie ogłosiły, że weszliśmy w „najważniejszy rok 30-lecia”. Rzeczywiście, będzie to albo wóz, albo przewóz. Czy PiS wygra władzę? W porównaniu z grudniem 2017 r. w ciągu ostatniego roku partia Jarosława Kaczyńskiego straciła 3,8 proc. (38,8 proc.), a Platforma zyskała 8,4 pkt (27,8). Tak wynika z uśrednienia kilku ważniejszych sondaży. Tragedii nie ma, ale do reelekcji brakuje kilku punktów. Trzeba albo je znaleźć, albo... odnaleźć.

🔊 W oczekiwaniu na zmianę polityczną sędziowie ćwiczą się w sztuce zemsty. Decyzją Sądu



Apelacyjnego w Warszawie wydawca tygodnika „Sieci” ma zapłacić 50 tys. zł za żart w autorskiej rubryce satyrycznej „Z życia koalicji, z życia opozycji”. Chodzi o stwierdzenie, że była rzeczniczka rządu PO Iwona Sulik lubi sobie dziabnąć. W porównaniu z wyrokiem w pierwszej instancji sankcję podwyższono pięciokrotnie. W Sądzie Najwyższym dopiszą pewnie ze dwa zera.

🔊 Z kolei Sąd Okręgowy w Warszawie prawomocnie uniewinnił **Władysława Frasyniuka** od zarzutu wprowadzenia w błąd policjanta „co do tożsamości własnej osoby”. Chodzi o zdarzenie podczas obchodów miesięcznicy smoleńskiej w czerwcu 2017 r., gdy Frasyniuk przedstawił się policjantowi jako „Jan Józef Grzyb”. „Żaden reżim nie może znieść Władysława Frasyniuka. Bo wie, że Władysław Frasyniuk żadnego reżimu nie zniesie. Nigdy. To pewne” – ogłosił dumnie adwokat Frasyniuka Piotr Schramm. Że też żaden artysta nie obnaży tej blagi. To dopiero byłaby odwaga.

🔊 Gdyby artyści byli odważni, obaliliby i inne mity. Np. gwiazda TVN Justyna Pochanke twierdzi, że „trzon wyborców PiS stanowią wyznawcy, a nie wyborcy, a wyznawcom niewiele trzeba tłumaczyć”. Tymczasem każdy, kto ma styczność z jakimś prawdziwym lemingiem, choćby rodzinie, wie, że to dopiero jest sekta, agresywna, brutalna i solidnie sfrustrowana. Najczęściej także bardzo źle wykształcona. A złe wykształcenie jest znacznie gorsze niż brak wykształcenia. Bo nie daje mądrości, a skutecznie zabija wnioski płynące z życiowych doświadczeń.

🔊 Jak określić np. reżysera Krystiana Lupe – jako „wyborcę” czy jako „wyznawcę”? W świątecznym wydaniu „Newsweeka” wyznał: „Jeśli PiS wygra wybory parlamentarne i będzie rządzić przez następne cztery lata, to będę miał poczucie marnowania czasu na życie, z którego nic nie wynika”. Słyszysz to państwo? Człowiek sukcesu straci sens życia, jeśli wygra nie jego partia! To naprawdę jest sekta, do tego wyjątkowo niebezpieczna.

🔊 Niejaka Aneta Mościcka rok 2018 przywitała takim oto wpisem w mediach społecznościowych: „Człowiek trzeźwieje, a TVN24 od rana катуje widzów Semką. Można dostać niestrawności. Tracą widzów, wyłączyłam”. Pani Aneta jest dziennikarką, współpracowała m.in. z „Dziennikiem Gazetą Prawną” i „Rzeczpospolitą”. Z wykształcenia jest prawnikiem, odbyła nawet aplikację sądową. Nie ma wątpliwości, że pani Aneta robi karierę. Weberowskie „typy idealne” zawsze robią karierę.

Wróżby Baby Jadzi

Pokoik był ciemny, ale wszystko było jasne. „Usiądzie i mówi, czego chce – powiedziała. – Byle szybko, bo zaraz ci z telewizji przyjdą”. Oniemiałem, tyle pytań kłębiło się w głowie. Jak wybrać to jedno, najważniejsze, na cały 2019 r.? Sześć cyferek z jutrzejszego totka, jak ten Bolek złamany? Daty fake newsów w Onecie? A jak zacznie wymieniać do rana? To może jednak Wypiański – stare, ale jare: „Cóż tam, panie, w polityce?”.

Pot przetarła siedem razy, na szklaną kulę fusy przez klucz przelala i nagle, jak mnie nie trzaśnie. Szczęście w nie-szczęściu, że tylko po kieszeni. „Wybory będą...” – szepcze. Fajnie, tyle to sam wiedziałem. „A kto wygra?” – dopytuję, chociaż baby w zasadzie już przez te kadzidla nie widzę. „Doloży stówę, to się dowie” – odpowiada.

Dolożyłem. Ponownie wzrok w kulę wbiła, jak kiedyś w Kaczyńskiego, trzy głębsze przyjęła, trzema płytszymi zagryzła i zaczyna trajkotać: „Widzę człowieka, który ma na imię Ryszard. Idzie z sześcioma królami do ginekologa na ciążę, która jest zabiegiem i trwa od 12 do 20 miesięcy. Ale tylko w Peru, gdzie ludzie nie wiedzą, ile będą żyli, bo im się głowy psują od góry. Ten człowiek nie jest sam. Jest przy nim wiele Joann, tylko jedna będzie polityczną dziewczą. Polecą w święta na Mader Fader. Jakiś Leszek się go wyprze na Balu Cerowicza, ale odejść będą musieli obaj...”.

„Chwileczkę” – przerywam zirytowany, bo czuję, że licznik już dwie dychy odciał, a ona mi tu sadi wróżby totalnie przeterminowane. „Coś nowego pani widzi czy tylko pierdoły odgrzewane?” – pytam grzecznie.

„Miał się nie odzywać, to po pierwsze. A po drugie, ja tego Ryśka nie dalej jak wczoraj w telewizji słuchałam, to dlaczego on ma być nieaktualny? Przecież, jak przeznaczenie jest mocne, to można być memem nawet przez dekadę. Zresztą, nie ma problemu – mogę w dalszą przyszłość wybiec. Widzę myśliwego ze strzelbą w Parlamencie Eu-



KRZYSZTOF FEUSETTE

ropejskim. Nie chce nikogo skrzywdzić, ale kazali mu dwa zdania w ojczystym języku bez błędów napisać, więc się zdenerwował. Widzę obok kowboja, z którym wspólnie startowali w prawyborach partyjnych i kowboj przegrał, bo myślał, że komuś łaskę robi. Teraz już tylko żona mu przytakuje. Ale to nie jest jego żona, tylko stewardesa z kulczykiem, pardon, kulczykiem na szyi. Zjawiskowa, chociaż na Chobielin nie poleciała, tylko do Waszynktona. Albo Waszynktonu. Albo Waszyngtonu... Zresztą, skąd ja mam to wiedzieć, skoro nawet pan Wałęsa pojęcia nie ma, a przecież »lidepipol« dał radę na blaszkę wykuć? Widzę go, jak buszuje nocami po meblościankach Kiszczakowej, ale niewyraźnie wygląda przez to błoto na gębie. Jest przy nim nowy kapciowy – »Shrek« na niego wołają albo »Szczęki«, bo ma szczerbę między zębami i nitrasa na głowie... Uf!”.

Zdyszana opadła na fotel bujany, bo w bujaniu była najlepsza. Oczy przymknęła tak, że aż jej oglądalność spadła,

ale cedzi dalej. „Słyszę tętent kopytek. Jakby lis hieny do roboty gonił. O, już jest obraz: Kaszub na wysokim koniu wjeżdża do Gdańska. Teraz przesiada się na barana... A nie, to tylko ten koń niesie go na barana. Kaszub schodzi na ziemię, wyciąga z walizeczki hulajnogę i rusza w Polskę. Ojej... Nie, ja tego nie powiem” – i aż się za usta zlapała.

Dorzuciłem Piątka książkę, bo piątaka to jednak szkoda, więc się odetkała.

„Widzę zebra, która ma tylko jeden biały pasek... Nie, to zakonnica. Ale na zebrze. Kaszub uderza w nią z całym impetem, nawalony jak Jean-Claude Stodola albo niemiecki piecyk. I ten pan »Piecyk« przewraca się na swojego zastępcę, który płacze, bo znowu przypomniał sobie, jak go w Polsce traktują. Widzę sędziego, który kradnie immunitet innemu sędziemu, bo myślał, że tamten ma dwa. Widzę

kobiety i mężczyzn w togach z napisem »Kastracja« albo »Kastotucja«, czy jakoś podobnie. Nie, to jednak kaftany bezpieczeństwa ich służby, bo za długie rękawy... Widzę lekarzy, którzy na widok tych napisów rozkładają ręce. Obraz jest rozmażany, jakby ktoś wrzucił gazetę do muszli, a potem wyjął, bo zapomniał przeczytać wstępniak naczelnego. A ona i tak tonie w nienawiści i kompleksach, słyszę wysokie obcasy, widzę feministki szarpiące się za przyklejone rzęsy, wszędzie pełno sztucznych biustów. Widzę kraj bez dostępu do morza imigrantów. Jest podzielony, pęknięty jak serca żon premiera Marcinkiewicza. Widzę kolejkę amantów, którzy próbują go posklejać. Jakiś chłopiec biegnie z taśmą klejącą, jakaś kobieta płacze, bo została dźgnięta przez koleżankę tępym spojrzeniem. Widzę... widzę... widzę, że czas się kończy, a ja jestem z wykształcenia socjolożka malowana, a nie jakaś maratonka dla przyjemności. O, tu ma moją wizytówkę: »Wróżka Baba Jadzia. Przepowiednie z czterech liter w cenie trzech, czynne całą dobę«. Więc albo dopłaca, albo resztę sobie w TVN24 obejrzy. Następny, proszę!”

OGNIEM NA WPROST

Szachownice i Czarne Krzyże

2 stycznia 1492 r. upadła Granada. Wraz z nią runął ostatni kalifat i skończyły się trwające prawie osiem wieków rządy muzułmanów na Półwyspie Iberyjskim. Król Ferdynand V i królowa Izabela I, katoliccy władcy Kastylii i Aragonii, przyjęli kapitulację miasta i klucze z rąk Muhammada XII Abu Abdallaha, kończąc dzieło rekonkwisty. Chwila ta została uwieczniona na sławnym płótnie Pradilla Ortiza, gdzie na błotnistej drodze spotykają się dwa barwne orszaki: zwycięzców oraz pokonanych. Ale nie tylko. Także pieśń Wajdeloty Adama Mickiewicza z „Konrada Wallenroda” wspomina tamten czas, kiedy w słynnej Czerwonej Wieży fortecy Alpuhara bronił się jeszcze „Almanzor z garstką rycerzy”. Ale „o wschodzie słońca ryknęły spiże,/ Rwą się okopy, mur wali,/ Już z minaretów błysnęły krzyże,/ Hiszpanie zamku dostali”. Taki był koniec 770-letniego panowania Maurów w Hiszpanii, którą podbili w dwie dekady. Dziś tylko nacjonałisci z partii VOX pamiętali o tym wydarzeniu, umieszczając na swoim konczie film ekranizujący moment poddania miasta. „Nie chcemy ani nie powinniśmy zapominać, że tego dnia 527 lat temu doszło do wyzwolenia Granady przez hiszpańskie wojska królów katolickich. Kładło to kres ośmiu długim wiekom rekonkwisty przeciwko muzułmańskiemu najeźdźcy” – dodano w opisie. Podniósł się medialny wrzask, jakiego świat i Ewangelia dawno nie widziały. Tamtejsze lewactwo zatęskniło za mauryjskim knutem. Spokojnie, jeszcze się doczekacie.

U nas z kolei kolejne popisy Kościoła pod wezwaniem ks. Lemańskiego. Tym razem poszło o pogrzeb prof. Romualda Dębskiego. Głos w tej sprawie zabrał najpierw prezes Fundacji Pro-Prawo do Życia Mariusz Dzierżawski, który wystosował list otwarty do rzecznika prasowego arcybiskupa warszawskiego, nawiązując w nim do zapowiedzi publicznego nabożeństwa żałobnego za zmarłego profesora oraz planowanego katolickiego pogrzebu wieloletniego ordynatora oddziału ginekologii Szpitala Bielańskiego, które ma się odbyć w Kościele Niepokalanego Poczęcia NMP. „W latach 2011–2018, według informacji podanych przez szpital, na oddziale kierowanym przez doktora Dębskiego zabito

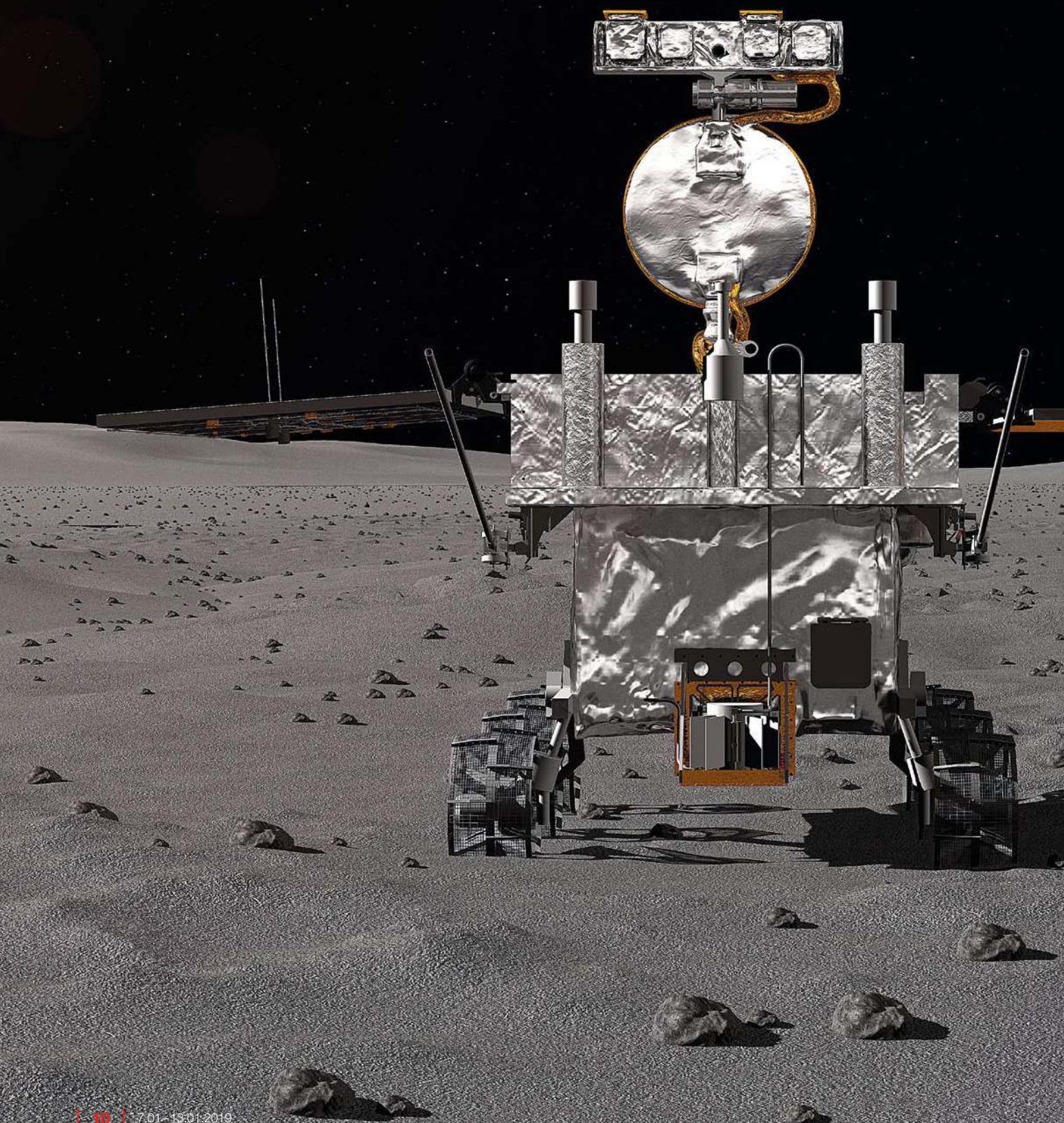


poprzez aborcję 783 dzieci. W jednym tylko roku 2017 zabito tam 131 dzieci” – przypomina Dzierżawski. „Romuald Dębski wielokrotnie zabierał głos w debacie publicznej, opowiadając się za dopuszczalnością aborcji eugenicznej, w tym również za aborcją dzieci podejrzanych o zespół Downa. Kanon 1398 Kodeksu Prawa Kanonicznego stwierdza: »kto powoduje przerwanie ciąży, po zaistnieniu skutku, podlega ekskomunice wiążącej mocą samego prawa«. W tej sytuacji informacja o nabożeństwie żałobnym w Kościele katolickim może budzić wśród wiernych rozliczne wątpliwości” – dodaje w liście. I tu daje głos ks. Lemański w typowym dla siebie stylu: „Wydaje mi się, że odmówienie katolickiego pogrzebu prof. Dębskiemu byłoby czymś niewłaściwym. Nie jest dobrze, że zwłaszcza w ostatnich latach, mamy taką złą polską tradycję jazgotu na niektórych pogrzebach. Profesor wielokrotnie rozmawiał z rodziną o swojej śmierci. Jeśli taka jest wola jego i jego rodziny, to pogrzeb powinien się odbyć”. Powoli przestają rozumieć linię Kościoła katolickiego w Polsce. Z jednej strony naciska rząd i większość parlamentarną do uchwalenia ustawy zakazującej aborcji eugenicznej, a z drugiej chce chować „z honorami” aborcjonistę.

Tuż przed sylwestrem cztery polskie myśliwce F-16C/D Block 52+ wylądowały w ramach misji NATO Baltic Air Policing na litewskim lotnisku wojskowym w Szawlach, by od 3 stycznia 2019 r. oficjalnie przejąć ósmy już raz odpowiedzialność za ochronę Litwy, Łotwy i Estonii. To druga tura z udziałem F-16 z biało-czerwonymi szachownicami na kadłubach. Sześć poprzednich latało na MiG-ach 29. Tym razem wsparcie dla naszych „Jastrzębi” stanowić będzie pięć myśliwców Eurofighter Typhoon w barwach niemieckiej Luftwaffe, które do końca kwietnia startują z estońskiej bazy Amari. We wrześniu ubiegłego roku przejęły one misję od francuskich Dassault Mirage 2000-5F. Polscy piloci nie powinni się raczej nudzić, a w razie gdyby, zawsze podczas towarzyskich spotkań z nowymi towarzyszami broni w oficerskiej kantine można będzie pogadać o wzajemnych przewagach w Bitwie o Anglię.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor



Chińczycy już też na Księżycu

Zsynchronizowany ruch Ziemi i Księżyca sprawia, że jedna półkula naszego naturalnego satelity pozostaje niewidoczna z kuli ziemskiej, lecz wbrew obiegowej, błędnej nazwie „ciemna strona” wcale nie jest mniej słoneczna niż ta zwrócona w naszym kierunku. Niewidoczność nie oznacza, że człowiek nigdy nie zajrzał na drugą stronę. Już w 1959 r. radziecka sonda Łuna 3 wykonała zdjęcia tego obszaru. W 1968 r. załoga misji Apollo 8 podczas orbitowania wokół Księżyca zobaczyła na własne oczy jego odwrotną stronę.

Aż do 3 stycznia 2019 r. klęską kończyły się wszelkie próby lądowania na tym terenie. Przełomowe okazało się przedsięwzięcie Chińczyków – misja Chang'e 4. Aby miękko wylądować po odwrotnej stronie Księżyca, konieczne było zapewnienie nieosiągalnej w normalnych warunkach komunikacji strefy lądowania z Ziemią. Chiny dokonały tego dzięki satelicie łącznościowemu Queqiao, który w maju 2018 r. został ulokowany w miejscu widocznym zarówno z Ziemi, jak i z planowanego lądowiska. Umieszczenie ważącego pół tony satelity w punkcie libracyjnym L2, który w układzie Ziemia–Księżyc pozostaje w spoczynku, tzn. nie przemieszcza się względem nich, zagwarantowało łączność radiową.

Misja Chang'e 4, zakończona udanym lądowaniem bezzałogowej sondy, to krok na drodze Chińczyków do podboju Księżyca, który ma się zakończyć w czwartej dekadzie XXI w. lądowaniem człowieka i budową stacji w okolicach południowego bieguna, co razem może być przygrywką do misji marsjańskiej.

Cele naukowe zakładają przebadanie skał, monitoring temperatur, promieniowania kosmicznego itp. Najciekawsza wydaje się trzykilogramowa zawartość szczelnego kontenera. To miniaturowy habitat zawierający jaja jedwabników i nasiona ziemniaków, pomidorów i rzodkiewnika. Po wykluciu larwy mają produkować dwutlenek węgla, który pobudzi kiełkowanie nasion, a następnie zostanie wykorzystany w fotosyntezie przez wzrastające rośliny. Rozwój tej „biosfery” rejestrowany będzie przez kamerę.

Chiny dołączają do prestiżowego grona państw podbijających kosmos. Możliwości grożenia palcem przenoszą się z brzegów Morza Południowochińskiego na niewidoczną stronę Księżyca. Czy w tle osiągnięć technologicznych nie kryje się demonstracja chińskiej siły i zagrożenie militaryzacją kosmosu? W każdym razie Chiny stają do rywalizacji o przestrzeń kosmiczną z Rosją i USA.

Przemysław Barszcz

Czy wyobrażają sobie państwo, by Robert Górski, zamiast robić żarty z polityków, nagle sam został politykiem? By zamiast realizować „Ucho prezesa”, postanowił zostać prezesem partii? Trudno to sobie wyobrazić, a jednak podobne sytuacje są możliwe. Przynajmniej za naszą wschodnią granicą.

To nie komedia, choć rzecz dotyczy komika. Chodzi o Wołodymyra Zeleńskiego, który kilka minut przed Nowym Rokiem ogłosił, że będzie się ubiegał o urząd prezydenta Ukrainy. Widzom w naszym kraju jest on znany głównie z tytułowej roli w serialu „Sługa narodu”, emitowanym na antenie telewizji wPolsce.pl. Główny bohater filmu, nauczyciel historii Wasyl Hołobrodko, niespodziewanie zostaje prezydentem Ukrainy i zaczyna postępować inaczej niż reszta polityków. Staje się to źródłem wielu zabawnych sytuacji, obnażających hipokryzję tamtejszych elit władzy.

Film cieszył się nad Dnieprem dużą popularnością i przyniósł aktorowi sławę. Kilka miesięcy temu jego nazwisko zaczęło się pojawiać w sondażach przedwyborczych, choć eksperci traktowali to raczej jako żart – tym bardziej że sam zainteresowany nie potwierdzał, iż chce startować w wyborach. Sytuacja

Polityka podąża za komedią

zmieniła się 31 grudnia – w dniu oficjalnego rozpoczęcia kampanii.

Komentatorzy w Kijowie uważają, że są możliwe dwa wyjaśnienia niespodziewanej decyzji Zeleńskiego. Pierwsze mówi, że to część medialnego show

Wołodymyr Zeleński



komika, który dzięki niecodziennemu happeningowi buduje swoją popularność. Drugie zakłada, że mamy do czynienia z realnym projektem politycznym. Jeżeli tak jest, to znaczy, że ktoś musiał w ten projekt zainwestować. Bez wsparcia finansowego i organizacyjnego nie jest bowiem możliwe odniesienie sukcesu. Sam Zeleński natomiast takiego zaplecza nie posiada.

Na Ukrainie nie ma – jak w Europie Zachodniej – klasycznych partii lewicowych lub prawicowych, liberalnych albo konserwatywnych. Ugrupowania powstają nie wokół idei politycznej, lecz wokół konkretnych postaci. Tak jest np. z dwiema głównymi siłami podczas obecnej kampanii prezydenckiej, czyli blokami skupionymi wokół Petra Poroszenki i Julii Tymoszenko. Ludzie nie głosują na programy, które niewiele się od siebie różnią, lecz na silne osobowości. W tym kontekście Zeleński jest postacią rozpoznawalną i na tle ukraińskich polityków kojarzoną pozytywnie. Ten, kto w niego zainwestował, liczy albo na zaistnienie w nowej konfiguracji politycznej, albo na niedopuszczenie do drugiej tury wyborów któregoś z dwóch głównych faworytów.

Grzegorz Górny

USA

Feministka w oparach absurdu

Amy Siskind jest prominentną amerykańską feministką, założycielką organizacji non profit The New Agenda. Siskind nie lubi białych mężczyzn, a szczególnie tych, którzy mają czelność się z nią nie zgadzać. Dlatego – jak pisze portal Breitbart – przypuściła bezlitosny atak na dziennikarza radiowego Davida Packmana, skądinąd lewicowca.

Poszło oczywiście o ulubiony przedmiot nienawiści Siskind – białych mężczyzn. Feministka napisała na Twitterze, że nie poprze „żadnego białego kandydata płci męskiej” w prawyborach prezydenckich demokratów w 2020 r. „Kobiety mają największe szanse na sukces. Obama '08, Hillary '16. Białe mężczyzna to nie jest miejsce, w którym znajduje się obecnie nasza partia. To nasza najmniej bezpieczna opcja na rok 2020” – zadeklarowała.

Packman odpowiedział na jej tweet, argumentując, że to niezbyt postępowe „wstępnie dyskwalifikować kandydatów na podstawie ich pochodzenia rasowego czy płci”. „Wydaje

mi się, że istnieje słowo, które to określa...” – dodał. Siskind początkowo wdała się w dyskusję z Packmanem, przekonując go, że „czuje się niepokojenie jako mężczyzna i dlatego boi się różnorodności”, ale gdy to okazało się nieskuteczne, skontaktowała się z Boston College, gdzie dziennikarz jest adiunktem, i usiłowała wymusić na kierownictwie uczelni jego zwolnienie. Feministka ponadto zasugerowała w rozmowie z branżowym portalem The College Fix, że Packman, który jest Żydem i pochodzi z Argentyny, powinien „przemyśleć swoje typowe dla białych mężczyzn kłamstwa i ją publicznie przeprosić”. „Ludzie go obserwują i widzą, jak się zachowuje” – dodała.

Ku jej zdumieniu jednak większość „postępowych” promientów stanęła po stronie Packmana i zarzuciła jej m.in. „instrumentalizację mniejszości”. Komicy Joe Rogan i Bill Burr naśmiewali się wręcz otwarcie z Siskind oraz „kultury oburzenia” w USA w swoim programie radiowym. A przewodniczący Fundacji na rzecz Indywidualnych Praw w Edukacji Greg Lukianoff zaapelował do Boston College, by „nie karał Packmana za jego słowa”. Inni zarzucili Siskind, że „dopiero od niedawna jest lewicowca i feministką”. W 2008 r. poparła w wyborach prezydenckich republikanina Johna McCaina, a w 2011 r. jeszcze twierdziła, że Sarah Palin „to ostatnia nadzieja Ameryki”.

Aleksandra Rybińska

Strach przed Chinami

Indochiny to jedno z tych strategicznych miejsc na świecie, gdzie krzyżują się interesy największych potęg: Chin, Stanów Zjednoczonych oraz Rosji. Panowanie nad półwyspem oraz otaczającymi go morzami pozwala kontrolować szlaki handlowe prowadzące z Azji w kierunku Afryki i Europy, a także złożyć ropy i gazu pod dnem Morza Południowochińskiego. W 2014 r. doszło do poważnego incydentu, gdy w pobliżu Wysp Paracelskich Chińczycy postanowili umieścić platformę wiertniczą, choć do złóż oraz samych wysp, zajętych zbrojnie przez Chiny w 1974 r., zgłaszają prawa Wietnamczycy. Incydent wywołał rozruchy antychińskie w Wietnamie i zaostrzył obawy Hanoi przed sąsiadem z północy, zwłaszcza że Wietnam od stuleci leży na szlaku chińskiej ekspansji na południe.

Agresywna polityka Chin skłania Wietnam do poszukiwania zbliżenia z USA, które również z niepokojem przyglądają się ekspansjonizmowi Pekinu. Oba państwa w latach 1964–1973 stoczyły krwawą wojnę i dopiero w 1995 r. nawiązały z sobą normalne relacje. Punktem przełomowym była wizyta Baracka Obamy w Hanoi w 2016 r. Rozpoczęto wtedy współpracę obronną, w ramach której Amerykanie zniesli obowiązujące dotąd embargo na sprzedaż broni do Wietnamu. Dzięki temu Wietnamczycy zakupili już w USA kutry patrolowe. Są również zainteresowani samolotami. Regularnie odbywają się także spotkania na wysokim szczeblu. Jim Mattis, do niedawna sekretarz obrony USA, w zeszłym roku aż dwukrotnie odwiedził Hanoi.

Najważniejsza bariera psychologiczna pękła w marcu 2018 r., gdy lotniskowiec Carl Vinson zawiązał

z kurtuazyjną wizytą do portu w Da Nang. Tym razem Wietnamczycy nie ukrywali, że obecność amerykańskiej floty wojennej u ich wybrzeży – po raz pierwszy od zakończenia wojny wietnamskiej – działa stabilizująco na region.

Pełną współpracę uniemożliwiają na razie obawy rządzącej Wietnamem partii komunistycznej, że Waszyngton zechce wywrzeć presję na reżim, aby ten zliberalizował politykę wewnętrzną. Dlatego Hanoi oficjalnie uważa, że priorytetem powinno pozostać trwające od czasów zimnej wojny „partnerstwo” z Rosją. Nie drażni ono Pekinu, a jednocześnie nie grozi wybuchem „kolorowej rewolucji” w Wietnamie.

Wietnam, manewrując między Waszyngtonem, Pekinem a Moskwą, podbija stawkę. A rywalizacja mocarstw sprawia, że Indochiny – po półwieczu relatywnego spokoju – znów stają się potencjalnie zapalnym punktem na mapie świata.

Konrad Kołodziejcki



A wnuk w Londynie...

Dowódca Rosgwardii, czyli najważniejszej siłowej struktury Federacji Rosyjskiej, gen. Wiktor Zołotow (ten sam, który zasłynął wyzwaniem na pojedynek liberalnego blogera Aleksieja Nawalnego, gdy ten zarzucił mu korupcję) zdradził w wywiadzie, że jego wnuk uczy się w Anglii.

Nie jest to wiadomość osobliwa. Wiele dzieci i wnuków rosyjskiej elity, nie tylko tej finansowej, lecz również władzy, studiuje na Zachodzie. Wręcz mieszkają tam na stałe. Zołotow mówił o wnuku w kontekście obrony przed zarzutami korupcji – tłumaczył, że ma uczciwie zarobione pieniądze. I subiektywnie może nawet tak uważać. Korupcja w obecnej Rosji nie jest bowiem korupcją w sensie zachodnim. Jest raczej nowym wydaniem staromoskiewskiej tradycji „kormienija”, w myśl której car nadaje wyższą rangą urzędnikom ich instytucje jako swego rodzaju lenna, z których mogą oni ciągnąć prywatne dochody i nic w tym ciągnięciu złego, póki nie przesadzają.

A jednak w deklaracji o studiującym w Anglii wnuku jest coś zastanawiającego. Bo przecież tenże Zołotow, podobnie jak inni jego koledzy, przedtem wielokrotnie wypowiadał się w sprawie otrutego nowiczkim Skripala – sugerując, że oczywiście nie zrobiło tego GRU, lecz była to antyrosyjska prowokacja brytyjskich służb specjalnych.

Uznajmy przez moment, że generał i reszta twierdzących tak członków rosyjskiej elity naprawdę w to wierzy. A kiedy pokonamy samych siebie i na chwilę tak uznamy, to spróbujmy odpowiedzieć na pytanie: jak pogodzić takie przekonanie z jednoczesnym trzymaniem wnuka (albo wnuczki, syna czy córki) w tejże Anglii czy zresztą w jakimkolwiek kraju Zachodu? Przecież jeśli demoniczne brytyjskie (czy inne zachodnie) służby, by zaszkodzić Rosji, potrafiły otruć Skripala, to jakich strasznych prowokacji, jakich szantaży mogą się dopuścić i wobec tego konkretnego wnuka, jak i w ogóle wobec przebywającej w ich kraju, a więc będącej na ich łasce i niełasce, całej progenitury kremlowskiej elity?

Doprawdy to samozaparcie się kremlowskich dziadków i ojców można określić tylko mianem heroizmu. Na miarę Rzymian czy Spartan.

Piotr Skwieciński

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Uzdrowić komisariat brukselski!

W najgorszym stylu żegnają rok 2018 Francuzi. Nie ci zbuntowani w złotych kamizelkach, lecz ich rządowi przeciwnicy, z bezradnym Macronem jako prezydentem. Naprawdę żal Francji, do której mamy w Polsce liczne sentymenty: Bonapartego w hymnie, legendarne adresy Hotel Lambert, Maisons-Laffitte, Père-Lachaise z Fryderykiem Chopinem, Panteon z Marią Skłodowską...

Co się porobiło nad Sekwaną, że ten filar Unii Europejskiej tak się rozsypuje? Inny filar – Zjednoczone Królestwo, wmanewrowane przez Tuska w brexit – odpływa na ocean chaosu. Hiszpania, atakowana przez Katalonię jak byk na corridzie, nie daje sobie rady ze szkodliwymi emocjami. W Niemczech coś się kończy, ale nic się nie zaczyna. Tradycyjne partie upadają. Brak porządkującej koncepcji politycznej po żenującym eksperymencie multikulti kanclerki Angeli. Obserwujemy jedynie reaktywne drgawki dominujących korporacji (medialnych, finansowych, przemysłowych), które nie bardzo wiedzą, co robić, więc na wszelki wypadek robią głupstwa. To samo w Brukseli, siedzibie komisariatu Junckerów, Tim-



**Jan
Pietrzak**

mermansów, Tuszków. Zbliża się koniec ich kadencji, więc wszystko, co na odchodnym wyczyniają, nie ma nic wspólnego z potrzebami europejskich narodów. Podnieśli sobie śmiało pensje i organizują liczny kumplom wygodne drogi ewakuacji na z góry upatrzone pozycje.

Kilka pobieżnie przywołanych przykładów to w dużym stopniu ilustracja marnej jakości Komisji Europejskiej. Komisarze z jednej strony uważają, że mogą się wtrącać w dowolne sprawy, nawet nieobjęte traktatami, z drugiej – unikają zajmowania stanowiska w sprawach kluczowych, takich jak kryzys finansów we Francji, bezprawny napływ imigrantów, ingerencje Rosji w życie publiczne UE itd., itp.

Co z tym fantem robić, wie w Europie zaledwie kilka osób. Tak się składa, że pochodzą z Polski. Najpilniej, jak się da, należy sformułować aneks do traktatu lizbońskiego, który uzdrowi funkcjonowanie Komisariatu UE. Trybunał Sprawiedliwości w trybie prejudycjalnym aneks zatwierdzi i sprawa załatwiona. Jak to zrobić? Na szczegóły nie ma tu miejsca. Jak się mówiło w przedwojennym żarcie: „Ja rzucam myśl, wy go łapcie!”

Nie bij, tańcz

**Z aktorem Erykiem Lubosem rozmawia
Jolanta Gajda-Zadworna**

W filmie „Underdog”, którego akcja rozgrywa się wśród zawodników MMA, znów wyszedł pan na ring. Który cios tym razem okazał się najmocniejszy?

Eryk Lubos: W serce, jak zawsze. A poważnie, unikam klasyfikowania, że boksuję w filmach, że uprawiam sztuki walki, ale prawdą jest, że i takie role dostaję. Jestem, jak widać, do zadań specjalnych. Mnie to nie przeszkadza.

Dekadę temu, w „Mojej krwi”, debiucie reżyserskim Marcina Wrony, umierający bohater boksował się ostro z życiem, a teraz?

Borys „Kosa” Kosiński z bagażem paru dodatkowych lat dojrzenia do życia. Walcząc.

„Underdog” to trzeci film (w 2012 r. było jeszcze „Zabić bobra” J.J. Kolskiego), w którym gra pan



główną rolę. Kolejny otwarty na „sztukę walki”?

Mam ADHD, całe życie musiałem ćwiczyć. Różne dyscypliny. Boks nie był pierwszym sportem, który mnie pociągnął, ale to sprawdzony sposób na produkowanie endorfin.

Ze szkoły aktorskiej zapamiętałem radę: „Bawcie się na scenie, bawcie się rolą”. Mój pierwszy trener boksu Zygmunt Gosiewski też powtarzał: „Baw się. To jest taniec. Tańcz. Nie chciej bić. To skutki uboczne tego »tańca«”. Proszę zobaczyć, jak Mamed Chalidow wychodzi do starcia. To artysta. Że niebezpieczny, to zupełnie co innego. Nie należy więc traktować sztuk walki wyłącznie jako próby udowodnienia, kto ma więcej testosteronu. To jest konfrontacja, szukanie patentu na ominięcie partnera, oszukanie go w taki sposób, żeby się poddał. A przy okazji, w takiej bezpośredniej konfrontacji ustawiają się relacje.

Do prawnika za darmo

Istycznie zaczęły obowiązywać przepisy rozszerzające krąg osób uprawnionych do uzyskania bezpłatnej pomocy prawnej. Wedle nowych regulacji bezkosztowe wsparcie prawne należy się każdemu, kto złoży oświadczenie o tym, że nie stać go na prawnika. Ponadto od nowego roku potrzebujący mogą skorzystać z poradnictwa obywatelskiego. Organy administracji publicznej są zaś zobowiązane do podejmowania działań w ramach edukacji prawnej społeczeństwa.

Poradnictwo obywatelskie ma być dostosowane do indywidualnej sytuacji osoby uprawnionej, zmierzać do podniesienia świadomości tej osoby o przysługujących jej uprawnieniach lub spoczywających na niej obowiązkach oraz wsparcia w samodzielnym rozwiązywaniu problemu, w tym, w razie potrzeby, sporządzenie wspólnie z osobą uprawnioną planu działania i pomoc w jego realizacji. Obejmuje ono w szczególności porady dla osób zadłużonych i porady z zakresu spraw mieszkaniowych oraz zabezpieczenia społecznego.

Upřednio obowiązujące przepisy stanowiły, że z bezpłatnej pomocy prawnej mogły korzystać wyłącznie wskazane grupy, np. osoby bezrobotne, emeryci, renciści czy niepełnosprawni. Wsparcie to w skali kraju nie cieszyło się jednak oczekiwanym zainteresowaniem, ale różniło się w poszczególnych jednostkach samorządu terytorialnego. Według ustaleń Najwyższej Izby Kontroli przyczyną niewielkiej popularności bezpłatnej pomocy prawnej było jej niedostateczne rozreklamowanie. Większość samorządowców postawiła na popularyzację porad via internet, który, jak się okazało, zasadniczo nie stanowił źródła informacji dla osób potrzebujących pomocy prawnej.

Nowe regulacje rozszerzają krąg osób uprawnionych do bezpłatnej pomocy prawnej na wszystkich, którzy nie mają środków na opłacenie adwokata lub radcę prawnego. Warunkiem jest złożenie oświadczenia, że nie jest się w stanie ponieść kosztów odpłatnej pomocy prawnej. Urzędy nie będą zobowiązane weryfikować sytuacji materialnej beneficjentów bezpłatnej pomocy prawnej. Warto zauważyć, że w oświadczeniach tych ustawodawca pominął rygor odpowiedzialności karnej za podanie nieprawdziwych danych. Pomoc może być udzielona w sprawach z zakresu wszystkich dziedzin prawa. Nie obejmuje ona jedynie spraw związanych z prowadzeniem działalności gospodarczej, z wyjątkiem przygotowania do rozpoczęcia tej działalności. W ramach bezpłatnego poradnictwa będą mogły zostać sporządzone opinie w sprawie, projekty pism o zwolnienie od kosztów sądowych lub ustanowienie pełnomocnika z urzędu w postępowaniu sądowym, adwokata, radcy prawnego, doradcy podatkowego lub rzecznika patentowego w postępowaniu sądowo-administracyjnym.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Celem przewidzianej przez przepisy ustawy edukacji prawnej jest zwiększanie świadomości prawnej społeczeństwa, dotyczące w szczególności upowszechniania wiedzy o prawach i obowiązkach obywatelskich, działalności krajowych i międzynarodowych organów ochrony prawnej, mediacji oraz sposobach polubownego rozwiązywania sporów, możliwościach udziału obywateli w konsultacjach publicznych oraz procesie stanowienia prawa, a także o dostępie do nieodpłatnej pomocy prawnej i nieodpłatnego poradnictwa obywatelskiego. Zapewne w ramach omawianego obowiązkowi kilka tygodni temu w Sądzie Najwyższym odbyła się adresowana do najmłodszych dzieci symulacja rozprawy w sprawie Wilka i Czerwonego Kapturka. Wiele sądów rejonowych i wyższych instancji organizuje podobne wydarzenia dla młodzieży. Organizacje pożytku publicznego odwiedzają z prelekcjami szkoły. Warte rozważenia byłoby wprowadzenie ogólnokrajowego programu edukacji prawnej dla najmłodszych, który docierałby do wszystkich szkół, któremu towarzyszyłyby organizowane już dziś przedsięwzięcia.

Frona Pl. spółka z ograniczoną odpowiedzialnością z siedzibą w Warszawie przeprasza pana Andrzeja Derlatkę za naruszenie jego dóbr osobistych w książce autorstwa Doroty Kani, Jerzego Targalskiego oraz Macieja Marosza pt. „RESORTOWE DZIECI SŁUŻBY”, poprzez podanie nieprawdziwych i zniesławiających informacji na temat Andrzeja Derlatki, co do tego, że był on naczelnikiem Wydziału XII Departamentu I oraz, że „Plk. Henryk Jasik, ostatni dyrektor Departamentu I, 15 maja 1990 roku, a więc „na odchodne”, przyznał Andrzejowi Derlatce w uznaniu za zasługi w walce z wrogami socjalizmu wyróżnienie 500 tys. zł. (...) tak zasłużonego w walce przeciwko USA (...)”.

Zachipowani

Szkoły w prowincji Guizhou i pobliskim regionie Guangxi w Chinach testują projekt, który ma poprawić bezpieczeństwo dzieci. Uczniowie dostali mundurki monitorujące każde wejście i wyjście ze szkoły. Monitoring możliwy jest także po lekcjach. „W ramiona uniformu wszyte są dwa chipy, które gromadzą dane o każdym wejściu i wyjściu ucznia ze szkoły. Informacje automatycznie trafiają do rodziców dziecka i do nauczycieli. Z chipami współpracuje oprogramowanie identyfikujące twarze, system na bieżąco śledzi zachowanie wszystkich uczniów w budynku. Nie da się zatem podmienić smart-mundurka i pójść na wagary. Jeżeli dziecko opuści szkołę w trakcie lekcji, system uruchomi alarm, powiadamiając rodziców i nauczycieli oraz wszystkie osoby wokół »uciekiniera«” – informuje portal Chip.pl. Mundurki mają także inne funkcje: rozpoznają, kiedy uczeń zasnął w trakcie lekcji, lub w połączeniu z odciskiem palca pozwolą zapłacić w szkolnym sklepie. Teraz Lech Wałęsa będzie mógł ze spokojem powiedzieć, że to jego pomysł. Przecież już kilka lat temu mówił o chipowaniu polityków, a że Chińczycy wprowadzili własną modyfikację jego pomysłu, to już nie jego wina. 



9

proc.

– o tyle więcej niż przed rokiem trzeba było średnio zapłacić za używane mieszkanie. Tak wynika z danych NBP.

ok. 150
migrantów

– tylu podjęło próbę nielegalnego przekroczenia granicy meksykańsko-amerykańskiej w noc sylwestrową. Na Playas de Tijuana amerykańskie patrol graniczne dwukrotnie użyły gazu łzawiącego. 25 osób zostało aresztowanych. Imigranci szturmuje USA jak nigdy dotąd.

ok. 9

tys.

– tylu obywateli krajów środkowoamerykańskich – głównie Gwatemali, Salvadora i Hondurasu – od października 2018 r. przemierzyło terytorium Meksyku w różnych karawanach i pochodach, aby przekroczyć granicę USA i prosić o azyl.

Zamienił Chińczyk...

Askoro już w Państwie Środka jesteśmy, to 17-letni Chińczyk bardzo chciał mieć iPhone'a. Niestety nie było go stać na zakup, więc w 2011 r. sprzedał nerkę. O sprawie informuje portal Antyradio.pl. Nerka poszła za 3,2 tys. dolarów, a Xiao Wang natychmiast zakupił sobie wymarzonego iPhone'a 4. Niestety po kilku latach telefon wyszedł z mody, a 24-letni dziś Xiao ma poważne problemy ze zdrowiem. „Rany nie zagoiły się jak należy, a powstała w wyniku operacji infekcja przeniosła się na zdrową nerkę – jedyną, jaką zachował Wang. Stan jego zdrowia zaczął się pogarszać, aż w końcu okazało się, że mężczyzna jest przykuty do łóżka i zdany na codzienne dializy” – czytamy. Co więcej, rodzina Wangów popadła w dług, próbując ratować jego zdrowie. Chińskie media nagłośniły sprawę, by przestrzec młodych ludzi przed robieniem głupot. Jak komuś brakuje piątej klepki, to mu iPhone nie pomoże. 



Podatek od grzechu

Od nowego roku Katar wprowadził akcyzę na artykuły, których spożywanie jest niebezpieczne dla zdrowia. W ten sposób alkohol podrożał dwukrotnie. Nowa danina została nazwana przez mieszkańców Kataru „podatkiem od grzechu”. Podobnie zdrożały wyroby tytoniowe i napoje energetyczne. „To fatalna wiadomość dla kibiców, którzy będą chcieli pojechać do Kataru na mistrzostwa świata w piłce nożnej zaplanowane na jesień 2022 r. Za puszkę piwa o pojemności 0,33 l będą musieli zapłacić równowartość 17 zł. Poza krajami skandynawskimi jest to jedna z najwyższych cen na świecie” – czytamy na rp.pl. Jean-Claude Juncker miałby tam ciężkie życie. 

Wolność słowa?

Gospodarz argentyńskiego programu radiowego Angel Etchecopar w ramach porozumienia z prokuraturą, która prowadziła przeciwko niemu postępowanie w związku z jego

»mizoginistycznymi diatribami« na antenie radia, musi przez pięć miesięcy, co tydzień, zapraszać do programu feministkę – informuje rp.pl. Ugoda stanowi, że Etchecopar nie może przerywać wypowiedzi swojemu gościowi przez 10 min. Nie może także krytykować wypowiedzi swojego gościa po jej zakończeniu. Innymi słowy: wolność słowa po argentyńsku.



„Widziałem i słyszałem liderów innych planet, są oni bardzo zmartwie- ni tym, jak UE będzie teraz kontynu- owana. Dlatego powinniśmy uspokoić Europejczyków i tych, którzy obserwują nas z od- dali – powiedział Jean-Claude Juncker w Parla- mencie Europejskim. Ma facet kontakty!



Przepraszam, czy tu gryzą?

W 2018 r. do Brytyjskiego Biura Spraw Zagranicznych, odpowiadającego na pytania Brytyjczyków przebywających za granicą, zgłosił się mężczyzna, który chciał wiedzieć, czy w Polsce są wampiry. Wszystko dlatego, że kobieta, z którą miał się spotkać na randce, zapytała go o grupę krwi. Niektórzy powinni mieć na liście postanowień na 2019 r. zmniejszenie tygodniowej dawki głupich filmów. To mogłoby ułatwić klarowniejsze postrzeganie rzeczywistości.

Fot. Andrzej Wilko, Shutterstock (x3)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

O obrotach sfer niebieskich

Czas Bożego Narodzenia, Nowy Rok to moment refleksji nad zmianami, jakie zachodzą w naszym życiu. I w całym świecie wokół nas. A świat, można mieć wrażenie, z każdym rokiem przyspiesza.

Każde kolejne pokolenie miało takie poczucie, choć chyba nie każde tak dotkliwie (jak nasi rodzice i my) odczuwało, że nasze doświadczenie tak bardzo różni się od doświadczenia młodszej generacji. Więc jako stary zgred, który przeżył już pół wieku z okładem, teraz będę sarkał i narzekał na współczesne czasy.

Podobno to Benjamin Franklin (antyszczepionkowiec znany z banknotu studolarowego) jeszcze w XVIII w. powiedział, że w życiu pewne są tylko „śmierć i podatki”. Słowo „śmierć” miało jednak podówczas zupełnie inne znaczenie, kojarzyło się i katolikom, i wywodzącym się z prezbiteriańskich zborów masonom – a takim był Franklin – z nieuniknionym Sądem Ostatecznym. Nie bez przyczyny ten deista wyzywał do surowości cielesnej. Pisał: „Rzadko używaj płci, tylko dla zdrowia albo potomstwa, nigdy do oświecenia, osłabienia lub szkody w twoim czy cudzym spokoju i opinii”.

W tej dziedzinie przez długie lata poglądy Kościoła, schizmatyków, heretyków, a nawet masonów były zgodne. Ogniskowały się w krytycznym osądzie dewiacji homoseksualnej. Nie bez przyczyny już w XXI w. musiała powstać grupa Bractwo Tęczy, zajmująca się „refleksją nad homofobią wśród wolnomularzy” oraz pomocą osobom, których orientacja seksualna mogłaby „zamknąć drzwi masonskich świątyń”.

Dla chrześcijan opoką był Kościół katolicki. Rozumiejący, że – jak zatyłłowaliśmy kiedyś w Tygodniku TVP tekst Tomasza P. Terlikowskiego – homoseksualizm jest grzechem najobrzydliwszym „odpychającym nawet dla szatana”. Mijały lata, mijały dekady, mijały epoki, a katolicy wciąż sięgali do Biblii, do pism Ojców Kościoła, do objawień świętych – i nie mieli w tej kwestii najmniejszej wątpliwości.

Portal pch24.pl zacytował ostatnio modnego niemieckiego franciszkanina: „Homoseksualizm jest normalny i należy w całkowicie oczywisty sposób do naszego człowieczeństwa [...] Nie ma żadnego kościelno-prawnego powodu, by wykluczać osoby homoseksualne z posługi kościelnej [...] Chcemy kościelnych ceremonii błogosławieństw dla par homoseksualnych” – stwierdził duchowny.

Cóż, żyjemy w czasach, kiedy słowa – „Kimże jestem, żeby osądzać” – padły z ust papieża. Ziemia za szybko się kręci.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl



**Dominik
Zdort**

BRONISŁAW WILDSTEIN

Neonazista na salonach

Najbardziej uhonorowanym materiałem dziennikarskim minionego roku jest reportaż (?) TVN „Polscy neonaziści”. Dostał on Nagrodę Radia Zet im. Andrzeja Woyciechowskiego, a jego autor, Bertold Kittel, został uznany za Dziennikarza Roku przez branżowy magazyn „Press”. „To wyróżnienie za profesjonalizm, promowanie światowych standardów pracy w mediach i przestrzeganie etycznych kanonów zawodu” – reklamują organizatorzy nagrody.

Można by podsumować: takie media jak ich nagrody, ale to, że intensywność promowania produkcji wzrasta wraz z narastającymi wokół niej wątpliwościami, prowokuje do refleksji.

O dziwnym „reportażu” TVN czytelnicy „Sieci” informowani są na bieżąco. Sprawę, która coraz bardziej wygląda na zamówioną i wyreżyserowaną prowokację, obserwuje dla nas i analizuje Wojciech Biedroń. Ja chciałbym zadać nieco inne pytanie. Dlaczego rzecz, którą, wydawałoby się, firmująca ją stacja i zjednoczone z nią we wspólnym froncie media winny jak najgłębiej ukryć, jest przez nie eksponowana? Dlaczego zamiast starać się uniknąć groźby kompromitacji, establishment medialny III RP, podejmując wielkie ryzyko, stawia sprawę na ostrzu noża?

Sprawa wyglądała podejrzanie od początku, zanim jeszcze wypłynęły zeznania oskarżonego, że urodziny Hitlera zostały u niego za 20 tys. zł zamówione – co uwiarygodnia nagle wpłynięcie na jego konto takiej sumy – i ujawnione zostały zdjęcia świadczące o udziale w imprezie twórców materiału oraz zachęcaniu przez nich uczestników do eskalacji działań.

W styczniu minionego roku TVN wyemitowała materiał, chwając się, że jej dziennikarzom udało się wniknąć do środowiska neonazistów. Dowodem był nagrany przez nich filmik z obchodów urodzin Hitlera z maja poprzedniego roku, chociaż w rzeczywistości wódz III Rzeszy urodził się w kwietniu. Obrazki były groteskowe: śmieszna grupka w głębi lasu, wafelki ułożone w swastykę itp. Niemniej wystarczyło to, aby materiał zrobił karierę w kraju, a zwłaszcza za granicą, gdzie prezentowany był jako przykład „odradzania się” nazizmu w Polsce pod rządami PiS. Mówienie o „odradzaniu się” w stosunku do kraju, w którym właściwie prawie nigdy nazizmu nie było, jest szczególnie obrzydliwe. To, że w prawie 40-milionowej populacji trafiają się grupki dewiantów czy durniów, jest nieuniknione. Fakt, że ze swoimi ceremoniami muszą się ukrywać w lesie, świadczy dobrze o Polakach. Zwłaszcza że w większości krajów Europy oraz USA, a szczególnie w RFN, możemy znaleźć całkiem poważnie działające tego typu ugrupowania, które mają na swoim koncie nie swastyki z wafelków, ale realne zbrodnie. Nie mówiąc już o twardych komunistach,



którzy publicznie wychwalają ludobójców takich jak Lenin czy nawet Stalin. Niemniej to Polska oskarżana jest o „odradzanie się” faszyzmu.

Twórca owego materiału powiedział to wprost, odbierając nagrodę Press: „Część polskich polityków ma coś na sumieniu i ma coś do ukrycia, jeśli chodzi o ruchy ekstremistyczne. Przecież nie wzięło się to znikąd, że ekstremiści zaczęli wchodzić na salony i używać symboli, które wskazują, że nie jest to tylko nacjonalizm. My to sprawdziliśmy z bliska i to, co zobaczyliśmy, a co nigdy nie miało wyjść na światło dzienne, spowodowało reakcję uderz w stół, a nożyce się odezwą”. I dodał: „Ten materiał wzbudził szaloną wściekłość u najważniejszych polityków w kraju”.

O co więc chodzi w tej ponurej propagandówce, było wiadome od początku: PiS równa się faszyzm. Nie było wiadome, że, najprawdopodobniej, została ona w całości zamówiona i wyreżyserowana. A to czyni sprawę bardziej ryzykowną dla jej twórców. Może nie dla samego Kittla – ma on już na koncie materiały pomawiające prawicowych polityków, które nie obroniły się nawet w sądach III RP, co w niczym nie zaszkodziło karierze autora, wygląda wręcz na to, że jej pomogło. Ale establishment medialny?

Obróńcy status quo III RP wypowiedzieli totalną wojnę swoim przeciwnikom. Nie mają więc żadnych skrupułów. Ich nauczycielem jest Stalin. Każdy, kto nie z nimi, to faszysta. Dwustutysięczny marsz z okazji odzyskania niepodległości, w czasie którego nie odnotowano żadnego aktu przemocy, to ewenement na światową skalę. Jego uczestnicy będą jednak oskarżani o sojusz z neonazistami. Nazistowska impreza zorganizowana w głuszy leśnej z pomocą TVN okaże się piśmowskim salonem.

Czy twórcy tej tępej propagandy liczą na to, że ich odbiorcy są na tyle izolowani od innych przekazów, iż nic nie wzbudzi ich wątpliwości? Czy uważają, że błysk fleszy kolejnej nagrody tak bardzo oślepi widzów, iż nie dostrzegą, jak bardzo parciający jest budowany na ich użytek spektakl? Czy przyzwyczajeni do permanentnej przewagi medialnej wierzą, że za jej pomocą są w stanie dokonać dowolnej operacji?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 765807a084

Bądź wierny, działaj

*94-letni kpt. Zbigniew
Radłowski jest bohaterem.
Pokonał niemieckie państwowe
kłamstwo, obronił honor Armii
Krajowej, Polaków, Polski*





MACIEJ PAWLICKI

Najskuteczniej wojny wygrywa się w sercu wroga. Trzeba sprawić, że przeciwnik przestanie wierzyć w swą siłę, w swą szansę, a jeszcze lepiej w ogóle w słuszność swej sprawy. Uzna, że wartości, których miał bronić, nie istnieją. Że nie powinien być ze swego sztandaru dumny, ale przeciwnie – wstydzić się go. Wtedy następuje w jego szeregach rozkład i chęć ucieczki, pokonanie go staje się niemal pewne. Tak mówi mistrz sztuki wojennej Sun Tsu.

I właśnie tak działają dziś Niemcy. Nasi przyjaciele i unijni protektorzy nie przestali być naszymi rywalami, którzy nadal traktują ziemie na wschód od Berlina jako czasowo administrowane przez Irokezów. Z Moskwą budują rurę niszczącą europejską solidarność, a kilka dni po 100-leciu odzyskania przez Polaków niepodległości wzywają do wyrzeczenia się jej. Bezczelne? Tak, ale to niemiecka norma. Od trzech wieków zdominowani przez pruską mentalność Niemcy budują swą tożsamość na bucie i beczelności, a subtelne pobrzękiwania weimarskich poetów mają jedynie zagłuszać nieprzyjemny hurgot pracującej na Wschód maszyny.

Fot. PAP/Janek Bednarczyk

Od pruskiego Fryderyka, który Polaków uważał za „Irokezów Europy”, przez Bismarcka i Hakatę, po XX-wiecznych niemieckich profesorów – teoretyków konieczności zdobywania dla „wielkiego narodu niemieckiego” przestrzeni życiowej – wypracowali rozmaite metody Drang nach Osten, parcia na Wschód. Najstraszliwszy był narodowy socjalizm, ale on unicestwiania narodów sąsiednich nie wymyślił, a jedynie ponure idee niemieckich intelektualistów skutecznie realizował.

Dziś zmieniła się metoda. Zamiast kosztownych (mimo że tak dobrze

Niemieckie państwowe media działają na rzecz swych ojców morderców

przez niemieckie państwo zorganizowanych i przez Niemców wykonanych) masowych mordów, zamiast masowych grabieży i wywożenia z Polski do Niemiec tysięcy wagonów dzieł sztuki, maszyn, mebli, księgozbiorów, porcelany, zegarów, pozbawiania kraju nad Wisłą wszelkich dóbr materialnych – dziś parcie na Wschód realizowane jest znacznie subtelniej. W Niemczech media potrafią ukryć, co trzeba, ale już w Polsce nie. Mimo że niemieckie są: największy dziennik, największy tygodnik, cała prasa kobieca, popularna i lokalna, największe radio, setki agentów wpływu – nie udało się ukryć takich transportów jak wtedy. Trzeba inaczej.

GLIWICE I AUSCHWITZ

Dziś główną metodą jest kolonizacja gospodarcza. Przykładów setki, nie na ramy tego tekstu. Więc tylko dwa: Unia Europejska dopłaciła 800 mln euro sieci Lidl, by mogła ona wykosić polski rodzinny handel. Commerzbank swoich polskich klientów (jako mBank) traktuje zupełnie inaczej niż klientów niemieckich, oferuje im zupełnie inne produkty. Bo w Niemczech bankowe

oszustwa są zakazane i karane. Gospodarcza batalia trwa i trwać będzie. Od podmiotowości i odwagi polskich polityków, a także presji, jaką w tej sprawie wywiera polska opinia publiczna, zależy, czy będziemy spychani do rezerwatu jak Irokezi, czy też zbliżymy się do statusu równoprawnego partnera.

I dlatego wróciła stara metoda – kłamstwo. Wydawało nam się, że wobec ogromu zbrodni dokonanych na Polakach przez Niemców, wobec cierpienia Polaków i ich masowego bohaterstwa w przeciwstawianiu się niemieckiej machinie zagłady Niemcy już nigdy nie odważą się pouczać nas w kwestiach moralnych. A jednak czas pokory minął, od kilku dekad Niemcy już nie przepraszają za swe zbrodnie, odsunęli je od siebie, sprytnie przesunęli na „naziistów”, do których coraz częściej zaliczają... Polaków. Napadliśmy na radiostację w Gliwicach, a potem zbudowaliśmy obozy śmierci.

Kapitan Zbigniew Radłowski jest bohaterem. Zasługuje na najwyższy szacunek. Za Auschwitz, za Powstanie Warszawskie, za komunistyczne więzienie. Ale także za to – a biorąc pod uwagę palącą potrzebę chwili – może przede wszystkim za to, że podjął walkę i wygrał z niemiecką państwową telewizją ZDF, która w swoim serialu niemiecko i państwowo kłamie o Armii Krajowej, przedstawiając ją jako bandę antysemitów. Dziś Niemcy nie zapędzają Polaków do obozów śmierci, nie robią abażurów z ludzkiej skóry, nie rozstrzelują, nie palą żywcem całych rodzin, jak podczas rzezi Woli czy za ukrywanie Żydów. Ale dziś Niemcy, także państwowe media, świadomie zakłamując historię, działają na rzecz swych ojców morderców. Dziś Niemcy kłamią, że niemieckie obozy śmierci były „polskie”. Jeśli tak, to jeszcze bardziej były one „żydowskie”, wszak więcej niż Polaków Niemcy zamordowali w nich Żydów. Ale sformułowanie „żydowskie obozy śmierci” w mediach niemieckich nigdy się nie pojawi. Choć przecież istnieli żydowscy szmalcownicy i współpracownicy w Zagładzie, żydowskie źródła świadczą, że okrucieństwa żydowskiej policji Żydzi bali się najbardziej. Ale dziś Żydzi potrafią

Ruiny wysadzonego przez Niemców we wrześniu 1944 r. kościoła św. Michała Archanioła i św. Floriana Męczennika przy ul. Floriańskiej



bronić dobrego imienia swych cierpiących i zamordowanych ziomków. Taka sama obrona dobrego imienia bohater-skich, cierpiących i zamordowanych Polaków jest zadaniem najważniejszym, najpilniejszym.

OBRONCA KRÓLESTWA

Także dlatego że – mimo gwałtownego ataku na Polskę sprzed roku – wciąż niewiele z nas rozumie, jak ogromne szkody przynosi nam rozpowszechnianie na świecie kłamstwo o tym, jak zachowali się nasi ojcowie wobec ogromu niemieckiej zbrodni na Żydach i Polakach. Wytaczając proces telewizji ZDF, kapitan Radłowski stanął jak jeden z długiego szeregu „obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów”. W sensie moralnym jego postawa i jego zwycięstwo są bezcenne. Ale także w sensie pragmatycznym, politycznym, jako troska o dobro wspólne. W swym poruszającym apelu zwraca się do młodych o aktywność: „żebyście nie musieli wstydzić się i przeproszać za winy niepopelnione przez Waszych ojców... Żebyście nie

musieli płacić za zbrodnie, których oni nie dokonali”.

Nie chcemy, by Niemcy byli naszymi protektorami, nie mają do tego mandatu moralnego. Jeżeli już, to my możemy być opiekunami Niemców, dopóki są moralnie kalecy – zbudowali zbrodniczą ideologię i masowo popierali swe zbrodnicze państwo, które do tej pory nie rozliczyło się z Polakami za swe zbrodnie i nie zwróciło zagrabionego polskiego mienia. Tymczasem Polacy w obliczu niemieckiej zbrodni – w porównaniu z całą resztą Europy – zachowali się najodważniej i najszlachetniej.

Ale kłamstwo tysięcy razy powtórzone staje się prawdą, mówił Goebbels (w ZDF byłby dyrektorem?). Obrzydliwe moralnie i groźne politycznie są wysiłki, by wybielić zbrodnie niemieckiego państwa, a zbrodniczym antysemityzmem i winą za niemiecki rządowy plan Endlösung der Judenfrage (Ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej) obciążyć Polaków. Ale, znając historię Drang nach Osten, przestańmy się dziwić. Tak było, jest i będzie. Nasza wolność, nasz honor, a w konsekwencji nasza siła – moralna, polityczna i gospo-



Kpt. AK Zbigniew Radłowski

darcza – zależy od nas, od naszej wierności ideałom. Od naszej reakcji, aktywności, odwagi. Właśnie takiej, jaką zawsze miał i ma dziś 94-letni kapitan Radłowski. Jeśli młodzi Polacy usłyszą, zrozumieją jego apel, poniosą go i będą realizować, Polska będzie istnieć.

Panie Kapitanie, w imieniu własnym, moich dzieci i przyszłych wnuków – dziękuję!

Przestanie kpt. Zbigniewa Radłowskiego do młodych Polaków

Byłem zryłem, wiele przeżyłem,
ale żadne z moich dotychczasowych doświadczeń
nie przygotowało mnie na tę sytuację.
Na konieczność walki o prawdę historyczną w sądach
kilkadzienną lat po zakończeniu 2 wojny światowej.

Ta prawda o wydarzeniach, które były udziałem
wielu milionów Polaków

wydawała się nam tak oczywista –

– że niemożliwa do podważenia

Robiłem co mogłem dla Polski
dla moich poległych i zmarłych już
kolegów i koleżanek z Armii Krajowej.

Teraz, tu, zwracam się przede wszystkim
do wszystkich młodych Polaków –
wszystko jest w Waszych rękach
i w Waszych sercach.

Robcie co możecie – żeby obronić prawdę –

– żebyście nie musieli wstydić się i przepraszac' –
za winy niepopetniane przez Waszych ojców, dziadów
czy pradziadów,

– żebyście nie musieli patać
za zbrodnie, których oni nie dokonali

Pamiętajcie, że macie wszelkie powody do dumy.
Podajcie to odważny i wspamiatny naród,

gotów iść innym z pomocą
i zapłacić za to najwięcej cenę

– cenę życia.

Kpt inż. Zbigniew Radłowski

Oryginał przesłania kpt. Zbigniewa Radłowskiego, żołnierza Armii Krajowej, powstańca warszawskiego, prześladowanego po wojnie przez komunistów. Tekst ten został wygłoszony 28 grudnia 2018 r. na zakończeniu procesu wytoczonego producentom kłamliwego niemieckiego filmu „Nasze matki, nasi ojcowie”, a oryginał został przekazany nam przez autora specjalnie dla czytelników tygodnika „Sieci”.

Warto wyciąć, wywiesić w miejscu publicznym, podać dalej.

Głos odchodzącego pokolenia

Wyrok w sprawie wytoczonej przez kpt. Zbigniewa Radłowskiego i Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej jasno pokazuje polską determinację w obronie prawdy, godności oraz czci żołnierzy Armii Krajowej, i Polski w ogóle. Proces ten wygrany w pierwszej instancji jest niejako głosem pokolenia, które złożyło dla Polski ofiarę życia i które odchodzi pełne niepokoju, czy my, ich następcy, zdołamy tę godność i cześć obronić

28 grudnia 2018 r. Sąd Okręgowy w Krakowie wydał wyrok w sprawie z pozwu kpt. Zbigniewa Radłowskiego i Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej (SZŻAK) przeciwko twórcom miniseriale „Nasze matki, nasi ojcowie”. ZDF i UFA Fiction mają solidarnie przeprosić Polaka Zbigniewa Radłowskiego i SZŻAK w wyniku przegranego procesu o ochronę dóbr osobistych poprzez umieszczenie przeprosin w godzinach emisji serialu na antenie TVP i trzech telewizji niemieckich. Mają także zamieścić przeprosiny na swoich internetowych stronach głównych na okres trzech miesięcy. Dodatkowo sąd orzekł, że obaj producenci mają zapłacić kpt. Radłowskiemu 20 tys. zł zadośćuczynienia. To wielki polski sukces.

PIKIETA

Sprawa miniseriale „Nasze matki, nasi ojcowie” rozpoczęła się dla mnie wkrótce po założeniu Reduty Dobrego Imienia (RDI). Gdy w marcu 2013 r. pojawiła się informacja o premierze tego serialu o tak antypolskim zabarwieniu, zorganizowałem pikietę protestacyjną na ul. Dąbrowskiego, pod warszawską siedzibą ZDF. Zrobiliśmy to wspólnie z Towarzy-



MACIEJ ŚWIRSKI

stwem Patriotycznym Jana Pietrzaka, pod którego egidą Reduta na samym początku swojej działalności znalazła schronienie. Później, gdy RDI stała się osobną fundacją, przeciwdziałanie wymowie tego filmu było przez cały czas naszym głównym celem.

W POLSKIEJ TELEWIZJI

Wkrótce okazało się, że serial „UMUV” (w terminologii Reduty Dobrego Imienia tak nazywamy ten paszkwil, od słów „Unsere Mütter, unsere Väter”) będzie emitowany także przez Telewizję Polską SA, ówczesnie pod kierownictwem Juliusza Brauna. To on podjął decyzję, by – jak mówił – „polski widz mógł się zapoznać z wymową tego filmu”. W mojej ocenie wyświetlenie „UMUV” w polskiej państwowej telewizji udaremniło polskie wysiłki w celu osłabienia jego wymowy. 10 czerwca 2013 r. napisałem list otwarty do Juliusza Brauna w tej sprawie – bez odzewu.

Po emisji „UMUV” w TVP 13 czerwca 2013 r., gdy Polacy „zapoznali się z wymową tego filmu”, jak chciał Juliusz Braun, a w kraju zapanowało powszechne oburzenie na ten serial, złożyłem 20 czerwca 2013 r. do Prokuratury Warszawa-Mokotów doniesienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez prezesa Telewizji Polskiej SA w postaci udziału w znie-



Po lewej kadr z filmu „Nasze matki, nasi ojcowie”. Po prawej kpt. AK Zbigniew Radłowski na sali rozpraw Sądu Okręgowego w Krakowie w dniu ogłoszenia wyroku

Fot. East News/ZDF/OR Photo David Sliama, PAP/Jacek Bednarczyk

ważeniu narodu polskiego (art. 133 KK). Prokuratura najpierw odrzuciła to doniesienie, a potem po naszym zażaleniu podjęła sprawę i umorzyła ją w maju 2014 r. Po kolejnym zażaleniu złożonym przez Redutę Dobrego Imienia w tej sprawie sąd wydał postanowienie o konieczności prowadzenia postępowania, wydając zarazem bardzo istotne zalecenia prokuraturze: konieczność przesłuchania świadków, obejrzenia filmu (!), powołania biegłych. Później pisaliśmy jeszcze w tej sprawie list otwarty do ówczesnego premiera RP – pana Donalda Tuska. List pozostał niestety bez odpowiedzi.

SKUTECZNA AKCJA

W lutym 2014 r. przeprowadziliśmy pierwszą poważną akcję petycyjną, ponieważ linie British Airways na pokładach swoich samolotów wyświetlały „UMUV”, a poinformowali nas o tym wolontariusze Reduty Dobrego Imienia. Wtedy po raz pierwszy zostało zastosowane sformułowanie używane przez RDI w korespondencji do adresatów protestów. Kwestia oszczerczych sformułowań, takich jak „polskie obozy koncentracyjne”, albo wymowa serialu „UMUV” nazywane są przez nas „językiem nienawiści na podstawie uprzedzeń rasowych albo narodowościowych”. I jest to skuteczne. Linie British Airways, po chwilowym oporze, w ciągu półtora tygodnia zdecydowały się wycofać „UMUV” z pokładowego centrum rozrywki, co

wiązało się z dodatkowym serwisowaniem samolotów. Akcja ta pokazała potencjał oburzenia Polaków związanego z tym filmem i chęć działania w obronie dobrego imienia Polski.

POZEW KAPITANA AK I SZŹĄK

19 listopada 2013 r. kpt. Zbigniew Radłowski, żołnierz Armii Krajowej, więzień Auschwitz i powstaniec warszawski, oraz Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej z pomocą pełnomocników dr Moniki Brzozowskiej-Pasieki i Jerzego Pasieki, z kancelarii Pasieka Derlikowski Brzozowska i Partnerzy, złożyli pozew przeciwko twórcom serialu – niemieckiej telewizji ZDF i UFA Fiction – za naruszenie dóbr osobistych żołnierzy AK. Pełnomocnicy prowadzili sprawę pro publico bono. Merytorycznie proces rozpoczął się 18 lipca 2016 r.

Czytelnikom „Sieci” nie muszę wyjaśniać, dlaczego ten pozew został złożony. Dla patriotycznej części opinii publicznej sprawa jest oczywista – serial, który w fałszywym świetle przedstawia Armię Krajową, który robi z żołnierzy największej armii podziemnej bandytów i antysemitów, musiał znaleźć odpowiedź. RDI włączyła się aktywnie w informowanie o sprawie przeciwko twórcom serialu.

Najważniejsza jest jednak postać Zbigniewa Radłowskiego – żołnierza Armii Krajowej, który w momencie rozpoczęcia sprawy miał już 91 lat. Kapitan Radłowski nie

mógł spokojnie patrzeć, w jaki sposób Niemcy przedstawiają historię II wojny światowej i jego towarzyszy broni. To żołnierz wierny swojej przysiędze i pamięci poległych oraz zmarłych kolegów. Żołnierz, który nie mógł milczeć, gdy gloryfikowany jest udział Niemców w wojnie przez nich wywołanej, a niemieckie winy przerzucane są na Polaków. Jego bunt przeciwko niemieckiej propagandzie jest znamieny. To żołnierz Armii Krajowej, a nie ówczesnie rządzący, podjął działania prawne przeciwko niemieckim oszczercom. Patrząc na tę sprawę, ciągnącą się ponad cztery lata (na początku nie było wiadomo, czy sąd sprawę przyjmie, potem zmienił się sędzia prowadzący), musimy wiedzieć, że mimo oczywistych dla polskiego patrioty kwestii szkalowania Armii Krajowej sprawa ta zawierała (i zawiera, bo Niemcy zapowiedzieli apelację) kwestie niezwykle istotne z punktu widzenia walki o dobre imię Polski.

W serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” dopuszczono się nieuprawnionego uogólnienia. Nawet jeśli zdarzały się jakieś antysemickie wystąpienia żołnierzy należących do AK, to prawda historyczna jest taka (niekwestionowana przez nikogo), że Armia Krajowa nie była organizacją antysemicką, a tak została przedstawiona w filmie

PROCES

Po pierwsze, sąd musiał rozstrzygnąć, czy jest właściwy do rozpatrywania tej sprawy. Strona przeciwna wносиła o oddalenie, ponieważ jest to serial produkcji niemieckiej. Na pierwszej rozprawie sąd uznał, że jest właściwy do rozpatrywania sprawy.

Po drugie, wyrok, który zapadł 28 grudnia 2018 r., nie jest ograniczeniem wolności twórczej. Sąd wypowiedział się jednoznacznie w tej sprawie: tam, gdzie mamy do czynienia z fabularną twórczością filmową, która w istocie jest mieszaniną gatunków – dokumentu, fabularyzowanego dokumentu i fabuły – tam, gdzie jest mowa o „bezsportnych faktach”, ma być powiedziana prawda. W serialu „Nasze matki, nasi ojcowie” dopuszczono się nieuprawnionego uogólnienia. Nawet jeśli zdarzały się jakieś antysemickie wystąpienia żołnierzy należących do AK, to prawda historyczna jest taka (niekwestionowana przez nikogo), że Armia Krajowa nie była organizacją antysemicką, a tak została przedstawiona w filmie.

Pozwani nie udowodnili, że kiedykolwiek w historii doszło do sytuacji przedstawionej w kluczowej dla sprawy scenie, w której „żołnierze AK” otwierają wagon z więźniami obozu koncentracyjnego i rozpoznają ich jako Żydów, pozostawiają na pastwę „nazistów”. To wymysł mający usprawiedliwić antypolską wymowę serialu, a równocześnie uzasadnić niemiecką narrację historyczną wokół tej sprawy, co już zresztą widać w komentarzach niemieckich mediów po wyroku krakowskiego sądu. Mówi się tam, że „antysemickie ataki Armii Krajowej miały miejsce”. To swoiste zapętlenie dezinformacji – na podstawie fałszywego przekazu filmowego kształtuje się świadomość odbiorcy, a ten wydaje sądy o historii na podstawie tego fałszu. Nie zmienia to faktu, że dzięki wygranej procesowi powstaje doktryna prawna w takich sprawach.

Wielką w tym zasługą dr Moniki Brzozowskiej-Pasieki, która specjalizuje się w sprawach o naruszenie dóbr osobistych, zwłaszcza w sprawach precedensowych. Mowa kończąca pani mecenas odwoływała się do wyroków ETPC, które są dostępne jedynie w wersji angielskiej lub francuskiej i które oddają ducha europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Nie do przecenienia była również pomoc mecenas Jerzego Pasieki, który od niemal 30 lat zajmuje się sprawami cywilnymi. Bez wątpienia sędzia Kamil Grzesik wykazał się bezstronnością, bezkompromisowym docieraniem do prawdy i odwagą. Uzasadnienie wyroku można znaleźć na stronie internetowej Reduty Dobrego Imienia – www.rdi.org.pl.

MACIE WSZELKIE POWODY DO DUMY

Wyrok w sprawie wytoczonej przez kpt. Zbigniewa Radłowskiego i Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej jasno pokazuje polską determinację w obronie prawdy, godności oraz czci żołnierzy Armii Krajowej, i Polski w ogóle. Proces ten wygrany w pierwszej instancji jest niejako głosem pokolenia, które złożyło dla Polski ofiarę życia i które odchodzi pełne niepokoju, czy my, następcy, zdołamy tę godność i cześć obronić.

Kapitan Zbigniew Radłowski w swojej wzruszającej procesowej mowie końcowej wypowiedział to jednoznacznie i pięknie zarazem:

„Długo żyłem, wiele przeżyłem, ale żadne z moich dotychczasowych doświadczeń nie przygotowało mnie na tę sytuację, na konieczność walki o prawdę historyczną w sądach, kilkadziesiąt lat po zakończeniu II wojny światowej. Ta prawda o wydarzeniach, które były udziałem wielu milionów Polaków, wydawała nam się tak oczywista, że niemożliwa do podważenia. Zrobiłem, co mogłem, dla Polski, dla moich poległych i umarłych już kolegów i koleżanek z Armii Krajowej. Teraz tu zwracam się przede wszystkim do wszystkich młodych Polaków – wszystko jest w Waszych rękach i w Waszych sercach. Róbcie, co możecie, żeby obronić prawdę. Żebyście nie musieli wstydzić się i przeproszać za winy niepopelnione przez Waszych ojców, dziadów czy pradziadów. Żebyście nie musieli płacić za zbrodnie, których oni nie dokonali. Pamiętajcie, że macie wszelkie powody do dumy. Polacy to odważny i wspaniały naród, gotów iść innym z pomocą i zapłacić za to najwyższą cenę, cenę życia!”

STYCZEŃ

MOCNY TYDZIEŃ!

z TELEWIZJĄ **W POLSCE PL**



PONIEDZIAŁEK

17:05

BARDZO
WAŻNA SPRAWA



WTOREK

22:00!

SERIAL
SŁUGA NARODU

WŁĄCZ **W POLSCE PL**

ŚRODA

13:05!



PROSZĘ
TO WYJAŚNIĆ

CZWARTEK

17:25



TYDZIEŃ JACKA I MICHAŁA
KARNOWSKICH

PIĄTEK

22:00



BEZ
SPINY !!!



PIOTR CYWIŃSKI

Właściwie mój komentarz powinienem zacząć od końca, od podziękowań: dziękuję ci, niemiecka telewizjo ZDF! Dziękuję za ogromny wkład w uzmysławianie nam, Polakom, i w dużej mierze własnym obywatelom, czym kieruje się i jak funkcjonuje wasz perfekcyjny mechanizm obłudnej propagandy. Dziękuję za odmowę przeprosin i przeciąganie procesu o zniesławianie nas, Polaków, przez co nie tylko polska opinia publiczna może poznać tak usilnie zacieraną we współczesnych Niemczech prawdę historyczną.

Zaiste, o proces tu chodzi, i to nie byle jaki, można rzec bez przesady, proces historyczny. Pozwanymi stali się twórcy serialu „Nasze matki, nasi ojcowie”, którzy przedstawili w swym teletryptyku, wyemitowanym w ponad 80 krajach, żołnierzy polskiej Armii Krajowej jako degeneratów, rabusiów i antysemitów.

Dla przypomnienia, to rzecz o losach pięciorga młodych Niemców podczas II wojny światowej. Ich życiorysy są zmyślane, ale według realizatorów filmu, „oparte na opowiadaniach świadków tamtych zdarzeń”. Serialowa wojna zaczyna się dopiero w... połowie 1941 r., jakby wcześniej nie było napaści na Polskę i Francję, a piątka przyjaciół żyła pod kłosem, nieświadoma hitlerowskiej agresji ani okupacji podbitych krajów. Wtedy, w 1941, słowo „wojna” nie wywoływało jeszcze strachu w oszalałej z uwielbienia dla Führera III Rzeszy. Charlotte, Greta, Friedhelm, Viktor i Wilhelm korzystają z życia i robią plany na przyszłość. Młodzi, zmanipulowani, dobrzy Niemcy. Friedhelm ginie pod koniec wojny, rzucając się samobójczo pod ostrzał Rosjan. Greta zostaje rozstrzelana z rozkazu hitlerowskiego oficera, dla którego ich romans stał się kłopotliwy. Pozostali przeżyli z traumatycznymi wspomnieniami.



Dzięki uporowi ZDF następuje niezbędny powrót do przeszłości i właściwy sąd nad historią. Ale też sąd nad współcześnie propagowaną, kolektywną „niewinnością” Niemców w czasach II wojny światowej. Nad natrętnym szukaniem współsprawców niemieckich zbrodni

Zaminowane

„NIEWIARYGODNY MOTŁOCH”

Pominę to, że ubolewanie Niemców nad własną traumą całkowicie przesłania jej przyczyny – że w obcych krajach nie znaleźli się z wycieczkami biura podróży TUI – oraz nachalną próbę relatywizacji niemieckiej odpowiedzialności.

Nie pierwsza to i pewnie nie ostatnia produkcja filmowa w RFN, sięgająca do najczarniejszego rozdziału w historii Niemiec i świata. Jak podsumował monachijski reżyser Dominik Graf, ich realizatorzy obrazują zazwyczaj „emocje związane z historycznym losem i mity, a nie samą historię w detalach, a tym samym ją fałszują”. Wspólną wykładnią ma być zbiorowa niewinność samych Niemców, których sprawstwo rozparcelowywane jest pomiędzy ich ofiary.

Ofiarą i czczonym bohaterem stał się m.in. Claus von Stauffenberg, rozslawiony w ście hollywoodzkiej produkcji „Walkiria”, z Tomem Cruise’em w roli dzielnego niemieckiego oficera, który uczestniczył w zamachu na Hitlera. W obrazie tym nie ma miejsca na fakty, że był to taki sam „nazysyn” jak inni z hitlerowskiej czeredy, zwolennik „planowej kolonizacji” środkowej i wschodniej

Europy przez Niemców, w tym Polski, o której pisał, że jej ludność stanowi „zażydzony, niewiarygodny motłoch”, „naród, który dobrze czuje się tylko pod batem” i że polscy „jeńcy przydadzą się w naszym [dopisek mój: niemieckim] rolnictwie”. Filmowa opowieść o Stauffenbergu ocieka obłudą, zamachu na wcześniej umiłowanego wodza narodu niemieckiego próbowano bowiem dokonać dopiero w obliczu nieuchronnej klęski III Rzeszy.

W osądzonym przez krakowski sąd filmie „Nasze matki, nasi ojcowie” dzieje się jeszcze gorzej, nie chodzi bowiem „tylko” o wybiórcze traktowanie życiorysów i historii, lecz bezczelne zestawianie z zagubionymi, ale przecież dobrymi Niemcami oraz z w sumie szlachetnymi Rosjanami polskich wykończonych z Armii Krajowej – rabusiów i antysemitów, jak ich pokazał w chwili realizacji tego serialu niespełna 40-letni reżyser Philipp Kadelbach. O dobroci i szlachetności tych pierwszych mają świadczyć np. sceny, w których jedna z bohaterek idzie do łóżka z paskudnym nazistą, aby załatwić lewe papiery koledze Żydowi, jej kolega na froncie częstuje papierosem umierającego



pole

Fot. Materiały prasowe

rosyjskiego czołgistę, a ich koleżankę sanitariuszkę ratuje przed zgwałceniem przez rosyjskiego żołdaka piękna czerwonoarmistka z fryzurą, jakby wyszła od fryzjera, w eleganckim, do tego czyściutkim, odprasowanym mundurze i lśniących oficerkach. Mało tego. Pani sierżant beszta swego rodaka: „Jesteśmy radzieckimi żołnierzami niosącymi wolność, a nie gwałcicielami!”, wręcza Niemce równie piękny uniform tudzież lśniące oficerki i puszcza ją wolno, wygłaszając tekst: „Za kilka tygodni wygramy wojnę, z kim będziemy budować lepsze Niemcy?”.

56 OMÓWIEN

Co dotyczy żołnierzy Armii Krajowej – dość spojrzeć na głowę ich dowódcy z kilkoma zegarkami na ręku... Wstyd i hańba! Że powtórzę: teletylogię „Nasze matki, nasi ojcowie” pokazano niemal na całym świecie, bo w ponad 80 krajach. Zgodnie z orzeczeniem krakowskiego sądu pozwany przez prawdziwego, a nie fikcyjnego bohatera powstania warszawskiego, więźnia Auschwitz, 94-letniego kpt. Zbigniewa Radłowskiego, wspieranego przez

Światowy Związek Żołnierzy AK, kanał ZDF ma przeprosić w niemieckiej i polskiej telewizji za ich zniesławianie oraz poprzedzać kolejne emisje serialu informacją o faktach historycznych.

Jak reagują Niemcy? Dość powiedzieć, że proces ciągnie się od pięciu lat i końca nie widać, szefostwo ZDF zapowiada bowiem składanie kolejnych apelacji.

Werdykt krakowskiego sądu odbił się w Niemczech (i nie tylko) głośnym echem. W pierwszych dwóch dniach po wydaniu tego orzeczenia naliczyłem aż 56 obszernych omówień we wszystkich ważnych dziennikach i tygodnikach w RFN, a także na portalach internetowych i kanałach telewizyjnych. Przy okazji przypomniane zostały niektóre sceny, np. ta, gdy „polska armia podziemna odmówiła pomocy Żydom transportowanym w wagonach towarowych”, bo według „jednego z partyzantów są tak samo źli jak komuniści i ruscy” (telewizja publiczna ARD). Komentator podał wszakże w wątpliwość, czy było to świadome wprowadzanie w błąd przez twórców filmu. Zwrócił też uwagę, że udzielanie Żydom pomocy było w okupowanej Polsce karane śmiercią. Stołeczny dziennik „Der Tagesspiegel” zakończył swój komentarz zdaniem, że „narodowo-konserwatywny rząd w Warszawie przykuł międzynarodową uwagę ustawą o Holokaucie”, zgodnie z którą za używanie „określenia »polskie obozy śmierci« mają grozić trzy lata więzienia”. Tygodnik „Der Spiegel” zatytułował swój tekst, że telewizję ZDF skazano za „rzekomo fałszywy” obraz AK w serialu, co „wywołało w Polsce wzburzenie zwłaszcza prawniczo-konserwatywnych polityków”, którzy uznali go za „film propagandowy”. Tygodnik nie omieszczał nadmienić, że został on wyróżniony międzynarodową nagrodą Emmy (USA) dla produkcji zagranicznych.

„WOLNOŚĆ SZTUKI”

Odmowa wykonania wyroku przez ZDF uruchomiła wręcz lawinę publikacji o różnym zabarwieniu. Dziennik „Süddeutsche Zeitung” zaakcentował sugestywnie w tytule, w oparciu o cytaty: „Antysemityzm występował także w polskiej Armii Krajowej”. I znów,

że w Polsce „ukształtowanej przez narodowo-konserwatywny rząd okres okupacji jest drażliwym tematem, jeśli chodzi o udział niektórych obywateli w zbrodniach Niemców – jak zamianowane jest to pole, dowodzi wyrok przeciw twórcom filmu ZDF”. Gazeta przytoczyła wypowiedź polskiego sędziego, że serial jest „jednostronnym i nieprawdziwym przedstawieniem faktów historycznych”, że – co wyodrębniła w śródtytułach – „niewątpliwie Polskie Państwo Podziemne pomagało prześladowanym Żydom”, przypomniawszy również zasługi Witolda Pileckiego i Jana Karskiego w informowaniu aliantów o niemieckiej „maszynierii śmierci”. Z kolei „Frankfurter Allgemeine Zeitung” uznał za stosowne wytuścić, że sąd „nie wziął pod uwagę wolności sztuki”, co miało skrytykować w relacji z procesu francuska agencja AFP.

Symptomatyczna wybiórczość, gdyż nawet w opisie serialu w niemieckiej Wikipedii odnotowano, że „sprowokował szeroką, międzynarodową, po części ostrą krytykę”, że „zarzucono mu pokazanie prawie bez wyjątku antysemickiego nastawienia polskich partyzantów”. Co więcej, że podobne echo odbiło się w Rosji, gdzie również wytknięto twórcom filmu bagatelizowanie Holokaustu i przeinaczanie historii.

Nie da się ukryć, że z serialu bije jak łuna manipulacja, próba przekształcania sprawców w ofiary zbrodniczego systemu. Jak to ujął w tygodniku „Stern” historyk Habbo Knoch, z pomocą przeżyć fikcyjnych postaci, płytkich dialogów i spleśzczonych zdjęć, bez pogłębiania sensu pokazano „coś skiczowaciętego, a co najgorsze, pod względem moralnym pełnego wzniosłego samowspółczucia”. Tobias Kaufmann z „Kölner Stadt-Anzeiger” wygarnął wprost: „I oto mamy znowu: nasze moralne zwycięstwo. Tak wiele zakłamania lepiej byłoby nie ignorować”.

Dzięki uporowi ZDF dokonuje się spóźniony, ale jednak niezbędny powrót do przeszłości i osąd nad historią, nad natrętnie propagowaną kolektywną „niewinnością” Niemców, nad uporczywym szukaniem poza granicami współsprawców własnych zbrodni. I w tym kontekście – dziękuję ci, niemiecka telewizjo ZDF, za odmowę przeprosin...!

Spętanie 2019



Fot. Andrzej Witko

Nadchodzące wybory są tak ważne dlatego, że albo otworzą możliwość zerwania z niemożnością wpisaną w gen III RP, albo ją przypieczętują



PIOTR SKWIECIŃSKI

To nie będzie tekst o polityce zagranicznej, ale jeden jej aspekt wymieniście ilustruje pewien znacznie szerszy temat.

Ilustracja ta wygląda otóż tak: w kwestii stosunku do Rosji rządzący obecnie Polską w pewnym sensie skazani są na bezruch. I nie tylko dlatego, że partner jest, eufemistycznie to określimy, trudny. Przede wszystkim dlatego, że

Prawo i Sprawiedliwość – oskarżane przez opozycyjną machinę propagandową o to, że jakoby „prowadzi Polskę na Wschód”, „putinizuje ją” i „realizuje zamówienie Kremla” – nie jest w stanie, choćby chciało, wyjść z jakiegokolwiek inicjatywą mającą na celu polepszenie relacji z Moskwą. Wie bowiem, że wówczas nastąpiłoby piekło. Ruszyłaby lawina insynuacji i triumfalnych obwieszczeń, że oto mamy najlepszy dowód, iż wrogowie PiS cały czas mieli rację i wszyscy nie w stu procentach zgadzający się z dominującą na Zachodzie ideologią i niechęć w stu procentach realizować interesów zachodnich elit i ich krajowych ekspozytur są, a co najmniej muszą się stać, „jeśli nie subiektywnie, to obiektywnie”, rosyjską agenturą.

Ba, ale zarazem PiS nie może też zrobić nic z nadto antyputinowskiego. Bo jeśli zrobi, to – znów – ruszy na nie lawina insynuacji i tryumfalnych obwieszczeń, że oto mamy najlepszy dowód, iż wrogowie PiS cały czas mieli rację i obłąkany rusofobią Kaczyński właśnie zaczyna – aby zemścić się za Smoleńsk – wypowiadać Rosji wojnę. Przecież już teraz opozycja, i ta partyjna, i ta medialna, z jednej strony atakuje rządzących za rzekome pełnienie funkcji pożytecznego idioty Kremla, a z drugiej – za plany przekopania Mierzei Wiślanej, i udaje, że nie widzi w tym sprzeczności.

Co więc w tych kwestiach PiS pozostaje? Trwać w miejscu i unikać wszystkiego, co byłoby zbyt jednoznaczne.

Taka sytuacja nazywa się spętaniem. I tu zostawmy politykę zagraniczną.

NIE TYLKO NIE KRAŚĆ

W 2015 r. większość elektoratu wsparła PiS z różnych przyczyn. Było to poczucie zagrożenia tradycyjnego kulturowego kształtu kraju, była to świadomość wyczerpania się zapoczątkowanej w okresie transformacji drogi rozwoju gospodarczego i coraz bardziej dolegliwego zablokowania ścieżek osobistego awansu, były to wciąż jeszcze odgrywane jakąś rolę emocje antykomunistyczne, było to poczucie, że dla dominujących wówczas elit III RP polski patriotyzm jest czymś w niedobrym tonie, były to też intuicje antykorupcyjne.

Ale było coś jeszcze. Dla jakiejś, niekoniecznie najliczniejszej, ale z całą pewnością znaczącej, również w sensie jakościowym, części wyborców bardzo ważna była motywacja propaństwa.

Bo PiS było ugrupowaniem właśnie propaństwowym, poważnym w tym nastawieniu. I bardzo odróżniało się pod tym względem od tła. Tym tłem była przede wszystkim Platforma Obywatelska, której lider w zasadzie nie ukrywał, iż nie tylko nie ma nic przeciw słabnięciu państwa, lecz wręcz z radością wyzbywa się odpowiedzialności za kolejne jego fragmenty na rzecz poszczególnych, lokalnych czy korporacyjnych, grup interesów w zamian za polityczne poparcie z ich strony. O propaństwowości SLD, po zgraniu się tej partii w okresie rządu Millera, trudno było w ogóle mówić na poważnie. Podobnie jak, ze względu m.in. na znaną już wtedy w ogólnych zarysach rolę odegraną przez Waldemara Pawlaka przy zawieraniu sławetnego traktatu gazowego z Rosją, trudno było na poważnie rozpatrywać w tym kontekście PSL.

PiS zaś było inne. Jawiło się nie tylko jako ugrupowanie broniące tradycji przed inżynierią społeczną i patriotyzmu przed nihilizmem, urzędniczej uczciwości przed traktowaniem państwa jako zasobu przeznaczanego do wyprowadzenia do prywatnych kieszeni uprzywilejowanych. Nie tylko jako partia, której liderzy postrzegają rządzenie Polską i jej wzmacnianie jako cel sam w sobie, a nie przepustkę do ka-

riery „grubych misiów” w instytucjach zachodnich. Również jako ugrupowanie mogące przełamać inercyjność i niemożność wpisane w genetyczny kod III RP. Umiejące nie tylko „nie kraść” i nie tylko oczyścić maszynę państwową z osób niegodnych zaufania, lecz trwale zmieniać Polskę. Jeśli trzeba, przechodząc przy tym do porządku dziennego nad niechętną reakcją środowisk o interesach sprzecznych z tymi zmianami.

Jak dziś, po przeszło już trzech latach rządów, przedstawia się pod tymi względami dorobek PiS?

CZYNNIK LUDZKI

Pod względem antykorupcyjnym partia rządząca raczej spełniła oczekiwania. Nawet nieżyczliwi dobrej zmianie obserwatorzy zachodni konstatują, że pod tym względem „kaczystowska” Polska różni się na plus od Orbánowych Węgier. Nie lekceważę afery związanej z Komisją Nadzoru Finansowego. Ale i jej rozmiar, i sposób podejścia do niej władz, i wreszcie to, że jest ona jak dotąd jedynym poważnym ekscysem, bardzo kontrastuje z Polską platformerską. Z unoszącym się nad ówczesnym obozem rządzącym, przeciskającym się przez wszystkie filtry, zapaszką łapczywej pazerności.

Tyle że ten sukces ma ograniczony wymiar. Bo oparty jest na większej osobistej uczciwości obecnie rządzących i strachu przed bezkompromisowością służb, nastawionych przede wszystkim na niedopuszczenie do osunięcia się obozu w korupcję. Trudno nie zauważyć, że efektywność obu tych czynników zależy wyłącznie od czynnika ludzkiego, nie może więc być wieczna.

Dla petryfikacji osiągnięć potrzebne byłyby regulacje systemowe, idące dalej niż zwiększanie różnego rodzaju obowiązków sprawozdawczych czy możliwości działania służb. Na łamach naszego tygodnika Piotr Ikonowicz pytał niedawno, dlaczego dotąd nie wprowadzono np. przepisów uniemożliwiających członkom KNF zatrudnianie się po ukończeniu kadencji w instytucjach finansowych, jeszcze przed chwilą przez nich nadzorowanych?

Ale to jest tylko część sprawy.

PiS rozpoczęło kadencję z intencją przeprowadzenia rewolucji we wszystkich chyba dziedzinach życia publicznego i nie zwracało uwagi na wszelkie krytyki formułowane przez niechętnie mu elity tych poszczególnych dziedzin. Impet był ogromny. Osobiście uważałem taki zakres i taką filozofię dokonywania zmian za nieszczęśliwe, uznając, że niekoniecznie trzeba antagonizować wszystkich, którzy w III RP czuli się dobrze. A także, iż nie wszystkie sfery życia publicznego potrzebowały aż rewolucji. Strategiczna decyzja była jednak inna.

Minęło nie tak wiele czasu i pisowska ofensywa na wszystkich azymutach trochę ugrzęzła, a trochę została odwołana. Z wielu powodów. Opór okazał się za duży i groźący – choć nigdy to nie nastąpiło – odwróceniem korzystnych dla władzy sondaży. Ewidentnie rządzący zlekceważyli też jednoznaczność i determinację, z jaką elity unijne wystąpiły po stronie tych, którzy reprezentują w Polsce zarówno ich interesy, jak i wartości, w które wierzą.

WOLNO MNIEJ?

To zjawisko ma wiele aspektów. W niektórych wypadkach wycofywanie się z przygotowywanych zmian jest słuszne merytorycznie, a niemal zawsze jest słuszne taktycznie. Bo konflikt w Polsce generalnie nie podoba się nikomu, poza twardym rdzeniem obu elektoratów. A w roku wyborczym trzeba dbać głównie o to, by nie zrazić wyborców mniej intensywnie związanych z partią rządzącą i nie zaktywizować tych, którzy choć jej wyborcami nie są, to niekoniecznie pójdą głosować przeciw niej. Niemniej jednak kolejne rejterady nie robią dobrego wrażenia.

Ale może ważniejsze, że niejako łączą się ze zjawiskami innymi. Czyli po pierwsze, z opisany już na przykładzie KNF, a istniejącym niezależnie od taktyki wycofywania się z kontrowersyjnych zmian deficytem reform strukturalnych. Po drugie, z serią kapitulacji dokonywanych wobec istotnych a zdeterminowanych grup zawodowych (policjanci), a także spodziewanych potężnych konfliktów społecznych. Po trzecie zaś, z sytuacją, w której wojująca z PiS władza sądownicza coraz

wyraźniej – skutecznie – uzurpuje sobie nienależące do niej prawa (ostatnim, ale tylko ostatnim przykładem jest przywłaszczenie sobie przez sądy administracyjne prerogatywy merytorycznej oceny działań władzy) i zarazem realnie odmawia karania tych przedstawicieli ulicznej opozycji, którzy w oczywisty sposób złamali prawo.

Oprócz ostatniego, żadne z tych zjawisk nie jest specyficzne dla PiS, moglibyśmy przypomnieć analogiczne, dziejące się i za PO, i w jeszcze dawniejszych kadencjach. Niemniej ich natężenie, koncentracja w ostatnim okresie jest niezwykła. I spektakularna – również dlatego, że dotyczy partii w swoim rozumieniu świata i własnej misji najbardziej propaństwowej. Tej, która – powtórzmy – miała przełamać polski syndrom niemożności. A dziś wydaje się, że nie tylko go nie przełamuje, lecz wręcz wpisuje się w niego.

Ma to rezultaty dla PiS niekorzystne. Sugeruje chaos, miotanie się i brak koncepcji, co dalej. Skutecznie obdziera partię z nimbu zwycięzcy, a także „wielkiego państwowca” – jak powiedziałem, ważnego dla istotnej części elektoratu. Sprawia to wrażenie, jakby PiS, któremu elity III RP ze wszystkich sił starały się de facto odebrać prawo do sprawowania władzy innej niż proste administrowanie, podświadomie uległo temu naciskowi i milcząc, ale realnie zaakceptowało status ugrupowania, któremu „wolno mniej”.

Ale ma to rezultaty złe nie tylko dla tej partii, lecz i dla państwa, już niezależnie od tego, kto nim aktualnie rządzi. Bo doświadczenia odkładają się w świadomości społecznej. A w tej chwili odkłada się w nim przekonanie, że państwo jest słabe i że rzeczą normalną, a wręcz słuszną jest, że kiedy głośno się krzyczy, to albo dostaje się to, czego się chce, albo przynajmniej rząd wycofuje się i nie robi tego, co zrobić chciał i do zrobienia czego miał prawo. Obecnie patologiczność relacji istniejącej między Polakami a ich państwem nie łagodzi, tylko przeciwnie – się zaostrza.

Efekty tej pedagogiki nie miną, nawet gdyby ewentualnie nastąpiła zmiana władzy. Innymi słowy – paradoksalnie

efektem rządów najbardziej propaństwowej partii może być tegoż państwa osłabienie. Wbrew, powtórzmy, szczerzej intencji ludzi tego ugrupowania.

Ta sytuacja jest tak osobliwa, że rodzi fatalistyczne pytanie: może w Polsce po prostu nie da się budować silnego państwa? Może jesteśmy skazani na wybór między bezrządem a dyktaturą?

O SPOKOJNĄ PEWNOŚĆ

Odrzućmy jednak fatalizm i zastanówmy się nad szansami zmiany tej sytuacji.

Efektom rządów najbardziej propaństwowej partii – w wypadku ich przerwania – może być tegoż państwa osłabienie. Wbrew szczerzej intencji ludzi tego ugrupowania

Z pewnością nie jest nią objęcie władzy przez opozycję. Ona wręcz na sztafardach wypisała sobie w hasła nie wzmocnienia, tylko dalszego rozmontowywania państwa (żeby nawet gdyby w przyszłości wygrało jakieś nowe PiS, nie miało już żadnych instrumentów, aby realnie zmienić cokolwiek), przeciw czemu protestują nawet co trzeźwiejsi intelektualniści z jej zaplecza (Bartłomiej Sienkiewicz). Możliwość – ale tylko możliwość, daleką od pewności – odwrócenia obecnych niepokojących procesów przynieść mogłoby natomiast kolejne zwycięstwo PiS.

Tylko możliwość – bo niekorzystne procesy opisane wyżej mają korzenie niewylącznie w zjawiskach względem partii Kaczyńskiego zewnętrznych. Postrzeganie zmian personalnych jako nie tylko klucza umożliwiającego zmienianie Polski, lecz jako czynnika, który wywoła te zmiany automatycznie, jest czymś zakorzenionym tam bardzo głęboko. Ponadto sprawowanie władzy rozleniwia intelektualnie; ewentualne

zwycięstwo jesienią 2019 r. może być przez partię przyjęte jako dowód na to, że po prostu dalej trzeba tak jak dotąd.

Ale zarazem myślenie o wzmocnieniu państwa też jest zakorzenione w PiS bardzo głęboko. A obecna konieczność wycofywania się frustruje. Możliwy jest więc również scenariusz odwrotny. Tym bardziej że istnieje świadomość konieczności zmian strukturalnych również w kręgach przywódczych obozu. Taka świadomość sama w sobie nie wystarczy; w obecnej kadencji PiS padało skądinąd ofiarą również własnego, wcześniejszego przeświadczenia, że zasadnicze poprawienie sytuacji jest rzeczą prostą, bo negatywne zjawiska są spowodowane przede wszystkim złą jakością poprzednich rządzących albo też ich złą wolą. Ale obecne PiS jest już inne od tego z 2015 r., również dlatego, że doświadczenia wynikające ze sprawowania władzy się kumulują.

Wyborcze zwycięstwo PiS miałyby i ten skutek, że ostatecznie uprawomocniłoby ten obóz w roli uprawnionych do rządzenia. Sprzyjałoby bowiem uznaniu, że jest on bytem trwałym i że nawet jeśli za kolejne cztery lata władzę utraci,

to bardzo prawdopodobne, że potem znów ją odzyska. Co służyłoby uspokojeniu nastrojów i spojrzeniu na rzeczywistość w mniej konfrontacyjny sposób. Zarówno po stronie opozycji (której nadzieje na rychły przełom radykalnie opadłyby i której zaplecze z pewnością uległoby redukcji), jak i po stronie władzy, której ludzie nie czując się już zagrożeni polityczną eksterminacją, mogliby się stać skłonni do bardziej długofalowego podejścia do polityki państwowej.

Oczywiście niepokojące zjawiska, które opisywałem w tym tekście, często są związane z niedostatkiem, a nie z nadmiarem konfrontacyjności. Ale spokojna pewność siebie może sprzyjać redukcji asertywności typu emocjonalnego, związanego z poczuciem zaszczucia i chęcią odwetu, na korzyść innego jej rodzaju – stanowczości w realizowaniu celów merytorycznych. A to byłaby ważna zmiana.

I między innymi dlatego rozpoczynający się rok wyborczy jest aż tak ważny.

Patchworkowy charakter opozycji powoduje, że nie ma ona żadnego spójnego programu, żadnej misji do spełnienia poza jedną: powrotem do władzy rozumianym jako przywrócenie stanu naturalnego. Dlatego wyborcy można obiecywać wszystko i nic zarazem, jego postulaty są istotne o tyle, o ile mogą zostać instrumentalnie wykorzystane do osiągnięcia tego celu

**KONRAD KOŁODZIEJSKI**

Platforma niewiarygodnych

Lech Wałęsa, udzielając w grudniu wywiadu kremłowskiej agencji informacyjnej Sputnik, wywołał niemalą konfuzję wśród swoich antypisowskich sojuszników. Gdy Wałęsa powiedział w tym wywiadzie, że „bliżej nam do Moskwy niż do Nowego Jorku”, nabrali oni wody w usta. Jasne było przecież, że nie ma on na myśli odległości geograficznej.

To kolejny raz w ciągu raptem jednego miesiąca, gdy Wałęsa, ośmieszając się, psuje szyki opozycji próbującej wykorzystać „legendę »Solidarności«” do antypisowskiej agitacji za granicą. Zaledwie kilka tygodni wcześniej rozdaliśmy go, jak stał nieco zagubiony w koszulce z napisem „Konstytucja” w wielojęzycznym tłumie gości na uroczystościach pogrzebowych George’a Busha w Waszyngtonie. Teraz – ku ucieście kremłowskiej propagandy – nawołuje do porozumienia z Putinem kosztem sojuszu z Ameryką.

Dotąd antypisowska opozycja przekonywała, że PiS to cisi wyznawcy Putina, tymczasem okazuje się, że Wałęsa proponuje sojusz z Moskwą. Trudno się już w tym połapać.

OD MAZGUŁY DO MICHNIKA

Wyskok Wałęsy doskonale ilustruje niespójność antypisowskiej opozycji. On sam jest zresztą – do pewnego stopnia – ucieleśnieniem jej głównych cech. Skrajnie egoistyczny, skupiony wyłącznie na własnym interesie, gotów zmieniać zdanie w zależności od aktualnej koniunktury i – przede wszystkim – próżny, chorobliwie złakniony przywilejów i honorów, które w jego mniemaniu po prostu mu się należą.

Gdybyśmy zapytali, co – poza nieważnością do rządzącej prawicy – łączy ludzi z antypisowskiej opozycji, to na pewno należałoby wskazać te cechy. Są różni, miewają sprzeczne poglądy na wiele spraw, wywodzą się z rozmaitych środowisk, mają często odmienne życiorysy, ale tworzą wspólnotę niemalże charakterologiczną, opartą na przekonaniu, że przynależą do elity.

Doskonale było widać tę dziwną wspólnotę podczas licznych demon-

stracji. Działaczka feministycznej lewicy Barbara Nowacka idąca pod rękę z rynkowymi ortodoksami Ryszardem Petru i Leszkiem Balcerowiczem, krzyczący przez megafon Tomasz Lis i bluzgający w internecie dawny gwiazdor peerelowskiej propagandy Marek Tumanowicz, Władysław Frasyniuk i Włodzimierz Cimoszewicz, dwóch Adamów: Mazguła i Michnik oraz – gdzieś tam z boku – podskakujący na murku dawny szef Młodzieży Wszechpolskiej Roman Giertych.

W psychologii istnieje pojęcie megalomanii, które najlepiej chyba oddaje stan umysłu dużej części antypisu. Trudno się dziwić, że ludzie ci zięją nieważnością do tych, którzy odsunęli ich od władzy i przywilejów. Nic tak bardzo nie boli, jak utrata pozycji przez kogoś, kto sądził, że jest predestynowany do zarządzania innymi.

Można – tak jak Grzegorz Schetyna – jednego dnia być za relokacją imigrantów, a drugiego dnia przeciw, można krytykować „rozdawnictwo”, a później proponować państwowe dopłaty do pensji

Z tego punktu widzenia demokracja – gdzie każdy głos liczy się równo – staje się trudna do zniesienia. Dlatego trzeba zneutralizować jej nieprzewidywalność i sprowadzić ją do poziomu nic nieznaczącego rytuału, kontrolując przepływ informacji oraz waląc ideologiczną pałką każdego, kto nie słucha komend i nie idzie równo w szeregu.

ZA, A NAWET PRZECIW

Tak patchworkowy charakter opozycji powoduje, rzecz jasna, że nie ma ona żadnego spójnego programu, żadnej misji do spełnienia poza jedną: powrotem do władzy rozumianym jako przywró-

cenie stanu naturalnego. Ambiwalentny stosunek do demokratycznych reguł sprawia, że wyborca nie jest traktowany podmiotowo, jest jedynie narzędziem służącym ratowaniu własnej pozycji i przywilejów. Dlatego też można mu obiecywać wszystko i nic zarazem, jego postulaty są istotne o tyle, o ile mogą zostać wykorzystane w walce politycznej.

Można jednocześnie – tak jak Grzegorz Schetyna – jednego dnia być przeciw relokacji imigrantów, a drugiego dnia za relokacją, można krytykować „nieuzasadnione rozdawnictwo”, a później proponować państwowe dopłaty do pensji. Można wreszcie – jak Rafał Trzaskowski w Warszawie – wycofać się z przegłosowanych wcześniej bonifikat za przekształcenie użytkowania wieczystego na własność, a chwilę potem kolejny raz je przywracać. Dlaczego? Bo zamiast programu są jedynie niespójne hasła tworzone – zupełnie jak za rządów Tuska – na podstawie aktualnej koniunktury politycznej. Ich adresatem nie jest ogół wyborców lecz różnorodne, często wąskie, lecz wpływowe środowiska, z którymi akurat toczy się grę.

Platforma Obywatelska ciągle zmienia odcienie. Za czasów Ewy Kopacz przechodziła na pozycje liberalno-lewicowe, aby po przejściu przewodnictwa w partii przez Grzegorza Schetynę obwieszczać powrót do konserwatywnych źródeł. To oczywiście wszystko fikcja. Dziś PO – nadal kierowana przez tego samego „konserwatywnego” Schetynę – wychyliła się w stronę

liberalnej lewicy jak nigdy wcześniej. Chodzi o spacyfikowanie potencjalnej konkurencji na lewym skrzydle przed tegorocznymi wyborami. Chodzi również o włączenie się w główny nurt ideologiczny obowiązujący dziś w Europie, dający legitymację do objęcia władzy i pełne poparcie ze strony rządzącej Unii oligarchii.

Jest jeszcze jeden powód: wojna ideologiczna, kulturowa, którą podsycą dziś antypisowska opozycja, odwraca w ten sposób społeczną uwagę od realnych wyzwań – zarówno socjalnych, jak i politycznych – na które należałoby znaleźć odpowiedź, ale których rozwiązanie wymaga czasu, wizji i pieniędzy. To dlatego

zamiast poszukiwania wyjścia z zapaści demograficznej mamy kłótnię o aborcję, zamiast dyskusji o tym, jak przezwyciężyć bariery rozwojowe i wyrwać Polskę z statusu peryferyjnego państwa, walczy się z opłatkiem podczas Bożego Narodzenia, a zamiast walki z mafią repriwatyzacyjną proponuje się – tak jak ostatnio w Warszawie – „tramwaj różnorodności”. To oczywiście tylko przykłady marnotrawienia energii i czasu w imię narastającego ideologicznego zacietrzewienia.

Szkodliwość dzisiejszego konfliktu politycznego polega m.in. na tym, że jest jałowy i skupiony niemal wyłącznie na kwestiach symbolicznych. PiS realizuje swoją strategię reformy państwa. Z pewnością popełnia tu błędy, ale nie ma po stronie opozycji konstruktywnego recenzenta. Antypisowska opozycja nie myśli bowiem w tych samych kategoriach co obóz rządzący. Z jej punktu widzenia PiS demonstrowałby system, który gwarantował jej dotąd pełnię władzy i trzeba się temu przeciwstawić. Dlatego każdy – nawet destrukcyjny dla państwa – środek jest w stanie uświęcić cel, jakim jest walka z PiS.

STOJĄCY W CIENIU

Scenariusz, w którym antypis przejmie władzę w Polsce, nie oznaczałby wbrew twierdzeniom opozycji uspokojenia sytuacji. Wręcz przeciwnie, moglibyśmy się spodziewać znacznego zaostrzenia konfliktu, i to do niespotykanych od 1989 r. rozmiarów. PiS ani jego wyborcy przecież nie znikną, aby ich zneutralizować, konieczne będą różne formy szykan, od prawnych poczynając, na symbolicznych skończywszy. Trudno się jednak spodziewać, aby te szyskany nie wywoływały oporu. Wojna polityczna będzie więc trwała. Towarzyszyć jej jednak będzie – w odróżnieniu od dzisiejszej sytuacji – znaczące lub całkowite zatrzymanie reform państwa. To scenariusz wyczekiwany przez tych wszystkich, którzy po objęciu władzy przez PiS zostali odsunięci od zbijania wielkich fortun. Niedawno usłyszałem od pewnego naprawdę bogatego biznesmena – nazwiska z oczywistych po-

wodów nie mogę ujawnić – że z wytęsknieniem czeka na powrót PO do władzy, ponieważ dzisiaj pisowcy utrudniają mu „optymalizację” podatków. I choć słowa te zostały rzucone mimochodem w nieco szerszym gronie, pokazują, że nie ma już oporów przed wyrażaniem takich opinii.

Takich ludzi jak ów przedsiębiorca jest wielu, stoją oni w drugim, niewidocznym dla ogółu szeregu „bojowników o demokrację” w Polsce. Zwrotu „bojownicy o demokrację” używam oczywiście ironicznie, bo nikogo z nich żadna demokracja nie interesuje. Nie można jednak zapominać, że oni i ich walka w obronie utraconych przez PiS interesów również są ważnym czynnikiem napędzającym antypisowską opozycję.

Elektorat to mięso armatnie na wojnie z PiS. Prawdziwymi beneficjentami jego decyzji wyborczych są zaprzyjaźnieni biznesmeni, rekiny optymalizacji podatkowej i mafia repriwatyzacyjna

GRA NA KOMPLEKSACH

Do zrealizowania takiego scenariusza potrzebni są wyborcy. Przykład ostatnich wyborów samorządowych pokazuje, że – przynajmniej w miastach – antypis może liczyć na dużą mobilizację elektoratu. Ten elektorat jest podobnie patchworkowy jak cała antypisowska opozycja. Również składa się z różnych ludzi: są tu zarówno chodzący na niedzielne msze liberalni katolicy, jak i zaciekle antyklerykalne feministki, są harujący od rana do nocy robotnicy z międzynarodowych korporacji oraz pogardzający nimi szczerze kawiarniani hipsterzy, są wymuskani lekarze i prawnicy oraz zakurzeni esbecy na emeryturze, jest egzaltowana miejska inteligencja i „słoi” z małych miasteczek. Ci wszyscy ludzie

są przekonywani, że głosując przeciwko PiS, wykazują się nonkonformizmem, podczas gdy jest dokładnie odwrotnie. Umiejętnie gra się na ich kompleksach, sugerując, że wspieranie antypisu świadczy o elitarnym statusie. Doskonale było to widać podczas wyborów na prezydenta Warszawy, w których trakcie wielu świeżych mieszkańców stolicy oddało głos na Rafała Trzaskowskiego, uznając to za akces do klubu „prawdziwych warszawiaków”. Wielu wystarcza świadomość, że głosując przeciw PiS, opowiadają się za bliżej nieokreśloną nowoczesnością, że są częścią Europy, nie tej prawdziwej, ale tej wykreowanej w ich głowach. Wielką rolę w podejmowaniu takich decyzji odgrywa koniunkturalizm i aspiracje części ludzi, którzy wolą dołączyć do grupy postrzeganej jako kulturowo, prestiżowo silniejsza, zamiast walczyć o własną pozycję i interesy – o te walczą bowiem jedynie ci, którzy albo są zdolni do krytycznej oceny rzeczywistości, albo aspirować nie mogą (z ekonomicznych lub kulturowych względów).

Sporej części miejskiego elektoratu nie przychodzi najwyraźniej do głowy, że są jedynie mięsem armatnim na wojnie z PiS, że kierując się sztucznie podgrzewanymi emocjami, często działają wbrew własnemu interesowi. Ze prawdziwymi beneficjentami ich decyzji wyborczych są ci wszyscy przedsiębiorcy z drugiego planu, rekiny optymalizacji podatkowej, mafia repriwatyzacyjna i wielkie firmy szukające łatwego zysku. A wszystko to przesłonięte jest agresywną kampanią mającą ideologicznie sterroryzować społeczeństwo.

W zachodniej Europie coraz silniej narasta świadomość, że rządzące tam liberalne elity polityczne są niewiarygodne, władza wymyka się z rąk obywateli, a demokracja przekształca się w rytuał służący jedynie legitymizacji rządów oligarchii. Świadczą o tym chociażby gwałtowne protesty ruchu „żółtych kamizelek” we Francji. W Polsce również czeka na podobne starcie, tyle że – na szczęście – przy urnie wyborczej, a nie na ulicach. Warto więc uczyć się na cudzych błędach, póki jeszcze nie jest za późno.



O nowej Strategii
Bezpieczeństwa
Narodowego, sprzątaniu
po „reformach
Kozieja”, budowaniu
polskiej cyberarmii
i niebezpiecznym zalewie
cudzoziemców z *Pawłem
Solochem*, szefem
Biura Bezpieczeństwa
Narodowego, rozmawiają
Marek Pyza i Marcin Wikło

Zdjęcia: Andrzej Wiktor

Wyścig tarczy z mieczem

Przed świętami prezydent Andrzej Duda ogłosił, że przywracane są hierarchia w dowodzeniu wojskiem i odwracanie reformy gen. Kozieja. Jeden człowiek, a tyle zdołał nabalażać, że trzylata się sprząta i końca nie widać?

Paweł Solochem: Wprowadzona w 2014 r. koncepcja dowodzenia faktycznie kojarzy się przede wszystkim z nazwiskiem mojego poprzednika w BBN. To, że tak poważna reforma odbywała się pod dyktando praktycznie jednej osoby, bez szerszych i pogłębionych analiz, przesądziło o jej słabości i efek-

cie. Chociaż mam też wrażenie, że ów efekt był wypadkową różnych przypadkowo działających sił.

Jakich?

Odpowiedzi szukałbym wśród najważniejszych wówczas generałów. Choć żaden z nich tego głośno nie przyzna. W pierwszych tygodniach prezydentury Andrzeja Dudy, gdy mieliśmy okres kohabitacji, spotykałem się z ówczesnym ministrem obrony Tomaszem Siemoniakiem, ale też z generałami Mieczysławem Goculem, szefem Sztabu Generalnego,

i Mirosławem Różańskim, Dowódcą Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych. Chociaż niektórzy z nich uczestniczyli we wdrażaniu zmian – gen. Różański był przecież pełnomocnikiem ministra obrony w tej sprawie – to żaden z nich nie wyrażał satysfakcji. Jednocześnie objęli stanowiska utworzone w wyniku tych zmian.

Nic dziwnego, że się nie przyznają, skoro powszechnie uznano tę „reformę” za złą.

Dlatego teraz przywracamy hierarchię w wojsku, pokazujemy, kto jest naj-

ważniejszym żołnierzem. Od 21 grudnia jest nim szef Sztabu Generalnego. Jemu podlegają: dowódca generalny, dowódca operacyjny oraz szef Inspektoratu Wsparcia. To również porządkuje relacje z naszymi sojusznikami, którzy na spotkania w NATO wysyłają najwyższego reprezentanta, z realnymi kompetencjami. Do tej pory nasz reprezentant, szef sztabu, był co prawda najwyższym przedstawicielem Wojska Polskiego, ale nie posiadał kompetencji dowódczych. W poprzednim systemie najważniejsi byli dowódcy: generalny i operacyjny. Szef sztabu, teoretycznie najważniejszy, poza żołnierzami w sztabie nikim nie dowodził. Pełnił funkcję „superdoradcy” ministra obrony narodowej.

Zupełnie nielogiczne. Jak to możliwe, że nikt z ówczesnych rządzących się nie zreflektował?

W tamtym czasie politycy całkowicie odwrócili wzrok od armii. Powiedzmy sobie szczerze – tym, co się w polskim wojsku działo do 2014 r., do inwazji rosyjskiej na Ukrainę, nikt się specjalnie nie interesował.

Jak to? Przecież premier Donald Tusk profesjonalizował polskie wojsko.

Cała reforma Tuska nazywana szumnie „profesjonalizacją armii” była w istocie redukcją sił zbrojnych, i to przeprowadzoną w błyskawicznym tempie. Francuzi czy Niemcy zakładali, że zrobią to u siebie w ok. 10 lat, nam to zajęło niespełna dwa lata. Chodziło o to, by zredukować liczebność wojska i związane z tym koszty oraz przed wyborami znieść obowiązkowy pobór. I na tym koniec profesjonalizacji, armię pozostawiono samej sobie. Przeciwni temu byli prezydent Lech Kaczyński i kierowane przez Władysława Stasiaka BBN. W 2014 r., kiedy całość rządów należała do PO, już nie było ośrodka, który mógłby przeprowadzić krytyczną analizę, i reforma dowodzenia w kręgach rządowych przeszła prawie niezauważona, nie było wokół niej dyskusji.

Mamy więc już określonego „pierwszego żołnierza”, czyli tzw. mały

SKiD [System Kierowania i Dowodzenia – przyp. red.], kolejnym etapem będzie przywrócenie wszystkich dowództw rodzajów sił zbrojnych. Kiedy to nastąpi? Żeby nie było tak, że zabraknie wam kadencji...

Drugi etap SKiD to okres dalszy niż horyzont wyborczy. Planujemy odtworzenie dowództw wojsk lądowych, powietrznych, marynarki wojennej i sił specjalnych oraz utworzenie dowództwa połączonego, odpowiedzialnego za prowadzenie operacji wojskowych i podporządkowanie szefowi sztabu WOT, po osiągnięciu przez nie zdolności do działania. Liczę oczywiście na zachowanie władzy przez obecny obóz, ale akurat w kwestii dowodzenia armią przydałby się szerszy konsens z opozycją. Może zbyt rzadko to wybrzmiewa, ale wszystkie siły polityczne zgadzają się np. co do głównego – czyli wschodniego – kierunku zagrożenia. Nikt nie ma też wątpliwości, że gwarantem naszego bezpieczeństwa jest NATO, a główną rolę w Sojuszu odgrywają Amerykanie. Być może dlatego mam wrażenie, i to mnie cieszy, że obecna zmiana, czyli „mały SKiD”, nie jest kontestowana przez żadną z sił politycznych.

Ale wciąż nie wiemy, dlaczego zabraliście się do tego dopiero trzy lata po objęciu władzy.

Od chwili objęcia urzędu prezydent Andrzej Duda miał jasną wizję zmian i jeszcze przed wyborami parlamentarnymi nakazał rozpoczęcie prac nad przywróceniem jasnych zasad dowodzenia. Po zmianie rządu z nowym ministrem obrony uzgodniłmy praktycznie większość elementów reformy. Różnica zdań dotyczyła kwestii dowództwa sił połączonych.

Potrzebna była zmiana ministra?

Powtórzę: zdecydowana większość spraw związanych z reformą między MON a BBN była już ustalona. Zmiana ministra dała impuls przyspieszający w niektórych obszarach, chociażby w kwestiach personalnych.

Najgłośniej było o pewnym konflikcie ambicjonalnym pomiędzy prezy-

dentem Dudą a ministrem Macierewiczem. Ile w tym prawdy?

W obecnym systemie prawnym mamy do czynienia z sytuacją, gdzie kluczowy jest konsens między prezydentem a rządem oparty na dobrej woli, nie zaś jasnym podziale kompetencji. To generuje pewne napięcia. Nie ułatwiały one współpracy między prezydentem a MON. Chociaż na poziomie roboczym większość spraw się toczyła sprawnie. Obecnie współpraca z ministrem Błaszczakiem układa się bardzo dobrze.

Dokładnie przed rokiem zapowiadał pan, że będą nowe rekomendacje do Strategii Bezpieczeństwa Narodowego. Minęło 12 miesięcy...

...i wysłałem rekomendacje do MON. Jedną z kluczowych jest konieczność przyjęcia ustawy o zarządzaniu bezpieczeństwem narodowym. To ma być przełomowa zmiana w funkcjonowaniu administracji państwowej i koordynacji wszystkich instytucji w czasie zagrożenia bezpieczeństwa państwa. Na razie mamy ustawę o powszechnym obowiązku obrony, z komunistycznym rodowodem z 1967 r. Traktuje ona sprawy bezpieczeństwa w wąskim, przede wszystkim militarnym aspekcie i nie w pełni odpowiada współczesnym wyzwaniom oraz zagrożeniom.

Jesteśmy bezbronni, ślepi i głusi...

Nie zaryzykowałbym stwierdzenia, że państwo jest ślepe, chociaż zdarzają się momenty braku odpowiedniej koordynacji. Problemem jest wciąż resortowe, silosowe postrzeganie państwa i procedur bezpieczeństwa. To trzeba zmienić. Stąd też np. rekomendacja o napisaniu ustawy, w której znajdzie się np. ponadresortowy stały komitet Rady Ministrów ds. bezpieczeństwa narodowego.

Który obszar wymaga najpilniejszego usprawnienia?

Spójrzmy chociażby na najbardziej aktualne kwestie dotyczące cyberbezpieczeństwa. W Ministerstwie Cyfryzacji jest pełnomocnik rządu ds. cyberbezpieczeństwa, ale np. największej pieniędzy na ten cel jest obecnie

w MON. A mamy jeszcze MSWiA i ABW oraz inne instytucje. W naszej ocenie wciąż brakuje koordynacji tych działań i podejmowania decyzji. Chociaż mam nadzieję, że działalność wspomnianego pełnomocnika przyczyni się do poprawy sytuacji. Innym przykładem jest ustalenie wspólnego systemu łączności. O tym się dyskutuje od lat i od lat nie możemy dojść do momentu, w którym straż pożarna, policja i wojsko będą spięte w jeden system działający np. w sytuacji ataku wyłączającego zwykłą sieć.

A jak wygląda obrona cywilna kraju?

W naszych rekomendacjach do Strategii Bezpieczeństwa Narodowego postulujemy ustawę, która kompleksowo ureguluje problematykę Obrony Cywilnej i ochrony ludności. W świetle tego, co się działo i dzieje na Ukrainie, przywiązujemy wagę do wspierania organizacji proobronnych, budujemy WOT. Natomiast obrona cywilna jest obszarem zaniedbanym. Szczególnie w miastach. A to duże skupiska ludzkie są szczególnie narażone na skutki katastrof czy agresji. Często zachwycamy się doniesieniami o dzielnych kulkach, które były w stanie zadzwonić na numer 112 i wezwać pomoc, gdy rodzicom coś się stało. W niemieckich czy skandynawskich przedszkolach jest to normalny element edukacji, dzieci uczą się rozmawiać z policjantem, strażakiem czy dyspozytorem pogotowia ratunkowego. To powinien być element edukacji, do którego przywiązujemy szczególną wagę. Idąc dalej, myślę, że w dużych miastach znalazłoby się wystarczająco wielu wolontariuszy, którzy po przeszkoleniu mogliby funkcjonować w systemie obrony cywilnej i ochrony ludności, czyli spełniać taką funkcję, jaką w małych miejscowościach w razie kryzysu pełnią wolontariusze skupieni w Ochotniczej Straży Pożarnej.

Zesłiśmy do szczegółów, ale spójrzmy na Strategię Bezpieczeństwa Narodowego w skali makro. W zasadniczych kwestiach zmiany

chyba nie są potrzebne? Zajrzyjmy do dokumentu z 2014 r. Mamy w nim stwierdzenia, że „w sąsiedztwie Polski istnieje ryzyko konfliktów o charakterze regionalnym i lokalnym”, „Polska nie jest wolna od form nacisku politycznego wykorzystującego argumentację wojskową”, NATO pozostaje najważniejszym sojuszem, konieczne jest utrzymanie zaangażowania USA w Europie, największym zagrożeniem jest Rosja, obniżanie budżetów obronnych w NATO i UE jest niepokojące itd. Wszystko pozostaje aktualne.

To naturalne, że niektóre ogólne zagrożenia opisane w strategii z 2014 r. są aktualne, ale nabrały one innej dynamiki. Pojawiły się również nowe zjawiska. Mowa np. o jakościowo innym

Przywracamy hierarchię w wojsku, pokazujemy, kto jest najważniejszym żołnierzem. Od 21 grudnia jest nim szef Sztabu Generalnego

zagrożeniu ze strony Rosji, budowaniu przez nią zdolności ofensywnych, nowych odsłonach agresji na Ukrainie, budowaniu wpływów na Bliskim Wschodzie, prowadzonej przez Rosję bezprecedensowej wojnie informacyjnej i wpływie na procesy wyborcze w wielu krajach. Nowej dynamiki nabierają relacje transatlantyckie czy europejska współpraca obronna. Nowym wyzwaniem jest brexit. W tym kontekście prezydent Andrzej Duda widzi rolę Polski jako państwa zabiegającego o wzmocnienie współpracy Europy z USA. Także poprzez formaty regionalne, jak Trójmorze czy bukmarszkańską dziewiątkę. Musimy podejmować wszelkie działania utrzymujące zaangażowanie USA na Starym Kontynencie i utrzymujące jedność europejską. Mam nadzieję, że mimo pojawiających się czasem sygnałów nikt

rozsądny, a zwłaszcza nasz największy partner w UE, czyli Niemcy, nie myśli, że można coś budować w kontrze do obecności USA w Europie.

Ale jednocześnie w tych samych Niemczech ukazują się artykuły, w których czytamy: „Nie ma żadnej gwarancji, że chimeryczny prezydent nie podejmie nagle decyzji o wycofaniu swoich żołnierzy z Polski. Być może nastąpi to po rozmowie telefonicznej z Władimirem Putinem, który zapewni go, że nie musi się troszczyć o Polskę – tak jak po rozmowie z prezydentem Turcji Trump wydał rozkaz wycofania wojska z Syrii”. Coś w tym cytacie ze „Spiegla” chyba jest, wszak Trump podjął tę decyzję wbrew opiniom najważniejszych generalów. W efekcie Putin publicznie się cieszy, a szef Pentagonu James Mattis składa dymisję.

Przytaczają panowie opinię dziennikarza. Politycy są ostrożniejsi przy formułowaniu tego typu sądów. Mam wątpliwości, czy casus turecki jest tu dobrym argumentem. Przede wszystkim nie wiemy wiele o szczegółach wycofywania się USA z Syrii. Jednocześnie pewne elementy wskazują na to, że mamy do czynienia z ociepleniem relacji na linii USA–Turcja, co jest kluczowe nie tylko dla bezpieczeństwa regionu, lecz także jedności NATO, więzi transatlantyckich i – co za tym idzie – bezpieczeństwa Polski. Nie wiemy więc, czy decyzja prezydenta USA nie jest częścią większego planu dla Bliskiego Wschodu.

Ten ruch Trumpa nie niepokoi pana i prezydenta? Czy na pewno możemy ufać amerykańskiemu przywódcy? Na ile jest on przewidywalny?

Mamy pełne zaufanie do naszego amerykańskiego sojusznika. Osobiste relacje prezydentów Dudy i Trumpa są także bardzo dobre. Obecność żołnierzy USA w Polsce odnosi się również do zupełnie innej sytuacji niż stacjonowanie w Syrii. Jest związana z amerykańską obecnością w Europie w ramach NATO, ale też obecnością innych wojsk sojuszniczych na całej



flance wschodniej. Wycofanie się wojsk amerykańskich prowadziłoby do załamania porządku bezpieczeństwa nie tylko naszego kontynentu, lecz i niosło konsekwencje w wymiarze globalnym, co trudno sobie dziś wyobrazić.

Kiedy się dowiemy, że Fort Trump na pewno w Polsce powstanie?

Jeżeli chodzi o zwiększenie amerykańskiej obecności w Polsce, wszystko idzie w dobrym kierunku. Dziś nie przesądzałbym, jaki przybierze ona ostateczny kształt. Kluczowe są rozwiązania realnie zwiększające nasze bezpieczeństwo i nad tym pracują zarówno politycy, jak i wojskowi. Konkretnych decyzji, które będzie można ogłosić publicznie, spodziewamy się wiosną. Nie ulega natomiast wątpliwości, że w skali ostatnich lat zwiększenie obecności USA w naszym regionie ma charakter wręcz historyczny, co należy uznać za duży sukces prezydenta i rządu.

Jak rozumiemy, mobilizuje nas zagrożenie ze strony Rosji? Taka konkluzja w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego się nie zmienia?

Rosja jest podstawowym zagrożeniem. Nawet jeżeli część krajów europejskich większe niebezpieczeństwo dostrzeże na południu, to trzeba pa-

miętać, że tam też są Rosjanie – budują pozycję w Syrii, w Libii, są na Morzu Śródziemnym. Umacniają swoją obecność od Arktyki już nie tylko po Morze Czarne, lecz i Śródziemne.

Czołgami do nas raczej nie wjadą. Ale ataku hybrydowego, np. poprzez cyberataki, można się spodziewać.

Dlatego w rekomendacjach do strategii BBN zwraca uwagę na tę kwestię jako wymagającą specjalnego traktowania. Jeśli chodzi o agresję konwencjonalną, mamy plany automatycznej odpowiedzi NATO. W przypadku cyberataki są poważniejsze problemy, np. kwestia identyfikacji agresora. W Polsce jesteśmy na etapie budowy systemu cyberobrony. W zeszłym roku prezydent podpisał ustawę o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa, która jest krokiem w dobrym kierunku. Cyberobrona staje się także coraz ważniejszym elementem w ramach NATO.

Kiedy Polska będzie mieć cyberwojsko?

To jest pytanie do ministra obrony. Ono oczywiście jest budowane. To na pewno jeden z priorytetów naszego bezpieczeństwa.

Co oznacza „budowa cyberarmii”? Wynajęcie hakerów?

Nie chodzi o hakerów. Mówmy o profesjonalistach zdolnych odeprzeć atak wroga w cyberprzestrzeni, ale jednocześnie wybudować nasze zdolności ofensywne w tym zakresie.

Chyba będzie potrzebna jakaś specustawa, by odpowiedniej klasy specjalistom dać pieniądze, o których tradycyjny żołnierz może pomarzyć. W przeciwnym razie ci informatycy pójdą na rynek, a nie do armii.

Taki problem oczywiście istnieje. A nawet jest dużo szerszy, bo dotyczy nie tylko cyberżołnierzy, lecz w ogóle specjalistów w administracji. Przecież np. najlepsi prawnicy w instytucjach państwowych w porównaniu ze stawkami rynkowymi są nisko opłacani. Na świecie są różne rozwiązania. Ci cybereksperci, ze względu na swoje unikatowe umiejętności, bywają zatrudniani nie tylko na etatach wojskowych, lecz po prostu wynajmowani.

Na kim możemy się w tej materii wzorować? Raczej nie na USA, Rosji czy Chinach, bo to chyba jednak inna liga.

Cyberbezpieczeństwo bazuje przede wszystkim na zdolnościach intelektualnych. Nakłady finansowe są więc relatywnie niewielkie w porównaniu z zakupem nowoczesnej broni, np. systemów obrony powietrznej.

Tym bardziej powinniśmy więc w te możliwości inwestować. Zwłaszcza że je mamy. Nie jest tajemnicą, że młodzi Polacy są świetnymi informatykami, matematykami. Co chwilę słyszymy o ich międzynarodowych sukcesach.

Tak oczywiście jest, ale nie chciałbym wchodzić w dalsze szczegóły. Tym zajmują się MON i inne instytucje. Szczegóły prawdopodobnie nigdy nie będą ujawnione, ale mogę panów zapewnić, że takie działania są podejmowane.

Skoro jesteśmy przy nowoczesności, warto wspomnieć o hipersonicznym pocisku testowanym niedawno – ponoć skutecznie – przez Rosjan. Ma się on znaleźć na wyposażeniu ich armii już w tym roku, mieć możliwość przenoszenia ładunków nuklearnych i rozwijać prędkość 20 tys. km/h, co pozwala omijać amerykańską tarczę antyrakietową. Brzmi to niepokojąco, zwłaszcza że my nawet tej tarczy jeszcze nie mamy, jesteśmy więc parę kroków z tyłu.

Miejmy świadomość, że wiele rosyjskich deklaracji jest elementem wojny informacyjnej. Warto pamiętać, że Rosja lubi się chwalić czymś, co niekoniecznie osiągnęła i może już wdrożyć. O jej hipersonicznych pociskach słyszymy od wielu lat, za każdym razem w aurze nowości i sukcesu. Oczywiście największe potęgi wojskowe prowadzą prace nad tego typu bronią i należy przyjąć, że są w stanie ją zbudować. Taka broń powstaje, ale równocześnie powstają systemy obrony. To odwieczny wyścig tarczy z mieczem.

Podobnie jak wciąż się zastanawiamy, jak się bronić przed zalewem imigrantów, by nie podzielić losu państw zachodniej Europy. W Niemczech w ub.r. zatrzymano ponad 500 osób przy próbie wjazdu na dokumentach wystawionych na innych ludzi. Nie wiadomo, ilu udało się wejść nielegalnie. Handel takimi papierami kwitnie na zamkniętych arabskich grupach dyskusyjnych. Opisali to niemieccy

dziennikarze. My pół roku temu w „Sieci” opisaliśmy inny proceder – nielegalnego ściągania do Polski cudzoziemców, również z tzw. państw podwyższonego ryzyka, na obietnicę pracy wydawaną przez firmy krzaki zakładane na słupy. Z naszych informacji wynika, że po tej publikacji w instytucjach odpowiedzialnych za bezpieczeństwo niewiele się wydarzyło. Dla rządu wciąż ważniejsze jest łatanie dziur na rynku pracy niż zaostrzenie niezwykle liberalnych przepisów, które zachęcają do tego procederu. Jak szef BBN i prezydent patrzą na tę beztroskę?

Jednym z punktów naszych rekomendacji do nowej strategii bezpieczeństwa jest uporządkowanie polityki imigracyjnej. Na przykład jeżeli się okaże, że obywatele Ukrainy pracujący dziś w naszym kraju

Jeśli chodzi o agresję konwencjonalną, mamy plany automatycznej odpowiedzi NATO. W przypadku cyberataku są poważniejsze problemy

wyjadą do Niemiec, a nie znajdują się na ich miejsce polscy pracownicy i napłyną cudzoziemcy z „państw ryzyka”, będziemy mieli problem. Kwestie imigracyjne są stałym elementem szeroko rozumianej polityki bezpieczeństwa państwa. Nie można od tego abstrahować. Mielśmy w BBN kilka zamkniętych spotkań na temat imigracji z przedstawicielami zarówno służb, jak i kilku resortów. W dużej mierze to, co przeczytałem w panów artykuły, było potwierdzeniem konstatacji z tych spotkań.

Wszystko sprowadza się do jednego: kontroli osób przyjeżdżających. Polska ma dziś z tym problem.

Kontrola jest tylko jednym z elementów całości polityki migracyjnej prowadzonej przez państwo w tym zakresie. Oczywiście jest tu także wiele rzeczy do zrobienia, ale przede wszystkim potrzebujemy spójnej, skoordynowanej i konsekwentnej polityki migracyjnej. Pamiętajmy, że nie możemy być zakładnikami politycznej poprawności i unikać drażliwych tematów. Wiem, że są interesy pracodawców, którym brakuje rąk do pracy, ale względy bezpieczeństwa powinny mieć pierwszeństwo.

Na koniec kolejny kłopotliwy temat – katastrofa smoleńska. Jeszcze gdy był pan w Instytucie Sobieskiego, bardzo angażował się w wyjaśnianie tej tragedii i piętnowanie patologii przy badaniach. Po trzech latach dobrej zmiany stoją pomniki, ale wydaje się, że stoi też śledztwo.

Mamy ciszę ze strony prokuratury i chaos w podkomisji, pudrowany krzykliwymi tezami bez należytych dowodów. Jak pan się z tym czuje?

To, co mówiłem w czasach Instytutu Sobieskiego, mógłbym dziś tylko powtórzyć. O ile pełne wyjaśnienie wszystkich okoliczności może być utrudnione z powodu rosyjskich rozgrywek i odmowy oddania wraku samolotu, o tyle jest w naszym zasięgu ocena osób odpowiedzialnych za bezpieczeństwo i wyciągnięcie wobec nich konsekwencji. To ma być przestroga dla wszystkich rządzących. Odpowiadający za bezpieczeństwo kraju nie mogą być zwolnieni z odpowiedzialności za podejmowane decyzje lub ich brak.

Ma pan na myśli odpowiedzialność za organizację wizyt?

Z jednej strony za działania, które doprowadziły do tragedii, z drugiej – za to, jakie działania zostały lub nie zostały podjęte po 10 kwietnia.

Czyli prokuratura powinna bardziej wziąć się do roboty?

Mam wrażenie, że w tych sprawach panowie są lepiej zorientowani niż ja. Ciągłe czekamy na ostateczne konkluzje.

Na ile może liczyć Biedroń

Ruch Biedronia zagraża całej obecnej opozycji, a jest mimowolnym sprzymierzeńcem Prawa i Sprawiedliwości przed nadchodzącymi wyborami



STANISŁAW JANECKI

Choć nowa partia Roberta Biedronia wciąż faktycznie nie istnieje, to już wywołuje skrajne emocje. Praktycznie tylko po stronie opozycji. Nie tylko dlatego, że ma być nowa, lecz również z powodu tego, komu mogłaby zaszkodzić. I prawie cała opozycja obawia się strat, choć nie potrafi racjonalnie wyjaśnić, dlaczego takie straty miałyby ponieść. Zamiast szukania racjonalnych argumentów, np. w PO dominują lęk i wściekłość, widoczne też w większości lewicowo-liberalnych mediów, że partia Biedronia



Fot. Jan Bielecki/East News



będzie przeszkodą uniemożliwiającą wygranie wyborów do parlamentu zarówno przez duży blok opozycyjny, jak i przez samą Platformę.

Powody podpowiada (na łamach „Kultury Liberalnej”) dr hab. Jarosław Flis, socjolog z UJ, przypominający, że w 2005 r. do wyborów oddzielnie poszły Socjaldemokracja Polska (zdobyła 3,9 proc. głosów) i Partia Demokratyczna (2,5 proc. głosów). Obie nie znalazły się w Sejmie, ale wpłynęły na jego kształt. Podobnie było w 2011 r., gdy Polska Jest Najważniejsza wystąpiła obok Prawa i Sprawiedliwości, a uzyskane przez nią dwuprocentowe poparcie sprawiło, że PiS nie było w stanie przeszkodzić koalicji PO-PSL w uzyskaniu sejmowej większości.

Gdyby w wyborach parlamentarnych w 2019 r. partia Biedronia zdobyła np. 4,5 proc. głosów i podobne poparcie zyskał SLD, PiS miałoby ogromne szanse znowu samodzielnie rządzić, a Platforma praktycznie żadnej możliwości zawarcia większościowej koalicji. A to dlatego, że poza PSL (zapewne niemającym wystarczającej liczby mandatów) mogłaby liczyć albo na ruch Biedronia, albo na SLD, a ich w Sejmie by nie było.

ANTYPLATFORMA

Ruch Biedronia jest specjalnie bagatelizowany. Po stronie obecnej opozycji odbiera mu się szanse znaczącego sukcesu wyborczego, żeby zniechęcić do niego głosujących, ale boją się go praktycznie wszystkie opozycyjne ugrupowania. Nie dlatego, że Robert Biedroń mówi: „Muszę wygrać bardzo wysoko i o to gram” (w rozmowie dla „Kultury Liberalnej”), czyli kreuje się na przyszłego premiera. Przede wszystkim dlatego, że Biedroń jest zaangażowanym entuzjastą. I mimo że ostatecznie porzucił „swój” Słupsk, trwale zmienił nastawienie mieszkańców do takich jak on. W 2014 r. wygrał w Słupsku wybory na prezydenta, ale w radzie miasta dominowały PO i PiS. W 2018 r. komitet stworzony przez Biedronia nie tylko uzyskał wygraną prezydent Krystyny Danileckiej-Wojewódzkiej, lecz i najlepszy wynik w radzie miasta (dziewięć mandatów wobec siedmiu dla PO i siedmiu dla PiS). Można więc powiedzieć, że inicjatywa Biedronia wygrała na lokalnym poziomie z dwiema potężnymi partiami. To się oczywiście nie przekłada na Polskę, ale każde ostrożnie oceniać głosy niedające Robertowi Biedroniowi większych szans na sukces.

Biedroń chce wykorzystać współtworzony przez siebie „ruch progresywnych burmistrzów i prezydentów miast”, choć nie ma żadnych gwarancji, że ci prezydenci poprą jego partię w wyborach ogólnopolskich (a są wśród nich np. prezydenci Łodzi i Poznania – Hanna Zdanowska i Jacek Jaśkowiak, de facto kandydaci PO). Biedroń uważa też, że jest w stanie być trzecią siłą między PiS a antypis. I to siłą, która przy okazji osłabi antypis, czyli głównie PO. A to dlatego, że jego zdaniem wyniki samorządowych wyborów świadczą o tym, iż „Koalicja Obywatelska poniosła w tych wyborach klęskę”. Wprawdzie „na ich szczęście, ich narracja o zwycięstwie przebiła się do opinii publicznej”, ale jednak „stracili miejsca w radach miast, radach powiatów, w sejmikach, stra-

cili prezydentów. [...] Nie rozumiem – gdzie oni wygrali? Na każdym szczeblu stracili. Te wyniki oznaczają, że ludzie na nich nie głosują. Ludzie zagłosowali za to na PiS, które zyskało bardzo dużo mandatów” – mówił Biedroń w rozmowie z „Kulturą Liberalną”. Chce być trzecią siłą, ale najwyraźniej głównie kosztem PO. Mówi zresztą otwarcie: „A co ja mam wspólnego ze Schetyną i z Platformą? [...] Ja nie jestem szalupą ratunkową dla Platformy. [...] Żeby rządzili znów Grzegorz z Platformą, to nie jest mój interes”.

W krótkiej perspektywie nie jest interesem Biedronia tworzenie koalicji z PO. Nie chce się „poddąć i oddać Schetynie”, żeby go „skonsumował jak przystawkę”. Tym bardziej że „ludzie się rozczarują i powiedzą, że miałem być wiarygodny, autentyczny i świeży, a poszedłem ze Schetyną”.

Biedroń nie chce mieć nic wspólnego z Platformą także dlatego, że nie chce tworzyć „ruchu protestu”. W „Kulturze Liberalnej” wspomina o wizycie „w małym mieście na Suwalszczyźnie, akurat w czasie dyskusji o Sądzie Najwyższym”. Mówił tam, że w Warszawie „bronimy Sądu Najwyższego”. A w odpowiedzi usłyszał: „Panie, co pan gadasz! Jaki Sąd Najwyższy! Popatrz pan na tę górę. Tu na górze była kiedyś szkoła. Teraz jest zabita dechami. Ta szkoła była naszą demokracją”. Mieszkańcy pytali go, „gdzie byli politycy Platformy, jak trzeba było bronić ich demokracji”. Dlatego „to nie są tematy, którymi żyją [przeciętni ludzie]”. Bo czy „niezależne sądownictwo oznacza to, że będzie tak, jak było, i ludzie będą czekali na sprawiedliwy wyrok przez lata? Czy oznacza to, że ludzie będą przebywać w areszcie bez wyroku przez kilka lat? Dalej będą funkcjonować w Polsce areszty wydobywcze? Czy nadal ludzie będą musieli iść o byle głupotę do sądu?”. Jeżeli będzie się tłumaczyć ludziom, że „mają stanąć w obronie niezależnego sądownictwa, to oni odpowiedzą, że w tym sądzie siedzą ze swoją sprawą od sześciu lat i może dobrze, żeby przyszedł ktoś, kto ten sąd w końcu pogoni”.

Biedroń uważa, że to są problemy Warszawy, a nawet tylko części Warszawy, Polska zaś tym wcale nie żyje. „Szantażowanie wyborców tym, że mają bronić niezawisłości sądów, konstytucji [...], to nie jest dobra droga” – zauważa. I to wywołuje wściekłość po stronie obecnej opozycji, gdyż burzy narrację o apokalipsie łamania praworządności i konstytucji oraz konieczności tworzenia wielkiej koalicji obrońców demokracji.

„Szantażują nas, że jak nie będziemy dolewać oliwy do ognia i nie opowiemy się po jednej z dwóch stron, to Polska straci, to nie będzie demokracji. Prowadzi to do tego, że na cztery lata zmienimy rządy w taki sposób, że będzie ciepła woda w kranie i będzie rządziła Platforma. Nic się od tego nie zmieni” – mówi były prezydent Słupska.

PROGRESYWN I SOLIDARNI

Biedroń chce przedstawić program pozytywny, a właściwie pozytywistyczny. „Kręci mnie wyrównywanie szans, kręci mnie tworzenie polityki opartej na rozwiązywaniu realnych problemów”. Ludzie, których spotyka, „myślą kompletnie innymi emocjami, inaczej kalkulują”, chcą rozmawiać o sprawach „związanych z ich przyszłością, a także przyszłością ich dzieci – z ich codziennym życiem”. Z konkretnymi Biedroń ma

wyraźnie problem, więc mówi, że „opowiada inną historię. I ona nie jest kierowana do tych czy do tamtych. Ona jest po prostu kompletnie inna”.

W Słupsku, w mikroskali, uznał, że chce „zbudować miasto, w którym nikt nie jest wykluczony, miasto nowej generacji, zielone”. W Słupsku zmierzył się z „wyludniającym się miastem, z długami, z brakiem środków na inwestycje, ze stagnacją, z beznadzieją, z brakiem poczucia dumy z bycia mieszkańcem swojego miasta”. A skoro „te problemy odzwierciedlają się w skali ogólnopolskiej”, będzie działał tak jak w Słupsku, tylko szerzej. Przecież „tak mało jest przestrzeni na rozmowę o tym, kiedy zostaną przywrócone połączenia kolejowe do takich miejscowości jak Łomża. Że nie myślimy o zrównoważonym rozwoju, o smogu, o tym, dlaczego rolnicy wychodzą na ulice, dlaczego pracownicy administracyjni sądzą protestują, o tym, co z całą budżetówką, która przez ostatnich 10 lat nie doczekała się podwyżek”. To są problemy, które Biedronia ekscytują, a ciągle jest pytany o „pomniki, o marsze, o d'Hondta, o Grzegorza i inne sprawy”. I o tym napisał w książce „Nowy rozdział”.

W krótkiej perspektywie nie jest interesem Biedronia tworzenie koalicji z Platformą. Nie chce się „poddąć i oddać Schetynie”, żeby go „skonsumował jak przystawkę”. Tym bardziej że „ludzie się rozczarują i powiedzą, że miałem być wiarygodny, autentyczny i świeży, a poszedłem ze Schetyną”

Robert Biedroń nie chce koalicji z PO, bo to nie tylko byłoby zabójcze dla ruchu na początku jego istnienia, lecz przede wszystkim nic go z partią Schetyny nie łączy. I nie chce być ugrupowaniem ideowo pustym, dlatego już stworzył całkiem silny zespół doradców, z socjologiem dr. hab. Maciejem Gdulą, ekonomistą i prawnikiem Dariuszem Standerskim (szefem zespołu programowego) czy Anną Gromadą z IFiS PAN, specjalizującą się w socjologii, politologii, ekonomii i studiach nad rozwojem.

Biedroń chyba nie chce zostać „lewicowym mesjaszem”, co przypisuje mu dr. hab. Jarosław Flis, a właściwie przypisuje to „środowisku medialno-eksperskiemu” wyczekującemu takiego mesjasza. Ale zapewne chciałby być mesjaszem Polski progresywnej (unika tradycyjnych podziałów ideowych). Problemem jest to, że na początek trzeba mieć prawie milion głosów, co wedle wyliczeń Flisa przekłada się na 8–10 proc.

poparcia w wyborach. I ten milion nie może „rozpatrywać innej alternatywy”. Biedroń tego miliona upatrywałby po różnych stronach politycznej barykady. Jarosław Flis sytuuje go tylko po stronie lewicy, gdzie do zdobycia jest „mniej więcej 14 proc. głosów”, czyli niewiele, zważywszy na konkurencję ze strony przynajmniej SLD i Partii Razem. Na prawicy jest ok. 49 proc. głosów, ale są one dla Biedronia raczej niedostępne. Głównie z tego powodu, że nie może on całkiem porzucić kwestii obyczajowych. Biedroń może się ewentualnie odwoływać do innej linii podziału, czyli na „liberalnych” (wedle szacunków Jarosława Flisa jest ich 21 proc.) oraz „solidarnych” (40 proc.). Ale ponieważ „są też solidarni lewicowcy, a także liberalna lewica i prawica, [...] suma tych dwóch prędkości sprawia, że jeśli się Polaków pogrupuje »po przekątnej«, gdzie jednym biegunem są ci lewicowo-liberalni, to okaże się, że tych, co są po stronie solidarnych prawicowców, jest 57 proc.”. Dlatego, zdaniem Flisa, „Biedroń łowi na najpłytszych możliwych wodach”. A to oznacza, że jest idealnym wręcz przeciwnikiem dla Jarosława Kaczyńskiego. Głównie dlatego, że może odbierać głosy każdemu poza PiS. Sam Biedroń tak nie uważa i nieprzypadkowo mówi językiem dużo bliższym „solidarnym” niż „liberalnym”.

NOWY DUCH NAD POLSKĄ

Robert Biedroń uważa, że może walczyć nie tylko o głosy tych, którzy wcześniej popierali Zjednoczoną Lewicę, Razem i Nowoczesną, lecz także o poparcie prawicowych wyborców „solidarnych”, dla których ważne są kwestie praktyczne. Tyle tylko, że ci wyborcy są jednocześnie najbardziej ideowi i przywiązani do swoich poglądów.

W wyborach w 2011 r. „nowy” Ruch Palikota zyskał poparcie 10,02 proc., cztery lata później ruch Kukiz'15 dostał 8,81 proc. głosów, Nowoczesna Ryszarda Petru zaś 7,6 proc. głosów. Bariera 10 proc. jest więc widoczna w wypadku nowych ugrupowań. Ale nawet wynik powyżej 7 proc. jest znaczącym osiągnięciem dla całkiem nowej formacji. Z takim wynikiem, a tym bardziej z poparciem ok. 10 proc., Biedroń bardzo utrudniłby PO stworzenie większościowej koalicji, gdyż mogłoby zabraknąć mandatów w Sejmie do jej zbudowania. I prawdopodobnie uniemożliwiłby wejście do Sejmu SLD, chyba że Włodzimierz Czarzasty zawrze koalicję „być albo nie być” z Grzegorzem Schetyną, która wcale nie gwarantuje znacząco lepszego wyniku, niż uzyskalaby sama Platforma.

Problemem jest to, skąd się weźmie milionowe poparcie dla inicjatywy Biedronia. Sam lider liczy na „solidarnych”, do których adresuje swój przekaz. I na to, że będzie postrzegany jako całkowicie nowa nowość, inna od wcześniejszych nowości. Może się przeliczyć, ale nie musi, bo jednak nowe partie w ostatnich ośmiu latach odnosiły sukcesy. Tym bardziej gdy zmienia się polityczna scena także w innych państwach. Biedroń liczy na to, że duch nowej siły krąży nad Polską, i to on jest tym duchem. Opozycja też wydaje się o tym przekonana, dlatego inicjatywa Biedronia tak ją irytuje. A PiS uważa, że tylko na tym zyska.

Duch wspólnoty w Zakopanem

Uważam, że udało się zbudować format narodowego sylwestra. To nowa, świecka tradycja, a jednocześnie coś, co uznaję za jeden z największych sukcesów mojej prezesury

Jacek Karnowski rozmawia z **Jackiem Kurskim**, prezesem Telewizji Polskiej

Według danych TVP „Sylwestra marzeń” w Dwójce obejrzało 6 mln 480 tys. osób, a w tzw. piku niemal 8 mln. Także według badania Nielsen – który zazwyczaj zaniża wyniki telewizji publicznej – TVP pobila konkurencję, zdobywając 5,61 mln widzów, wobec 1,86 mln w Polsacie i 1,39 mln w TVN. Zakopane znów okazało się dobrym wyborem?

Jacek Kurski: Bezdiskusyjnie. Według danych MOR, czyli tych, które my uważamy za najbardziej wiarygodne, naszą imprezę oglądało dwukrotnie więcej widzów niż Polsatu i TVN łącznie. Według Nielsen było to niemal dwukrotnie więcej. Zwyciężył więc z jednej strony świetnie ułożony merytorycznie, profesjonalnie i artystycznie koncert, ale z drugiej – duch wspólnoty.

Duch wspólnoty?

Tak. Bo sylwester to nie jest zwykły wieczór. To jest taki czas, który – podobnie jak święta Bożego Narodzenia – ma dla ludzi szczególne znaczenie. Myślimy wówczas o osobach nam bliskich, chcemy się spotykać, być razem. Zakopane jest najlepszą emanacją tego wspólnotowego pragnienia.

Bo w polskich Tatrach i na konserwatywnym Podhalu przebywa w tym czasie pewnie w sumie kilkaset tysięcy Polaków. To jest swoista delegacja całego narodu. Niemal każdy ma kogoś – brata, siostrę, szwagra, przyjaciela – kto w tym czasie jest pod Giewontem albo w najbliższej okolicy. Jeśli więc jest w kraju jakieś miejsce, w którym cała Polska symbolicznie wita Nowy Rok, to jest nim Zakopane.

„Zimowa stolica Polski”

Tak. Nasz sukces wyrasta właśnie z tego, że oprócz pomysłu artystycznego postawiliśmy na wspólnotowość. Wcześniej w TVP dominowało stawianie na merkantylizm i sprawy techniczne. Wybierano rynek w wielkim mieście, pobierano od miasta dwu-, trzymilionową opłatę i organizowano imprezę według starej mainstreamowej receptury. Imprezę relatywnie bezpieczną, minimalistyczną z punktu widzenia telewizji. A w Zakopanem trzeba się naprawdę postarać, trzeba się naharować.

Dlaczego?

Bo jest znacznie więcej zagrożeń, może się pojawić bardzo dużo śniegu, może być błoto, może być lód albo np. halny,

który zdmuchnie scenę. To wymaga dużych nakładów na posadowienie i zabezpieczenie sceny, których nie ma np. na osłoniętym kamienicami kamienym czy brukowanym rynku wielkiego miasta, wszystko trzeba przewidzieć, uwzględnić. Ale warto to robić, bo atmosfera w tym mieście i w tym czasie jest absolutnie wyjątkowa, niepowtarzalna. Jest to coś, co sprawia, że ludzie dobrze się tu czują. To są tysiące szczęśliwych osób, które przyjeżdżają nie tylko na jeden koncert, lecz na wielką noworoczną fiestę, często na parę dni albo i dłużej. I to oczekiwanie na wielki koncert zamienia się w radosną fiestę na Krupówkach czy Równi Krupowej. A u konkurencji widziałem wyraźnie zdesperowanego konferansjera, który na tle tysięcy pustych krzesełek stadionowych zapewniał widzów, że tu za chwilę będzie nieprawdopodobny show. Nie brzmiało to szczególnie wiarygodnie. Może pewne wydarzenia naprawdę smakują jedynie w telewizji publicznej, narodowej? Uważam, że udało się zbudować format narodowego sylwestra. To nowa, świecka tradycja, a jednocześnie coś, co uznaję za jeden z największych sukcesów mojej prezesury.



Dlaczego ten bój o widownię w noc sylwestrową jest tak ważny? Przecież to jest tylko jeden dzień, który słabo przekłada się na wyniki miesięczne, nie można też wiele zarobić, bo nie ma reklam. Chodzi tylko o prestiż?

Zwyczajstwo nad telewizjami komercyjnymi, i to w dniu szczególnego poruszenia społecznego, w dniu, w którym czas biegnie jednak inaczej, zawsze jest ważne. Tym bardziej że to jest jedyny w roku moment, w którym porównujemy rzeczy idealnie porównywalne. Na co dzień tak nie jest: koncerty w roku są w różnym czasie i z różnych okazji, sport przeważnie różny, główne serwisy informacyjne każda stacja ma w innej godzinie itd. Tu jest inaczej: oto trzy wielkie telewizje robią show, trwający dokładnie tyle samo: od 20.00 do 1.00, z tej samej okazji. Tu już nie ma żadnego „ale”, żadnego usprawiedliwienia. To jest chwila, w której pada „sprawdzam”. Co do finansów, to dzięki sukcesom w poprzednich dwóch latach w tym roku mieliśmy aż siedmiu poważnych sponsorów na kwotę grubo ponad 2 mln zł. Z każdym kolejnym rokiem impreza coraz lepiej się bilansuje. Tu się wszystko łączy: sukces misyjny, oglądalnościowy i menedżerski.

Czy rzeczywiście Polsat i TVN przyjeły do wyzwania? Czy sięgnęły po wszystkie zasoby, które mają do dyspozycji?

Sądząc choćby po tym, w jaki sposób stacja konkurencyjna „porwała” jedną z gwiazd naszego sylwestra, to tak, to było zderzenie czołowe. Chodzi o artystę, który był ewidentnie kojarzony z naszym koncertem; trudno zresztą, by było inaczej, skoro jego wielki przebój to „Miłość w Zakopanem”. To chyba pierwszy przypadek, by jeden wykonawca obkoczył jednego wieczoru dwie konkurencyjne imprezy. To pobicie rekordu Joanny Kluzik-Rostkowskiej, która w jednym czerwonym żakiecie zaliczyła w ciągu roku trzy różne partie. To niby detal,

ale pokazujący skalę determinacji konkurencji.

Czy zachowanie wspomnianego Sławomira – którego przecież TVP w dużej mierze wypromowała – oznacza, że jego współpraca z telewizją dobiega końca?

Nigdy nie mów nigdy, niemniej to osobliwe podejście do etyki biznesowej. Życie pokaże, czy warto tak gonąć. W tym roku naszą imprezę otworzyli

Jesteśmy telewizją publiczną, która realizuje potrzeby estetyczne wszystkich Polaków: i tych kochających Chopina, i tych, którzy wybierają twórców ludycznych. Nikogo nie wykluczamy, nikogo nie stygmatyzujemy

bracia Golcowie razem z Gromeem, prezentując zjawiskowe wykonanie „Ścierniska”. Pewne wnioski z tej sytuacji zaczynają więc już być wyciągane.

Mówił pan o licznych sponsorach, ale z pewnością cała impreza kosztowała znacznie więcej, niż byli oni w stanie wyłożyć. Pojawia się pytanie o sensowność tych wydatków, czy nie jest to szastanie pieniędzmi dla prestiżu.

Do imprezy dokłada się też Zakopane. Oczywiście są to mniejsze pieniądze niż w przypadku wielkich miast, ale proporcjonalnie w stosunku do liczby mieszkańców nawet większe. W żadnym wypadku nie ma mowy o szastaniu pieniędzmi. Każdą złotówkę oglądamy z każdej strony, zawsze staramy się maksymalnie zbić koszty. To, co wydajemy, przynosi jednak konkretne korzyści. Budujemy wspólnotę narodową, ale także wspólnotę międzypokoleniową. Bo

ten koncert był doskonale ułożony i merytorycznie, i pokoleniowo. Była Roksana Węgiel, lat 13, i Al Bano, rocznik 1943. Byli także młodzi ludzie, którzy błysnęli w talent-show, co zawsze jest ryzykiem, bo Polacy lubią te piosenki, które już znają. A mimo to Dawid Kwiatkowski i Marcin Sójka podolali wyzwaniu. Podejmowanie takiego ryzyka, promowanie nowych gwiazd to także element misji TVP. Do tego pełne zrównoważenie gatunkowe. Było disco polo, ale była także topowa, mainstreamowa muzyka popowa, tacy artyści jak Margaret, Natalia Szroeder, Ania Dąbrowska, Sylwia Grzeszczak; były zagraniczne gwiazdy. A dla koneserów kultury wysokiej na żywo sylwestrowy koncert z Filharmonii Narodowej, który transmitowaliśmy na innej antenie, ryzykując, że zmniejszy to nasz wynik z Zakopanego o np. 1 proc. Realizujemy misję nawet nie w 100, ale wręcz w 110 proc.

Czy po tych trzech latach uważa pan, że decyzja o otwarciu się na disco polo była słuszną? Są tacy, którzy uważają, że może to przynieść rozciągnięcie etykiety „przaśności” na cały obóz rządzący.

Nie ma takiego zagrożenia, trzeba tylko znaleźć właściwy balans. Disco polo zajęło niecałą godzinę, a koncert trwał pięć godzin. Co ważne, prezentujemy disco polo w najlepszym wydaniu. Zawsze stawiam warunek, że artysta musi prezentować dobry poziom, i tak się dzieje. To gatunek wewnętrznie bardzo zróżnicowany, my wybieramy tych najlepszych. I Martyniuk, i Boys, i Weekend to crème de la crème disco polo. Selekcja jest staranna i konsekwentna. Oczywiście nie możemy przesadzić, to nie może być główne danie, trzeba zachować umiar, ale sądzę, że historia przyznała nam rację. Dzięki temu jesteśmy telewizją publiczną, która realizuje potrzeby estetyczne wszystkich Polaków: i tych kochających Chopina, i tych, którzy wybierają twórców ludycznych. Nikogo nie wykluczamy, nikogo nie stygmatyzujemy.



Czy z sukcesu tego sylwestra wynikają jakieś szersze wnioski dla obozu dobrej zmiany?

Wysiadłem z biało-czerwonego tramwaju na przystanku „Telewizja” i nie chcę mieszać tych rzeczywiistości. Ale o jeden wniosek mogę się pokusić: dobra zmiana wygrywa wtedy, kiedy jest sobą, kiedy nie ulega terrorowi mainstreamu i poprawności, wtedy, kiedy konsekwentnie realizuje swoje plany, kiedy słucha ludzi i jest z ludźmi. Wtedy ludzie czują, że tu jest prawda, szczerść, siła, wierność, i dają swoje zaufanie. Z tego jakieś wnioski dla świata polityki mogą wypływać.

Nowy Rok w TVP to także tradycyjna „Szopka noworoczna” Marcina Wolskiego. Jak zwykle mocno dyskutowana. Panu prezowski „Szopka” się podobała?

„Szopka noworoczna” z natury rzeczy musi budzić kontrowersje, zawsze komuś będzie się podobała, a komuś nie.

Zwycięstwo nad telewizjami komercyjnymi w takim dniu jest ważne. To jest jedyny w roku moment, w którym porównujemy rzeczy idealnie porównywalne. Oto trzy telewizje robią show, trwający dokładnie tyle samo, z tej samej okazji. To jest chwila, w której pada „sprawdzam”

Ta konkretna podobała mi się średnio. Niektóre fragmenty budziły moje zastrzeżenia, które wyraziłem, doszło do dyskusji i w rezultacie do jednej, dwóch korekt, acz niewystarczających. Ale nie lubię ingerować w sa-

tyrę, nawet jeśli ona nie zachwyca. Interwenuję z reguły w wypadku obrazy uczuć religijnych czy pamięci ofiar katastrofy smoleńskiej, tu tego nie było.

Czego dotyczyły zastrzeżenia?

Najwięcej uwag miałem do faktu, że prezydenta Andrzeja Dudę, w odróżnieniu od innych bohaterów, przedstawiano lekceważącym imieniem, zaczerpniętym w dodatku z innej satyry, czyli z „Ucha Prezesa”. W stosunku do innych osób nie stosowano jakichś przezwisk. Moim zdaniem to było nie tylko odgrzewanym kotлетem, lecz i czymś niestosownym, ale to akurat twórca zostawił.

Czy w przyszłym roku będzie „Szopka” Marcina Wolskiego?

Jeśli będzie bardziej udana niż w tym roku, to oczywiście, że będzie.

Sporo kontrowersji wywołało zaprzestanie produkcji programu

„Młodzież kontra”. Zaprotestował m.in. wicepremier Jarosław Gowin.

To jest wyłącznie kwestia wyczerpania się formuły. Lubilem i ceniłem ten program, ale od paru lat on wyraźnie umierał, widać było znużenie, apatię i atrofię woli, także wśród uczestników, którzy rekrutują się z partyjnych młodzieżówek. Kierownictwo krakowskiego ośrodka TVP, który produkował „Młodzież kontra”, nie wprowadziło ożywczych zmian. Inna sprawa, że dopiero od trzech miesięcy jest nowy dyrektor. Konieczna jest szybka i błyskotliwa rewitalizacja. Jeśli pojawi się jakiś ciekawy pomysł, jeśli ktoś weźmie się do tego z energią, to program wróci na antenę.

Przed TVP rok wyborczy. Presja będzie ogromna. Już zresztą jest. Trzeba przyznać, że także część prawicowej inteligencji ma poważne zastrzeżenia, sugerując, że przekaz telewizji jest zbyt jednoznaczny.

Odpowiedzią na te zastrzeżenia niech będzie moja refleksja na temat szerszego przesłania sylwestrowego zwycięstwa, o którym mówiłem parę minut temu. Trzeba być wiernym aksjologii i dynamice z 2015 r. Gdy dobra zmiana się cofnie, wtedy przegra. A telewizja się nie cofa. Konsekwentnie, najlepiej, jak potrafi, dostarcza społeczeństwu prawdę o Polsce i świecie. Szkoda, że nie zawsze dzieje się tak z naprawą obszarów, na które wpływ ma (wspomniany odłam raczej niż cała) prawicowa inteligencja. Inteligencja in gremio jest największym beneficjentem obecnej odbudowy siły i prestiżu telewizji publicznej. Bo to właśnie TVP – stawiając na polski kanon kulturowo-tożsamościowy, seriale historyczne, rewitalizując Teatr Telewizji czy nawet wprowadzając wspomniany format koncertu sylwestrowego live z Filharmonii Narodowej – odbudowuje etos polskiego inteligenta.

Poprzedni rok przyniósł TVP1 wzrost udziałów w rynku, także we-

dług Nielsena. Udział stacji zwiększył się o 1,46 proc., do 9,73 proc. To pierwszy wyraźny wzrost od 15 lat. Sytuacja o tyle zabawna, że przecież dzień w dzień jesteśmy bombardowani informacjami o ciągłych kłeskach telewizji publicznej.

To jest sukces jeszcze większy niż sylwester. Rośnie nie tylko TVP1, lecz także Dwójka i cała grupa. I to przy dużym spadku konkurencji komercyjnej – Polsatu i TVN. To wynik wielkiego wysiłku menedżerskiego

Tegoroczna „Szopka noworoczna” podobała mi się średnio. Niektóre fragmenty budziły moje zastrzeżenia, które wyraziłem. Ale nie lubię ingerować w satyrę, nawet jeśli ona nie zachwyca

i programowego, setek zmian, tysięcy drobnych decyzji. Wciąż wchodzi na antenę nowe produkcje; dla przykładu rozpoczynająca się teraz ramówka zimowa: jest nowa seria „Voice Kids”, programu, z którego na podbój Europy ruszyła Roksana Węgiel. Będzie dziewięć premierowych odcinków „Komisarza Alexa”, będzie nowy format „Sanatorium miłości” o sprawach sercowych seniorów, który może się okazać dużym sukcesem. W połowie stycznia pojawi się serial medyczno-kryminalny pt. „Echo serca”. Będzie także prestiżowa, międzynarodowa fabularyzowana seria „Rozbite marzenia” opowiadająca o losach Europy w latach 1918–1939, w której polski case opowiedziany zostanie przez postać Poli Negri. Ożywiamy także pasmo reportażu: co tydzień premierowa produkcja. A więc mocno inwestujemy w ramówkę zimową, która zazwyczaj była tylko echem powtórek. Mamy też prawa do piłkarskiej ekstraklasy.

Dzień w dzień ciężko pracujemy i są tego efekty.

Czy to, że Nielsen wykazuje wzrost TVP, dowodzi, że ten ośrodek badawczy traktuje dziś nadawcę publicznego nieco bardziej fair?

Wprost przeciwnie. Nielsen powinien wykazać odbicie na znacznie wyższym poziomie, co najmniej 3 proc. dla TVP1 i TVP2, a nie ułamki. To, że łaskawie coś nam wykazano, nie budzi mojej wdzięczności, tylko nieznacznie osłabia moją wściekłość. Wciąż nasze wyniki są dramatycznie zaniżane, wiemy, jakie są tego mechanizmy. W poniedziałek, gdy ukazuje się wasz tygodnik, minie 130 dni, w których czasie Nielsen nie wpuścił naszego audytora. A chciał on jedynie przeprowadzić audyt stu gospodarstw domowych. Sądzę, że wynika to z obawy Nielsena przed kompromitacją.

Czy TVP ma pieniądze na przyszły rok?

Z przykrością stwierdzam, że po trzech latach dobrej zmiany wciąż nie ma ustawowego rozwiązania problemu finansowania mediów publicznych. Cały czas działamy w oparciu o rozwiązania doraźne. To jest kłopotliwe, bo przecież pokazaliśmy, że skutecznie odbudowujemy potęgę telewizji publicznej, a przed nami dwie kampanie wyborcze, których profesjonalna obsługa wymaga pieniędzy. Musimy odbudować park technologiczny, zbudować nową siedzibę dla newsów na Woronicza, wzmocnić ośrodki terenowe i dystrybucję programów, podjąć dalszą ekspansję w internecie. Plany są gotowe. Stoimy w blokach startowych do kolejnego skoku rozwoju TVP. Na szczęście w styczniu parlament ma ponownie zapewnić mediom publicznym zwrot pieniędzy utraconych z powodu zwolnień z abonamentu. Krótko mówiąc: TVP wywiązała się z obietnicy przywrócenia mediów publicznych narodowi, odbudowy siły i prestiżu nadawcy publicznego. A teraz czekamy tylko na dalsze możliwości działania.



Dick Cheney. Drapieżnik w Białym Domu

Adam McKay dowiódł w oscarowym „The Big Short”, jak błyskotliwym potrafi być twórcą. A „Vice” jest jeszcze lepszym filmem. Choć bardzo krytyczny wobec administracji George’a W. Busha, to jednak pokazuje demiurga amerykańskiej polityki Dicka Cheney’a jako człowieka z krwi i kości, a nie demona z opowieści liberalistów



ŁUKASZ ADAMSKI

Oliver Stone i Michael Moore. Nazwiska tych dwóch skrajnie lewicowych reżyserów kojarzą się dziś z amerykańskim kinem politycznym. Do tego można dolożyć jeszcze liberała George'a Clooneya i szekspirowski „House of Cards”, który jednak „zakończył się” katastrofą po oskarżeniu Kevina Spaceya o molestowanie i wyrzuceniu aktora z serialu.

Opowiadający o wiceprezydencie USA Dicku Cheney (2001–2009) „Vice” to jednak film z zupełnie innej półki. Jego twórcy nie odcinają się od bogatej spuścizny kina politycznego Hollywood, zwłaszcza jego satyrycznego zabarwienia. Stanley Kubrick już w 1964 r. nakręcił arcydzieło – „Doktora Strangelove’a”. Barry Levinson w „Faktach i aktach” (1997) piętnował polityczny teatr Waszyngtonu. Lewicujący Warren Beatty uderzył w waszyngtoński establishment, kręcąc „Senatora Bulwortha” (1998). Takich tytułów można wymieniać wiele. Hal Ashby w podobnym stylu zekranizował „Wystarczy być” (1979) Jerzego Kosińskiego, a Mike Nichols w tragikomicznym stylu obnażył polityczną drogę Billa Clintona w „Barwach kampanii” (1998).

To tylko kilka przykładów politycznych satyr z Hollywood, które przeszły do historii kina. Wszystkie były mniej lub bardziej oparte na prawdziwych wydarzeniach. Adam McKay zdecydował się tragikomicznym sosem podlać historię żyjącego polityka.

McKay wyrósł z komedii. Pisał skecze do legendarnego „Saturday Night Live” i kręcił rasowe komedie z Willem Ferrellem. Artystyczny sukces błyskotliwego „The Big Short”, za którego dostał w 2016 r. Oscara za scenariusz adaptowany, pokazał, jak ostry jest jego polityczny pazur. Widać to dobitnie w publikowanym obok wywiadzie, jaki miałem okazję z McKayem przeprowadzić.



„Vice” to rasowa tragikomedia. Ostra jak żyłeta, błyskotliwa i zmuszająca do refleksji. Nie mamy wątpliwości, jakie poglądy mają twórcy tego filmu. To w 100 proc. liberałowie nieznoszący republikańskich polityków. Zależało im jednak, aby Dick i Lynne Cheneyowie, Donald Rumsfeld czy George W. Bush zostali pokazani na ekranie jak ludzie, a nie demonizowane postacie z lewicowych broszurek.

W Beverly Hills rozmawiałem nie tylko z McKayem i Samem Rockwellem (zagrał George'a W. Busha), lecz również z Christianem Bale'em. Zdobycza Oscara za „Fightera” przyznał, że „Vice” jest filmem o człowieku pełnym kontrastów. „Ameryka jest pełna sprzeczności. Wielkie amerykańskie idee inspirowały inne kraje. Jednocześnie ta sama Ameryka ma wiele grzechów, o których nie mówi się głośno. Ten kraj został zbudowany nie tylko na idei wolności, lecz również na niewolnictwie. Dick Cheney też jest człowiekiem pełnym sprzeczności. Chce władzy i wpływów. Ale jednocześnie potrafi zrezygnować z własnych marzeń, walcząc o władzę dla kogoś innego” – mówi aktor.

Bale stworzył wybitną kreację. Do roli Cheney'a przytył kilkadziesiąt

kilogramów. Ociężałość fizyczna doskonale pasuje do sposobu funkcjonowania Cheney'a w Waszyngtonie. To działający w ukryciu przyczajony polityczny drapieżnik najcięższej wagi. Demiurg manipulujący otoczeniem. Ale to przecież nie żaden komiksowy czarny charakter.

W „Vice” oglądamy polityczną drogę Cheney'a od jej początków. Tajników polityki uczył go bezczelnie cyniczny Donald Rumsfeld (świetny Steve Carrell). Młody Dick pyta „Rummiego”: „W co wierzymy?”. Odpowiedzi nie dostaje. Wiele lat później, gdy Rumsfeld był usuwany z administracji Busha rękoma swojego wychowanka to pytanie nabrało jeszcze mocniejszego wymiaru. W co wierzył Cheney? W potęgę USA. W pieniądze i władzę. W misję światowego policjanta, który daje zarabiać wielkim korporacjom. Zawsze jednak ma w sercu dobro Ameryki. Po ataku z 11/09 Cheney natychmiast obmyśla plan odwetu. Takiego, który wzmocni jego kraj. On zawsze wierzył w efekt demonstracji władzy. Mówi to bez ogródek w napisanej wraz z Lynne książce „Wyjątkowość. Dlaczego świat potrzebuje silnej Ameryki”.

McKay dobrze oddaje też istotę związku Dick'a z Lynne (Amy Adams).



Fot. Forum Film

Lynne Cheney jest nie mniej przenikliwa i inteligentna niż Dick. Inspiruje go do wdrapywania się po waszyngtońskiej drabinie. Bardziej niż on dba o elektorat konserwatywny i chrześcijański. Stosunek tego prawicowego przeciw polityka do otwarcie homoseksualnej córki był zupełnie niestandardowy. Adams tworzy kolejną intrygującą kobiecą rolę. Niejednoznaczna i pełną tajemnic.

„Vice” zgarnął sześć nominacji do Złotych Globów. Podejrzewam, że będzie też jednym z faworytów w wyścigu o Oscary. Słusznie. Adam McKay nakręcił wybitną tragikomedię wchodzącą za kuliszy wielkiej polityki. Nawet jeżeli pewne kwestie są przejawiskawione, polityka przybiera zbyt surrealistyczne barwy, to nie można nie docenić błyskotliwości McKaya i gigantycznej pracy całej aktorskiej ekipy (Sam Rockwell jako Bush tworzy oscarowy epizod!), która zrobiła wszystko, by pokazać nam nie ikony, ale ludzi kreujących światową politykę w pierwszej dekadzie XXI w. Wielkie kino! 

Z Adamem McKayem oraz Samem Rockwellem rozmawia Łukasz Adamski

Czego dowiemy się o Dicku Cheney z filmu „Vice”?

Adam McKay: To, co mnie fascynuje u Cheney, to jego przywiązanie do detali. W każdym sensie: politycznych, militarnych, biznesowych. On jest biurokratycznym geniuszem – skrupulatnym i sumiennym. Rozumie, jak funkcjonuje cały system w Waszyngtonie. Widzi go w sposób, w jaki większość ludzi go nie postrzega. Pod tym względem Cheney to absolutnie fascynująca postać.

Po Oscarze za „Trzy billboardy za Ebbing, Missouri” tworzysz zupełnie inną rolę. Wcielasz się w jedną z najbardziej znanych postaci najnowszej historii. Gdzie szukałeś inspiracji do stworzenia na ekranie George’a W. Busha?

Sam Rockwell: Odpowiedź kryje się w jego niedawnym przemówieniu na pogrzebie ojca, prezydenta George’a Busha. Było ono dogłębnie poruszające. George W. Bush jest bardzo wrażliwym facetem. Mało kto zdaje sobie z tego sprawę. Bush jest też niezwykle uroczym gościem. Ma taki amerykański – południowy – chłopięcy urok. Chciałem właśnie to uchwycić.

Ale wykreować na nowo postać George’a W. Busha, który tak wiele razy został sparodiowany i zagrany przez tak znakomitych aktorów jak Will Ferrell czy Josh Brolin, zapewne nie było łatwo?

Sam Rockwell: To było bardzo deprymujące. Amerykanie dobrze znają te wcielenia. Pomógł mi sztuczny nos i upodobnienie fizyczne do Busha. Wtedy mogłem się skupić na mojej interpretacji tej postaci. Zależało mi na wyciągnięciu jego chłopięcego czaru, którym zarażał otoczenie. Starłem się, by nie wpaść w komiczny ton, przybierając teksański akcent. Nie chciałem parodiować George’a W. Busha.

Na ile prezydentura Busha była jego, a na ile Dicka Cheney?

Adam McKay: Cheney przez pierwsze pięć lat prezydentury czuł się bardzo pewnie. Otaczał i osaczał Busha. W pierwszym roku drugiej kadencji George W. Bush zaczął się przebudzać. Istnieje słynna opowieść, gdy Cheney chce zbombardować Syrię, a Bush mówi: „Zaraz, zaraz. Spokojnie”. I kazał głosować członkom administracji w sprawie tej decyzji. Chciał zobaczyć na własne oczy, kto popiera ten pomysł. Uważa się powszechnie, że to był początek końca wpływów Dicka Cheney w jego administracji. Cheney znał Waszyngton jak mało kto. Nawet Bush senior przyznał potem, że gdyby wiedział więcej o działaniach Cheney w Waszyngtonie, toby go nie rekomendował do administracji syna. Nie zapominajmy, że Cheney był w jego ekipie sekretarzem obrony.

A jednak filmowy Cheney nie jest komiksowym demiurgiem, ale człowiekiem z krwi i kości.

Adam McKay: Chcieliśmy opowiedzieć tę historię tak uczciwie i prawdziwie, jak tylko umieliśmy. Nikogo nie demonizowaliśmy. Mając w filmie Christiana Bale’a, Amy Adams, Steve’a Carella i Sama Rockwella, jestem pewny, że wtoczyli oni w swoje postacie człowieczeństwo. To bardzo ważne. Dlaczego? Bo widownia powinna nie tylko się skupiać na faktach, lecz również przywiązać się do postaci. Dziś zapominamy, że wszystkie wielkie historyczne zmiany dzieją się przez ludzi.

Po napisach końcowych umieściłeś scenę, w której dwóch Amerykanów popierających Trumpa i Clinton klóci się i potem okłada pięściami. Chcesz powiedzieć, że polityczne napięcie w USA jest już tak wielkie, że niebawem będziemy tęsknić za epoką Busha i Cheney?



Fot. Shutterstock (x2)

Adam McKay: Ale wtedy też walczyli. Pamiętam, że byłem na marszu w Nowym Jorku przeciwko wojnie w Iraku. Ludzie krzyczeli na nas i rzucałi różnymi rzeczami. Pamiętam, jak mówiono, że nie jestem patriotą ani Amerykaninem, bo nie popieram wojny w Iraku. Było podle. Od czasu wojny w Wietnamie i prezydentury Nixona mamy taki podział. Może jest dziś więcej wariactwa, ale temperatura sporu od dawna pozostaje taka sama. Nie przeceniamy jednak roli Trumpa. Wbrew pozorom on nie ma żadnej władzy. Jest jednym z najsłabszych prezydentów USA. Jest frontmenem. Marionetką w rękach wielkiego biznesu. Jego słabość widać w chaosie tej prezydentury. Ludzie wybrali go, bo pokazali środkowy palec establishmentowi. Mnie Trump wcale tak mocno nie interesuje. Wołałbym zrobić film o ludziach wokół niego i tych, którzy go wykreowali. Ciekawszy od Trumpa jest jego ojciec, bez którego majątku on by nigdzie nie doszedł. Mamą nowy rodzaj wojny, który opiera się nie na bombach, ale na wojnie informacyjnej. To są fascynujące tematy. Interesują mnie ci, którzy naprawdę pociągają za sznurki.

Sam Rockwell: Wyjątkowość Cheney'a polega właśnie na tym, że on nie chciał być na pierwszej linii frontu. On chciał być ukryty w cieniu. Chciał pociągać za sznurki bez blasku reflektorów. Cheney nie jest taki jak George W. Bush. Ani też taki jak Donald Trump. To zupełnie inne polityczne zwierzę.

Intrygujący jest też sposób realizacji filmu. Fake'owe napisy końcowe pojawiają się w środku filmu. Komedia miesza się z dramatem. Widać wasz wielki dystans do tej historii.

Adam McKay: Nie żyjemy już w czasie kina gatunkowego. Kino jest dziś eklektyczne gatunkowo. Lubię taką szaleńczą narrację. Ale cały świat jest dziś straszno-śmieszny. Spójrzmy na prezydenturę Trumpa. Tam jest tyle samo komedii, ile horroru! Postanowiliśmy pokazać na ekranie podobną tragikomedię. Stąd tyle w scenariuszu ironii i sarkazmu. W końcu George W. Bush jest gościem, który ma 10-letnią przerwę w życiu zawodowym. Imprezował, wydawał kasę i nic poza tym. Nic nie robił przez dekadę! I został najpotężniejszym gościem na planecie. Jak tu nie mieszać gatunków?

Próbowaleś się spotkać z Dickiem Cheneyem, pisząc scenariusz?

Adam McKay: Cheney jest rekinem z Waszyngtonu, ale jest też normalnym facetem. Miesiąc przed rozpoczęciem pracy nad scenariuszem po prostu znalazłem jego dom. Podeszedłem do drzwi i zapukałem. Otworzył mi w szlafroku i zapytał: „W czym mogę pomóc?”. Powiedziałem, że nazywam się Adam McKay, zdobyłem Oscara za „The Big Short” i chciałbym nakręcić o nim swój następny film. Miałem z sobą ciasteczka. Usiedliśmy i pogadaliśmy o projekcie. I tyle. Pozwolił mi nawet pokazać w filmie, co tylko chcę.

Naprawdę?

Adam McKay: Oczywiście, że nie! Ale lubię widzieć miny dziennikarzy, jak to opowiadają [śmiech]. Jeżeli mielibyśmy akceptację Cheney'a, to kręcilibyśmy autoryzowaną biografię. Wtedy jej bohater miałby prawo ingerować w treść. To by nie pozwoliło nam pokazać spraw, do których się dokopaliśmy.

Wywiad przeprowadzony podczas spotkania ekipy filmu „Vice” z międzynarodowym gronem dziennikarzy w Beverly Hills

List od Makuszyńskiego

Czy na początek roku należy nam się odrobina nadziei? Jeśli tak, niech zerkną państwo 7 stycznia, w poniedziałek, na pierwszy w 2019 r. Teatr Telewizji. Ja go już widziałem.

Zdawkowo tłumaczyła Anna Wierzbicka-Bluszcz na pokazie przedpremierowym, dlaczego wzięła na warsztat „List z innego świata” Kornela Makuszyńskiego, jego mniej znaną powieść z roku 1936. Po prostu jej się spodobała. Ta pani reżyser spodobała się z kolei mnie, kiedy przed rokiem przy okazji wystawienia przez nią „Żabusi” Gabrieli Zapolskiej rzuciła: „Po co do niej coś dopisywać, kiedy jest dobra”. To, co wyszło z tego podejścia, potwierdzało mądrość tych słów. Tym razem musiała oczywiście wykreować coś nowego – na tym polega adaptacja. Ale był tu duch Makuszyńskiego.

To prościutka historyjka o tym, jak rodzinę o dźwięcznym nazwisku Mościerzeccy łączy prastary zapis ich wspólnego przodka, XIX-wiecznego rejenta. Przyszło mi do głowy, że świetlisty, kochany przeze mnie od zawsze, Makuszyński czułby dziś ducha komedii romantycznej, gdzie mamy kilka suspensów i zasadzek, a jednak w finale następuje nie tylko happy end, lecz i morał. Że to zbyt naiwne, że w życiu tak nie jest? Tak, czasem mam odruch wkurzenia na składanie wszystkiego w życiową całość i ludziom całość.

A jednak, czy nie stajemy się od tego choć trochę lepsi?

Nie wiem, na ile to oferta tylko dla nas, szukających rodzinnych sentymentów, a na ile także dla młodych, niecierpliwych, czasem preferujących szorstkość i beczerność. To widowisko to skądinąd także lekcja, jak bardzo zmieniły się czasy. Bo tu najbardziej szorstki jest próbujący trzymać wszystkich w szachu starzec, pan Mościerzeczki, drobny ziemianin. Młodzi za to są dziwnie delikatni. Mamy też inne niespodzianki. Na przykład uczucie rodzące się między dwójką ludzi w wieku mocno dojrzałym, właściwie bez seksu. W tym względzie komedia

romantyczna à la Makuszyński jest trochę inna niż ta standardowa, dzisiejsza.

Jeśli ktoś z młodzieży skusi się na podróż do takiego świata, czekają go tego typu spostrzeżenia. Oczywiście znaczna część konfliktów i dylematów rysowana jest tu grubą, prawie bajkową kreską, ze szczyptą ciepłego komizmu. Ale czy to źle? Czy nie warto poprobować i takiej potrawy? Ja rzucam się na podobne utwory, bo, choć to zabrzmi banalnie, opowiadają się za dobrem. A to chwilami wydaje się równie niemożliwe jak wyznanie reżyserki, że nie ma zamiaru niczego dopisywać zmarłej autorce.

Żeby to zagrało, potrzeba galerii wyrazistych postaci. Anna Wierzbicka-Bluszcz taką galerię zgromadziła, nie zawsze z najbardziej modnych aktorów. Nawet Beata Fido prezentuje się całkiem zabawnie jako jedna z ciotek. Najwięcej uwagi przykuwają Krzysztof Dracz jako komiczny rządca, dojrzewający do późnej miłości (ten aktor zabłysnął ostatnio w scenicznej wersji „Ucha prezesa” brawurową kreacją Richarda Czarnieckiego), oraz Joanna Jeżewska, nieprzeszarżowaną rolę jego



wybranki. Świetny jest jak zawsze Jarosław Gajewski jako histeryczny aptekarz Mościerzeczki.

Ale rzecz cała opiera się na charyzmie Wojciecha Wysockiego jako wysoce kontrowersyjnego nestora rodu. To na moich oczach ten aktor debiutował w latach 70. jako romantyczny Kordian u Erwina Axera. Dziś świetnie się czuje we wszelkich kon-

wencjach, ale może najlepiej, kiedy demonstruje sarkastyczny humor podszyty wiarą w człowieka. A o to chodzi u Makuszyńskiego.

Piotr Zaremba



„Blacksmith”
(próba czytana)

W rytmie wolności

Od Los Angeles po Nowy Jork pokazano „Paderewski Musical”, serię projektów opartych na życiorysie i muzyce wielkiego męża stanu. Siedem próbnych spektakli dało szansę na wykreowanie tematu, który być może zawita nawet na którąś ze scen broadwayowskich



PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

Wszystko zaczęło się jesienią 2016 r., kiedy Instytut Adama Mickiewicza ogłosił w Stanach Zjednoczonych konkurs na napisanie musicalu czerpiącego z postaci i dorobku Ignacego Jana Paderewskiego. Temat, biorąc pod uwagę zbliżające się obchody stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości i fragment historii zapisanej wspólnie przez naszego kompozytora oraz amerykańskiego prezydenta Woodrowa Wilsona, wydawał się idealny, by zainteresować nim środowiska artystyczne za oceanem, ale jak zawsze w takich przypadkach – diabeł tkwił w szczegółach. Przygotowanie musicalu czy choćby jego zarysu to w warunkach amerykańskich ogromne, a przede wszystkim precyzyjnie zaplanowane przedsięwzięcie, zwyczajowo angażujące wiele osób, z których każda ma swoją część, za jaką odpowiada. Osobowość Pade-

rewskiego kusi, z naszej perspektywy to niepowtarzalna opowieść, trzeba jednak pamiętać, że specjaliści od tego gatunku scenicznego również dobrych postaci mogliby wskazać wiele.

Dlatego konkurs zakładał bardziej strategię zbadania terenu niż chodzenie o to, aby wybrać jeden scenariusz czy jeden schemat narracji. W drugim jego etapie, pod tytułem „Paderewski Cycle”, w czerwcu 2017 r. wybrano autorów dziewięciu scenariuszy, tak naprawdę zupełnie odmiennych. W listopadzie 2017 r. w Los Angeles i Nowym Jorku odbyła się pierwsza seria 15-minutowych inscenizacji, które dość wyraźnie zarysowały kierunki, w których amerykańscy artyści zamierzali pójść. Można powiedzieć, że był to punkt wyjścia, przejęty i rozwinięty w roku 2018 już w ramach projektu „Paderewski Musical” – ośrodki artystyczne w Nowym Orleanie, Los Angeles, Albuquerque i Nowym Jorku rozpoczęły prace nad pokazami jednoaktowych zapowiedzi większych musicalowych całości; wybrano siedem najlepszych tematów, które pojawiły się na etapie „Cycle”.

Ostateczny efekt kilkumiesięcznych prób, choć cały czas pod typowym dla takich sytuacji w amerykańskich warunkach szyldem „work in progress”, można

było zobaczyć pod koniec listopada i na początku grudnia minionego roku.

Co interesujące, twórcy chyba bardziej starali się zarysować usposobienie Paderewskiego w różnych, często nieoczekiwanych kontekstach, niż budować klasyczne biografie, co jest przecież specyfiką polską, od której nieraz trudno nam się uwolnić.

W pierwszym z musicali, nowoorleańskim „Virtuoso”, reżyser Laura Hope skupiła się na relacjach Paderewskiego z kobietami i pokazała jego charakter przez pryzmat życia jak najbardziej codziennego, z domieszką rytmów soulowych i R&B. Sekret tak ważnej roli płci pięknej w otoczeniu geniusza próbował też rozszyfrować wystawiony w Albuquerque „Paderewski! Paderewski! Paderewski!” w reżyserii Emily Mendelsohn i utrzymany w tonacji dźwięków minimalistycznych spod znaku Philipa Glassa: na scenie trzy śpiewaczki, które jednocześnie wcielają się w matkę, dwie żony, kochanki, i w końcu kobietę, która na decyzjach Paderewskiego odcisnęła wyjątkowe piętno – Helenę Modrzejewską.

Nieco inny wymiar miały natomiast cztery realizacje w Los Angeles. „Golden”, z muzyką cenionego w USA kompozytora Nathana Wanga, przywołuje

**W Stanach Zjednoczonych
od 28 listopada do 6 grudnia 2018 r.
zaprezentowano:**

- „Virtuoso”, Contemporary Arts Center, Nowy Orlean;
- „Golden”, Los Angeles Theater Center (LATC), Los Angeles;
- „Three Paderewskis”, TBD, Los Angeles;
- „13th Point”, Geffen Playhouse, Los Angeles;
- „Paderewski in America”, Geffen Playhouse, Los Angeles;
- „Paderewski! Paderewski! Paderewski!”, Tricklock Laboratory Theatre, Albuquerque (Nowy Meksyk);
- „Blacksmith”, Public Arts Theater, Nowy Jork

mało znany epizod, gdy popularny już pianista wyrusza w kolejne tournée po Stanach Zjednoczonych, jednak w trakcie jednego z koncertów doznaje reumatyzmu rąk i udaje się do swojej posiadłości w Kalifornii; zaczyna wątpić w sens dalszej aktywności na forum publicznym, ale bliscy mu ludzie namawiają go do czegoś przeciwnego.

Projekt „Three Paderewskis” z muzyką Jenni Brandon to nic innego, jak ukazanie postaci wielkiego Polaka w trzech wcieleniach: wirtuoza, męża stanu... i kobiety, która dialoguje z nim samym: młodym, a później dojrzałym. „Paderewski in America” to zaś opowieść o fikcyjnym spotkaniu kompozytora ze słynną czarnoskórą śpiewaczką Mama Lou. Spektakl w stylu wodewilu, łącząc motywy zarówno z utworów Lou, jak i Paderewskiego, akcentuje zagadnienie twórczości artystycznej jako jednego ze sposobów na pomaganie najsłabszym.

Z kolei ostatni z wystawionych w Los Angeles tytułów, „13th Point” Pana Kampsa, ma już odniesienie bardziej polityczne i przywołuje działania dyplo-



Fot. Paweł Gula (x3)

matyczne Paderewskiego wokół sprawy polskiej niepodległości, prowadzące do słynnego 13. punktu przemówienia Wilsona. W tym przedsięwzięciu z kategorii rock-opery główny motyw stanowi dialog człowieka sztuki z przywódcą narodu.

Spośród siedmiu jednoaktowych prezentacji być może największe zainteresowanie wzbudził „Blacksmith” z muzyką Zoe Sarnak, tekstem Jamesa Fluhra i w reżyserii Ellie Heyman, pokazany na nowojorskim Soho. To niezwykle inteligentna mieszanka skeczów z szybkimi replikami w postaci wokaliz oraz rock-opery, której główną siłą są wierne amerykańskiej tradycji songi z przekazem o wolności, potęgę indywidualnego doświadczenia i spełnianiu najbardziej szalonych marzeń. Twórcy odnaleźli w biografii Paderewskiego rys człowieka, w którym drzemały możliwości, o których nie wiedział nawet on sam: przysły wirtuoz był nieśmiały i ciągle niepewny siebie.

Główny motyw „Blacksmith”, który wyraźnie napędza jego rytm, to właśnie wątpliwości, którymi dzieli się z nami dojrzewający Paderewski, i odpowiedzi na nie jego wychowawców, członków rodziny, autorytetów i ludzi poznanych na drodze życia. Wszyscy oni chcą mu dodać otuchy, choć przecież przeciw-

ności losu w jego biografii było bez liku. W dużej mierze „Blacksmith” również o nich traktuje; wzruszające są chwile, gdy aktorzy przywołują na scenie wawelskiego smoka, o którym małemu Ignacemu opowiadała opiekująca się nim ciocia, wspomnienia o matce, która zmarła kilka miesięcy po jego narodzinach, czy pierwsze lekcje gry na fortepianie (zresztą określenie „blacksmith” – „kowal” – dotyczy okresu, kiedy w ten sposób londyński krytyk nazwał styl młodego pianisty kojarzący mu się z uderzeniem młota w kowadło). W końcu spektakl ten to także historia spotkań z Modrzejewską i kształtowania się ducha patriotycznego w Paderewskim.

Co decyduje o jego szczególnym znaczeniu? Pewnie ten znakomity pomysł, by z jednej strony mówić o nieśmiałym gigancie muzyki i polityki, a z drugiej – wybrać do tego konwencję amerykańskich hymnów, czegoś, co w tym przypadku określiłbym mianem power songów. Przygotowanie wokalne i swoboda w tak łatwym łączeniu scenicznych gatunków (kilkunastu muzyków i kilku aktorów) to rzecz praktycznie nieosiągalna w polskich warunkach. Wyobrażam sobie zresztą utwory z „Blacksmith” wydane na płycie jako znakomite wprowadzenie do potencjalnej premiery jednego z tych siedmiu projektów na scenach szeroko pojętego Broadwayu. Szansa na to wydaje się ogromna. W jednym z songów na cześć Paderewskiego pojawia się przecież fraza „Take us higher”. Otóż to.

„Paderewski Musical”

jest częścią koordynowanego przez Instytut Adama Mickiewicza międzynarodowego programu kulturalnego „Polska 100”, realizowanego w ramach Programu Wieloletniego „Niepodległa” na lata 2017–2022





Wojciech Stanisławski

Powaga Pawła Hertza

Obywatel świata, tłumacz „Obrazów Włoch” Pawła Muratowa wiedział zarazem, że literatury narodowe to obraz niepowtarzalnych doświadczeń zbiorowych wspólnoty, których nie warto lekceważyć

Dla wielu Paweł Hertz należy do klasyków: znane są jego niepospolity życiorys, wielkie dokonania dla polskiej literatury i edytorstwa, kilka anegdot potwierdzających jego kostyczny charakter. I tyle, kolejna postać z nie tak znów długiej ławki autorytetów, nazwijmy to, „konserwatywnych” znana, opisana i ucukrowana. Jedźmyż dalej!

Tak nie jest. To znaczy ucukrowana – może; dogłębnie znana – z pewnością nie; i myśl wydawcy, by przygotować serię jego pism wybranych, jest równie fortunna jak decyzja, by rozpocząć ją szkicami o literaturze polskiej i wspomnieniami biograficznymi: znanymi, klasycznymi, rozproszonymi w zaczytanych lub pogubionych zbiorach.

Tę prozę niełatwo opisać, jak niełatwo jest opisać przezroczystą szybę: tak wiele z intuicji i przekonań Pawła Hertza podzielane jest przez wszystkich, którzy w „wojnach kulturowych” naszego czasu opowiadają się za obroną tożsamości zbiorowych przeciw ojkofo-bom, że trudno czasem wypręparować i zdefiniować jego myśl, a już na pewno – w oderwaniu od frazy, którą się posługiwał. A jednak, ryzykując popadnięcie w postność podręcznika, spróbujemy wymienić to, co wspólne tym szkicom przy całej rozpiętości ich zakresu, wnikliwości odczytań, których Hertz dokonywał, sięgając przed 40–50 laty nie to, że po Wypiańskiego czy Słowackiego, lecz po poetów tak, wydawałoby się, niszowych i minionych, jak Lenartowicz.

Wspólne im jest przekonanie o posiadaniu przez wspólnoty narodowe

pewnego zbioru niepowtarzalnych doświadczeń, zbioru, od którego równie śmiesznie, jak daremnie byłoby się „wyzwalać”: można się jedynie starać go jak najuważniej odczytać. Twierdził to, przypomnijmy, jeden z najwybitniejszych polskich tłumaczy prozy w XX w., którego pracom zawdzięczamy przekłady Tolstoja, Turgieniewa, markiza de Custine’a i Martina Bubera, a który zarazem, ciekaw wszelkich tradycji i szlaków, wiedział, że jednakowy dystans do wszystkich jest ułudą. Paradoksalnie w świecie lat 60. i 70., gdy wszystko co „zachodnie” było tym bardziej upragnione i wyglądanie, im bardziej zakazane lub źle widziane, Hertz mógł się wydawać, że swoją zachętą do odczytania tego co swojskie, bardziej anachroniczny niż teraz, mógł wręcz wyglądać na cichego sojusznika komunistów spod znaku Moczara, spragnionych narodowej krzepy. Nic bardziej błędnego.

I drugi rys tych szkiców, równie pewnie bliski jednym, co obcy drugim: ostentacyjna powaga, nie tyle płynąca ze śledzienniczego usposobienia (przekonują nas o tym najlepiej lekkie iskiereki, odpowiednik „zmarszczek śmiechu”, ukryte nieraz w głębi hertzowego zdania), ile starannie wypracowana wbrew obowiązującym już wówczas szyderstwu i drwinie. Można niemal dostrzec, jak Hertz, debiutujący przecież na salonych jako zblazowany wunderkind, nie-mało wiedzący o błyskotliwości, stara

się nadać swojej frazie solenność i kadcencję. Można przypuszczać, że był to wybór niemal odruchowy, alergiczny: przeciw trzępotom, przeciw bon motom. Srożył się Hertz na „pięknosłowie”, na „cieplarnie literatury”, na mnogość mód, szydził okrutnie z odwrócenia hierarchii i konformizmu stalinowskich jeszcze czasów, zauważając mimochodem, że „o Dostojewskim coraz więcej się teraz pisze, nie tyle jeszcze, co o pani Beauvoir wczoraj, a o pani Triolet przedwczoraj, ale zawsze” – czego jednak, myślę, nie mógł znieść najgłębiej, to ironicznego cudzysłowu, w jaki brane są kwestie małe i wielkie w szyderczym small talku.



DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Paweł Hertz, „Pamięć i ład”
(wybrał i posłowiem opatrzył Marek Zagańczyk),
PIW, 2018

Jedno i drugie jego przywiązanie pisarza oddaje, myślę, ten cytat, którego uroda usprawiedliwia jego długość: „To zawsze tak się u nas dzieje – pisał Hertz – że kiedy wielki pisarz chce nam powiedzieć coś ważnego, gromadzi nas zawsze gdzieś pod jednym dachem: w Soplicowie, w bazylikańskiej celi, w salonie warszawskim, w domu bronowickim. Kiedy nie ma państwa, są to siedziby wspólne, mieszczące wspólny los. I dlatego

pod takim dachem muszą być wszyscy: panowie i chłopci, Niemcy i Żydzi, dorośli i dzieci, mężczyźni i kobiety. I muszą tu przychodzić widma, mary i upiory z przeszłości, aby ją przypominać, przestrzegać i wróżyć. [...] I żywi muszą tu ze sobą prowadzić rozmowy, [...] muszą mówić rzeczy zwyczajne, potoczne, pozornie niewinne i naiwne, o zbożu, drzewach, grzybach i sadach, ale my wiemy, co się tam kryje za tymi polami wieczor-

nymi, za mgłami włóczącymi się ściernikiem, za martwą taflą jezior”.

Tyle że Hertz, ze wszystkimi swoimi osobnościami, Hertz, dla którego figurą największego przywiązania do polskości była „czarna Rachel w czerwonym szalu”, z „Wesela” i z poematu Lechonia, był w takim widzeniu spraw bardzo samotny. Tym lepiej poczuć się, czytając go, wszyscy, którym niewygodnie między przekrzykującymi się plemionami Ojkofoobów i Tromtadratów. 

Smutek Amosa Oza (1939-2018)

Jedni najpierw zauważali jego twarz, której mógłby mu pozazdrościć Gombrowicz. Amos Oz nie stał bokiem do lustra, by zerkać w nie ukradkiem, i nigdy nie przyszlaby mu do głowy sprzedaż swojego wizerunku fabrykantom męskich kosmetyków, markowych trunków czy drogich zegarków, można jednak przypuszczać, że gdyby komuś udało się go do tego namówić, nie pożałowałby wyniku. Ta twarz, jak pisywano w dawnych romansach, „pobrużdżona i męska”, twarz żołnierza i poety (jedno i drugie było prawdą) zostaje w pamięci.

Drudzy zwracali uwagę na rolę – zasłużoną, ale niechcianą – najwybitniejszego, literackiego świadka pierwszego półwiecza Izraela. Życiorys pisarza był jakby syntezą i wzorcem tysięcy biografii: urodzony z rodziców, którzy przybyli do brytyjskiej jeszcze Palestyny w latach 30. (notabene oboje z ziem Rzeczypospolitej: rodzina ojca pochodziła spod Wilna, dziadek ze strony matki miał młyn pod Równem), sam był już „sabrą”, tutejszym, hebrajskojęzycznym. Jako 14-latek przeprowadził się z rodzinnego, inteligentnego „domu wypełnionego przypisami” do kibucu, gdzie zmienił rodowe nazwisko „Klausner” na „Oz” (co po hebrajsku znaczy „Odwaga”) i postanowił zostać traktorzystą. Był nim przez lata, z siodelka traktora przesiadając się do czołgu podczas wojny sześciodniowej i zmagając Jom Kippur; a jednak nocami nie mógł się uwolnić od pisania. Zaczynał od wierszy; czas przyniósł kilkanaście powieści.



Fot. East News/Alberto Cristofari A3

Komentatorzy spraw politycznych zwracali uwagę na jego bezradne dążenie do sprawiedliwości i kompromisu. Jako jeden z pierwszych zwrócił w izraelskiej debacie publicznej uwagę na krzywdy, których doświadczają Palestyńczycy, i wezwał do zapewnienia im równych praw; zarazem była dlań oczywista waga i potrzeba istnienia niepodległego Izraela. We własnym państwie był oskarżany o zdradę i „kapitulancstwo”; podróżując z książkami i wykładami po świecie, stawiał czoła rzeszom tych, którzy najchętniej starliby jego kraj z powierzchni ziemi. Z latami był coraz bardziej znużony próbami godzenia racji, które wydają się sprzeczne, wciąganiem go do kolejnych debat, postrzeganiem przez pryzmat sporów wielkiej polityki. „Kocham swój kraj, ale nie bardzo go lubię” – mówił jeszcze rok temu z okładem w wywiadzie dla „Guardiana”.

To wszystko jednak przestaje już być teraz ważne, budowaniem wzajemnego zrozumienia pomiędzy nienawidzącymi się zbiorowościami i wbrew nim zajmą się być może inni. Teraz zostają jego książki, wśród nich najważniejsza – „Opowieść o miłości i mroku”: epitafium dla rodziny, która przestała istnieć.

Matka Amosa, studentka filozofii, osierociła 12-letniego jednaka, popelniając samobójstwo po latach zmagania z depresją. Wyprowadzka do kibucu dwa lata później była dla Amosa nie tylko nastoletnim poszukiwaniem siebie, urzeczieniem mitologią „nowych obywateli”: była ucieczką w nadziei ocalenia. „Gdybym miał jednym słowem powiedzieć o swoich książkach, powiedziałbym, że traktują one o rodzinach. Gdybym mógł powiedzieć dwa słowa – powiedziałbym, że o nieszczęśliwych rodzinach” – mówił w jednym z wywiadów. Z innej rozmowy wiemy, że przez 20 lat, jakie upłynęły między śmiercią matki a śmiercią ojca, nie zamienił z tym ostatnim ani słowa na temat nieobecnej. To też był warunek przetrwania.

Do pisania „Opowieści o miłości i mroku” siadł Amos Oz pół wieku po śmierci matki. Współcześnie o depresji pisuje się dużo, kolejne jej ofiary i świadkowie wychodzą z cienia; znacznie mniej jest książek o miłości synowskiej. „Opowieść...” jest tym wszystkim: napisaną niemal szeptem, na palcach, wielką panoramą Izraela końca lat 40. – słonecznego oraz triumfującego – i dzieciństwa, nad którym rozciąga się upleciona z najcieńszych nici czarna chusta. 



Piękna opowieść o rodzicielstwie



Filmy o narkomanii i alkoholizmie powinny tworzyć oddzielny gatunek. „Narkomani”, „Wieczna północ”, „The Boost”, „Trainspotting” – to obrazy, które najmocniej mnie uderzyły i nie pozwoliły nigdy sięgnąć po twarde narkotyki. Co więcej można powiedzieć o otchłani uzależnienia i upodleniu człowieka zatopionego w łajnie zwanym heroiną? Co więcej można powiedzieć o szponach potwora o imieniu metamfetamina?

„Mój piękny syn” pokazuje nie tylko upodlenie narkomana, lecz i ból jego kochającej rodziny stojącej na polu bitwy z uzależnieniem. David Sheff jest wziętym dziennikarzem publikującym w takich pismach jak „The New York Times”, „Playboy” czy „Rolling Stone Magazine”. Jest człowiekiem sukcesu mieszkającym w kalifornijskim Iverness. Dał swojemu synowi Nicowi wszystko. Po rozwodzie to on zaopiekował się chłopakiem, który zamieszkał z jego nową rodziną. Nick jest kochanym „pięknym chłopcem” z piosenki Johna Lennona, z którym Sheff nieraz rozmawiał w „Playboyu”.



Kino

Nick miał wszystko, by osiągnąć sukces. Odziedziczył po ojcu pisarski talent. Przyjęły go wszystkie uczelnie, na które złożył papiery. On wybrał jednak ucieczkę w narkotyki. Czy dlatego, że młody i wrażliwy chłopak fascynował się od młodych lat pijackimi wierszami Charlesa Bukowskiego? To zbyt proste. Choć fajność ćpania i chlania pewnie pchnęła go w ramiona kokainy i uścisk metamfetaminy. Szybko wylądował ze strzykawką w żyłę na brudnej podłodze barowego kibla.

Film Felixa van Groeningena nie jest dydaktyczną czytanką. „Mój piękny syn” to demolujące emocjonalnie spojrzenie na ojcowską miłość i granicę walki o życie dziecka. To pozabawiona sentymentalizmu i taniego moralizatorstwa opowieść o nierównej walce rodziny z potworem porwującym jej członka. Kolejne odwyki, powroty do ćpania, przedawkowania i kłamstwa naznaczają życie rodziny. Żona Davida (Maura Tierney) jak lwica walczy o pasierba. Powrotu do zdrowia Nicka pragnie też uwielbiane przez niego przyrodnie rodzeństwo.

Steve Carell i Timothée Chalamet tworzą wielkie kreacje. Nie są zbudowane na stereotypowym konflikcie ojca z synem. Walka wiecznie zaćpanego Nicka z szukającym za wszelką cenę sposobu, by mu pomóc, ojcem jest rozegrana na bardzo subtelnych nutach. Reżyser unika epatowania scenami upodlenia narkotykowego. Woli pokazać coraz bardziej rozdarte serce ojca i ból kochającego go syna uwięzionego we własnej słabości. Ten film to emocjonalny rollercoaster rozciągnięty między dwóch facetów kochających się i nieumiejących tej miłości zamienić na szalupę ratunkową przed otchłanią.

Istotą tego pięknego filmu jest ukazanie miłości. Miłości rodzicielskiej, ale również miłości synowskiej, którą trzeba w sobie znaleźć. Bezgraniczna miłość „większa niż wszystkie słowa świata”, jak mówi małemu Nickowi tata, jest największym pięknem. To ona pokonuje każdego demona.

„MÓJ PIĘKNY SYN”

REŻ. FELIX VAN GROENINGEN, DYSTR. M2FILMS

VOD

Na luzaku przy kawie



To jeden z najbardziej zdumiewających programów satyrycznych, jakie widziałem w życiu. Twórca legendarnych „Kronik Seinfelda” Jerry Seinfeld wpadł na genialny w swojej prostocie pomysł. Bierze stare, zabytkowe auta (od kuriozalnych fiatów po klasyczne porsche), zaprasza do nich znane osobistości i jedzie z nimi na kawę. W „Comedians in Cars Getting Coffee” Seinfeld na pełnym luzie rozmawia z komikami, ale też politykami (Barack Obama) na

najróżniejsze tematy. To właśnie niewymuszony luz i pozorna banalność pogawędek powodują, że show wybija się ponad wszystkie inne wyreżyserowane talk-shows. 15–20-minutowe odcinki pojawiły się pierwszy raz w sieci w 2012 r. Wielki sukces (100 mln ściągnięć) spowodował, że show trafił na Netflix, gdzie możemy oglądać najlepsze odcinki z dziesięciu serii. Trudno się oderwać od ekranu.

„COMEDIANS IN CARS GETTING COFFEE”

DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Arcydzieło
animacji

Nie było od czasu pierwszego „Sin City” Roberta Rodrigueza filmu, który by w tak dosłowny sposób ekranizował komiks. Wyciągał jego esencję i istotę. Kto by się spodziewał, że Sony, które musiało dopiero „wypożyczyć” postać Spider-Mana Marvelowi, by udało się go dobrze zekranizować („Spider-Man. Homecoming”), zrobi tak oszalamiający film. Nie jestem znawcą uniwersum Spider-Mana. Jednak mój nastoletni chrześniak, który od najmłodszych lat zatopiony jest w mitologię Petera Parkera, co chwila entuzjastycznie reagował na smaczki ukryte w każdej scenie. Szkoda, że nie czułem tego samego co on. Nie przeszkodziło mi to oglądać każdy kolejny kadr z prawdziwym zdumieniem.

Myślicie, że kino w epoce Avengersów może pokazać już wszystko? Macie rację. Jednocześnie to samo kino z dopracowanymi do ostatniego szczegółu efektami specjalnymi nie umie oddać całej magii komiksów. Oddał ją Rodriguez i Frank Miller w wizualnie powalającym „Sin City”. Oddali ją twórcy filmu „Spider-Man. Uniwersum”. Dlaczego oni? Może dlatego, że zrobili swoje dzieła z prawdziwej miłości do komiksowego pierwowzoru. Scenariusz nowego „Spider-Mana” pisał Phil Lord, który pokazał, czym jest dla niego popkultura w genialnym „Lego przygoda”.

Lord wraz z tercetem reżyserów: Bobem Persichetti, Peterem Ramseyem, Rodneyem Rothmanem, dokonali rzeczy niesamowitej. Połączyli wszystko, co najlepsze z filmów Marvela, z nowatorską animacją, za którą powinni dostać Oscara. Scenariusz ich animacji jest zabawny, pełen akcji i błyskotliwie wykorzystuje elementy całej niemal 60-letniej tradycji przygód człowieka-pajaka. Na ekranie obok siebie



Kino

śmigają Spider-Man z blond włosami, Peter Parker, przybyły z lat 30. Spider-Man w klimacie noir walczący z nazistami (kapitałny Nicolas Cage), Spider-Woman, pająk-robot z Mangi i w końcu Spider-Man świnka. Głównym bohaterem jest zaś Miles Morales, afroamerykański nastolatek przejmujący stery po zabitym (?) Spider-Manie.

Twórcy dzielą ekran, dodają komiksowe dymki i ramki znane ze stron zeszytów o Spider-Manie. Mieszają z sobą wygląd bohaterów wyjętych z różnych stylistycznie komiksów. Czarny charakter Kingpin mówiący głosem samego Raya Donovana, czyli Lieva Schreibera, kładzie na łopatki właśnie wyglądem. Nie ma w tym wizualnym szaleństwie krztysztuczności ani efekciarstwa. Postacie są świetnie napisane, mamy odpowiednią dawkę wzruszających momentów (relacja ojciec-syn) i ironicznych dialogów znanych fanom ekranizacji Marvela.

No i to miasto! Kocham Nowy Jork, więc pochłaniałem pięknie pokazane Brooklyn, Queens i Manhattan. Przepięknie skrojona metropolia tętni życiem w rytm tłustego rapu, gdzie pojawia się też legenda NYC Notorius B.I.G. A wszystko dedykowane jest zmarłemu w tym roku Stanowi Lee, który na moment pojawia się na ekranie. Oczywiście zostanie na scenie po napisach. Zabawnej niczym ponapisowy żart Deadpoola.

„SPIDER-MAN. UNIWERSUM”, REŻ. BOB PERSICHETTI, PETER RAMSEY, RODNEY ROTHMAN, DYSTR. UIP

Koniec zabawy



Kino

Bardzo lubię idealnie słodko-gorzkie „Moje córki krowy” (2015) Kingi Dębskiej, które dowiodły, że można w Polsce kręcić komediodramaty na poziomie „Czułych słówek”. Teraz Dębska odcina kupony od sukcesu, kręcąc kolejne mutacje swojego najlepszego filmu. „Zabawa, zabawa” jest taką mutacją. Niczym więcej. Opowieść o trzech kobietach mających problemy z alkoholem pokazuje, że niezależnie od statusu materialnego alkoholizm masykuje każdego człowieka. Czy to odkrywa teza? Nie, choć historii prokurator

(Agata Kulesza), ordynator chirurgii (Dorota Kolak) i japiszonki z korpo (Maria Dębska) mają w sobie spory potencjał i ciekawie ujmują tematykę alkoholizmu przedstawicieli elit. Świetna rola Marii Dębskiej (chyba niezamierzony, ale poruszający wątek pro-life), mocny epizod Marcina Dorocińskiego i kuriozalny, niepasujący do klimatu filmu wątek ze Sławomirem jako policjantem – to charakteryzuje nierówne dzieło Dębskiej. Film znajdzie jednak swoich fanów.

„ZABAWA, ZABAWA”**REŻ. KINGA DĘBSKA, DYSTR. KINO ŚWIAT**

Pokażemy wszystkie odcienie historii

SPIELZEUGE
ZABAWKI

BLUMEN
KWIATY

„Nie ma innego kraju, w którym tak skrupulatnie dba się o materialne dziedzictwo Holokaustu” – napisał w artykule zamieszczonym przez dziennik „Haaretz” ambasador RP w Izraelu Marek Magierowski. To reakcja dyplomaty na gorącą dyskusję wokół powstającego Muzeum Warszawskiego Getta. Za zgodą autora publikujemy ten tekst w całości



MAREK MAGIEROWSKI

Dzięki niezwykle gościnności i intelektualnej otwartości tej gazety dwóch wybitnych izraelskich historyków, prof. Havi Dreifuss (The Israeli Historian Under the Polish Government's Thumb) i prof. Daniel

Blatman (Yad Vashem Teaches the Holocaust Like Totalitarian Countries Teach History), żywo dyskutowało nad decyzją o przyjęciu propozycji rządu polskiego, by zostać głównym historykiem Muzeum Getta Warszawskiego.

Krótko mówiąc – prof. Dreifuss nie jest szczególnie entuzjastycznie nastawiona do tej nominacji. Twierdzi, że prof. Blatman jest wykorzystywany jako listek figowy przez polskie władze, które „próbują zniekształcić historię Holokaustu”.

Nie powinno to być dla was, drodzy czytelnicy, niespodzianką, po której

stronie w tej gorącej debacie stoi polski ambasador.

Po pierwsze, pozwolę sobie zwrócić uwagę na nagły paradoks: gdybyśmy nie zdecydowali się na utworzenie Muzeum Getta Warszawskiego, taka sytuacja nigdy by nie miała miejsca. W „Haaretz” nie byłoby artykułów, nie byłoby zacieklej kontrowersji. Ale polski rząd zdecydował się uhonorować Żydów, którzy starali się zachować swoją godność w tym prozaicznym piekle. I zaprosił izraelskich uczonych, by wnieśli swój wkład w tę wiedzę. Kolejny świadomy gest państwa, w którym



Muzeum Warszawskiego Getta ma zostać otwarte w 2023 r., jednak prof. Havi Dreifuss już nie ma żadnych wątpliwości co do tego, jak będzie wyglądało

z uprzedzeniami politycznymi, a nie oceną naukowego znaczenia muzeum.

Prof. Dreifuss ma oczywiście pełne prawo do wyrażania swoich poglądów na temat polityki obecnego rządu polskiego. Jednak niektóre z zaskakujących uwag, które zawarła w swoim ostatnim artykule, wymagają natychmiastowej odpowiedzi.

Zdaniem pani Dreifuss pan Blatman „zatwierdza historyczne zniekształcenia”, zwracając się do Żydów z warszawskiego getta jako do „polskich obywateli”. Co prawda jest to kwestia sporna, do jakiego stopnia czuli się oni niechciani w Polsce, byli nękani, a nawet prześladowani przez sąsiadów, ale bez wątplenia posiadali oni polskie obywatelstwo. Wielu z nich służyło w polskiej armii, broniąc ICH kraju przed agresją niemiecką i sowiecką.

W czcigodnym Domu Bojowników Getta (Ghetto Fighter's House) w północnym Izraelu życie polskich Żydów w przedwojennej Warszawie jest przedstawione w następujący sposób: „Wielu Żydów w Warszawie uważało Polskę za swoją ojczyznę i kolebkę ich kultury. Język polski był ich językiem ojczystym, a oni sami aktywnie angażowali się w kulturę i politykę tego kraju”. Czy to też kwalifikuje się jako „historyczne zniekształcenie”?

Wreszcie na stronie internetowej Yad Vashem, w krótkim opisie masakry w Katyniu, nie ma wzmianki o ok. 400 żołnierzach pochodzenia żydowskiego zamordowanych przez Sowietów w 1940 r., w tym o Baruchu Steinbergu, naczelnym rabinie Wojska Polskiego. W tym przypadku Yad Vashem nie dokonuje rozróżnienia na oficerów „polskich” i „żydowskich”. Wszyscy oni są określani jako „polscy”.

Następnie prof. Dreifuss argumentuje, że polski rząd jest „szczęśliwy, że może zadbać o martwych Żydów”

(a nie, jak należy rozumieć, „żyjących”). Nic bardziej mylnego. Jako ambasador Polski na co dzień zajmuję się żyjącymi Żydami. Często dosłownie. Cieszymy się, że mamy w Izraelu dużą, bujną społeczność polskich Żydów. Niektórzy z nich są po osiemdziesiątce i dziewięćdziesiątce, mówią znakomicie po polsku i są głęboko osadzeni w kulturze polskiej oraz żydowskiej. „Czuję się jednocześnie Żydem i Polakiem” – mówi większość z nich. Być może nie mają różowych wspomnień ze swojej młodości; ich rodzice mają żal do swoich polskich rodaków i do komunistycznego reżimu, który wypędził ich z Polski. Inni wręcz przeciwnie, są wiecznie wdzięczni za to, że zostali ocaleni od Zagłady przez Polaków.

Czy polskie władze chcą zapomnieć lub manipulować przeszłością, jak sugeruje prof. Dreifuss?

Proszę o poprawienie mnie, jeśli się mylę, ale nie mogę przypomnieć sobie żadnego europejskiego kraju, w którym głowa państwa regularnie przewodniczyłaby ceremoniom upamiętniającym mroczne rozdziały historii relacji ze społecznością żydowską. Nie pamiętam żadnego innego kraju, w którym tak skrupulatnie dba się o materialne dziedzictwo Holokaustu. Nie mogę także przywołać żadnego innego narodu, który jest napominany za wychwalanie swoich Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Mam nadzieję, że obawy prof. Dreifuss dotyczące przyszłej roli Muzeum Getta Warszawskiego zostaną rozwiązane raczej wcześniej niż później. Jestem przekonany, że nowa instytucja w wyważony i profesjonalny sposób zawrze wszystkie odcienie naszej wspólnej historii.

*Autor jest ambasadorem RP w Izraelu
Tłumaczenie z angielskiego: K.J.*

Żydzi żyli przez setki lat i którego kultura przeniknęła Polskę. Co dziwne, wszystko to doprowadziło do tego, że prof. Dreifuss stwierdziła, iż cała inicjatywa jest podejrzana i w gruncie rzeczy powinna być odrzucona przez izraelskich badaczy. Muzeum ma zostać otwarte w 2023 r., jednak prof. Dreifuss już nie ma żadnych wątpliwości co do tego, jak będzie wyglądało.

Co ciekawe, polskie władze zwróciły się do samej prof. Dreifuss, ale ona odmówiła współpracy. Tak więc jej krytyka decyzji pana Blatmana wydaje się związana, przynajmniej częściowo,

Kadr z filmu „Kler” Wojciecha Smarzowskiego

Kościół na ławie oskarżonych

Fot. Bartosz Mozowski

„Kler” Wojciecha Smarzowskiego to nic nowego. Sytuuje się w długim nurcie antykatolickich kampanii propagandowych



GRZEGORZ GÓRNY

Kampanie zniesławiające i szkalujące Kościół towarzyszą mu od początku jego istnienia. Zazwyczaj były one przygotowaniem do kolejnych działań uderzających w tę instytucję: ograniczenia jej wpływów, pozbawienia swobody kultu, konfiskat mienia, a nawet krwawych prześladowań. Mechanizm jest zawsze ten sam: najpierw zołżyć Kościół w oczach społeczeństwa, by następnie zyskać akceptację dla rozprawy z nim.

BEZBOŻNICY I LUDOŻERCY

Zaczął się już w czasach apostołskich. Kiedy w roku 64 wybuchł pożar Rzymu, cesarz Neron postanowił obciążyć winą za to chrześcijan. Imperator nosił się bowiem z zamiarem wyburzenia zatlo-

czonego centrum miasta, by dokonać jego gruntownej przebudowy. Ogień strawił akurat te dzielnice stolicy, które władca chciał ukształtować na nowo. Na wieść o żywiole trawiącym kolejne kwartały metropolii cesarz miał podobno zaśpiewać ułożony przez siebie hymn o zniszczeniu Troi, a – jak wiadomo – to właśnie wydarzenie, według ówczesnych wyobrażeń, legło u podstaw założenia Rzymu.

Nic dziwnego, że na Nerona padło podejrzenie, iż to on stał za pożarem Rzymu. W tej sytuacji postanowił odsunąć od siebie oskarżenia i znaleźć kozła ofiarnego, na którym skupiłby się gniew ludu. Jego wybór padł na wyznawców Chrystusa. Zanim doszło do rozprawy z chrześcijanami, rozpętano przeciw nim kampanię, oskarżając ich nie tylko o podpalenie miasta, lecz również o inne niegodziwości. Ponieważ nie chcieli oddawać hołdu bóstwom rzymskim, zarzucano im bezbożność, a w związku z tym niemoralność. Opowiadano mroźne krew w żyłach historie, jakoby mieli się spotykać po kryjomu i jeść surowe mięso ludzkie oraz pić ludzką krew. Twierdzono, że spodziewają się rychłego końca świata związanego z wielkim kata-

klizmem, a więc celowo wywołali pożar, aby przyspieszyć te wydarzenia.

Propaganda odniosła skutek. Stołeczny plebs poparł krwawe prześladowania chrześcijan. Jak pisał Tacyt: „Ich śmierć była przedmiotem zabawy. Ubranych w skóry dzikich zwierząt rzucono ich psom, aby te rozszarpały ich ciała, krzyżowano ich lub robiono z nich żywe pochodnie, które zapalano po zmroku w zastępstwie światła dziennego”. Sam Neron, jako reżyser tego jedynego w swoim rodzaju spektaklu, przejeżdżał między nimi na rydwanie, recytując własne poezje.

HERETYCY I ZBOCZENCI

Wydawać by się mogło, że wraz ze zmierzchem pogaństwa i nastaniem epoki chrześcijańskiej podobne historie odejdą w przeszłość. Nic bardziej mylnego. Dochodziło do nich nawet w średniowiecznej Europie. Na tym tle wyróżniał się szczególnie król Francji Filip IV Piękny, panujący w latach 1285–1314. Był on pierwszym władcą na naszym kontynencie, który na tak wielką skalę potrafił wykorzystywać środki masowej propagandy.

Przeprowadził kolejno cztery wielkie kampanie zniesławiające swych przeciwników: papieża Bonifacego VIII, Żydów, bankierów lombardzkich i zakon templariuszy. Za każdym razem chodziło o to samo: o pieniądze. Monarcha poszukiwał bowiem środków na prowadzenie wojen i zawsze znajdował je w cudzej kieszeni.

Kampania antysemita zakończyła się w 1306 r. wygnaniem z Francji 100 tys. Żydów i zagarnięciem ich majątków przez króla. Trzy lata później podobny los spotkał włoskich bankierów. Najokrutniej monarcha obszedł się jednak z templariuszami, którzy od wielu lat w całej Europie zbierali środki na zorganizowanie nowej wyprawy krzyżowej do Ziemi Świętej. Świadomość zagrożenia islamskiego była powszechna, więc wierni nie szczędzili grosza. Pieniądze i kosztowności gromadzone były w centralnym skarbcu zakonu w Paryżu. Na nich właśnie położył swą rękę Filip Piękny. Zanim jednak dokonał tej grabieży, przeprowadził wielką kampanię oczerniającą templariuszy. Oskarżono ich o herezję, wypieranie się Chrystusa, znieważanie krzyża, czczenie bożka z ludzką głową, profanację mszy i akty homoseksualne. W rezultacie zakon rozwiązano, a jego przywódcy spaleni na stosie.

Warto pamiętać, że ofiarą pierwszej akcji propagandowej Filipa IV padł papież Bonifacy VIII. Król postanowił bowiem obłóżyć Kościół nowymi podatkami oraz ograniczyć jego niezależność, co spotkało się ze sprzeciwem Rzymu. W odpowiedzi zaczęto rozpowszechniać w całej Francji ulotne pisma polityczne oczerniające papieża i jawnie szydzące z niego. Publicznie nazywano go „fałszywym prorokiem”, „mistrzem kłamstwa” i „jawnym heretykiem”. Oskarżono go o biseksualizm, pedofilię, bluźnierstwa, kontakty z diabłem, zamordowanie swego poprzednika Celestyna V i inne niegodziwości. Było to wstępem do kolejnych działań, czyli napadu na Bonifacego VIII i uwięzienia go. Co prawda odzyskał on wolność, ale wywieziony fizycznie i psychicznie zmarł wkrótce potem. Ci sami urzędnicy królewscy, którzy zdobywali szlify w propagandowej akcji antypapieskiej, później doprowadzili do

perfekcji mechanizm kłamstwa w kampanii antysemita i operacji przeciw templariuszom.

ROZPUSTNICY I BLUŹNIERCY

Nowa epoka zaczęła się wraz z maszyną drukarską Gutenberga. Pierwszym, który potrafił wpruć ten wynalazek do masowej propagandy, był Marcin Luter. W 1518 r. w Augsburgu stoczył on pojedynek intelektualny na argumenty teologiczne z kardynałem Tomaszem Kajetanem. Publiczna debata w pałacu Fuggerów zakończyła się zdecydowanym zwycięstwem tego ostatniego. A jednak do opinii publicznej dotarła zupełnie inna wiadomość – o miażdżącym triumfie Lutra. Ważniejsza od prawdy okazała się szybkość reakcji.

Papiestwo funkcjonowało jeszcze w średniowiecznym rytmie, mierzonym raczej latami niż miesiącami. Dla protestantów liczył się natomiast każdy dzień. Zanim zadowolony z odniesionego sukcesu Kajetan powrócił z Augsburga do Rzymu, całe Niemcy wiedziały już o jego porażce.

Luter uruchomił bowiem olbrzymią maszynę propagandową, w którą z czasem zaangażowali się prawdziwi mistrzowie, na czele ze słynnym malarzem Łukaszem Cranachem. W gigantycznych, jak na owe czasy, nakładach drukowano ulotki, broszury, plakaty, karykatury, a nawet komiksy. To one wygrały bitwę o świadomość Niemców. Współczesny historyk Richard Friedenthal pisze: „Rysunek nabrał takiej skuteczności jak niegdyś traktat; dialog przejęty od humanistów brzmiał teraz ludową tonacją i druzgotał wymianą słów i powiedzeń. Triumfalny pochód trwający do dzisiaj rozpoczęły hasła i slogany”. Inny biograf Lutra, Lyndal Roper, dodaje: „Nikt wcześniej nie umiał używać druku w tak niszczący sposób”.

Kampania antykatolicka opierała się na ośmieszaniu, wyszydzaniu i oczernianiu Kościoła. Przedstawiano duchownych katolickich jako rozpustników i bluźnierców. Przewodził w tym sam Doktor Marcin, nazywając niestannie Rzym Babilonem, a papieża Antychrystem i pisząc, że „wszystkie domy publiczne, wszystkie morder-

stwa, wszystkie kradzieże i cudzołóstwa razem wzięte nie są tak szkodliwe jak ohyda papistowskiej mszy”.

Antypapieska kampania przyniosła jej organizatorom wymierne skutki polityczne i finansowe. Władcy niemieccy, skandynawscy czy angielscy, którzy przyłączali się do reformacji, nagle stawali się bogaci, ponieważ konfiskowali cały majątek kościelny w swych państwach. Uzyskiwali też niezależność od jakiegokolwiek zwierzchności duchowej, ponieważ sami stawali się głowami miejscowych kościołów protestanckich. Mieli władzę i pieniądze, o jakich ich poprzednicy mogli tylko pomarzyć.

SPISKOWCY I PROWOKATORZY

Komentując propagandowe sukcesy reformacji w XVI w., włoska historyczka Angela Pellicciari pisze: „Rewolucjoniści wszystkich czasów mają wspólny język: język prosty, jasny, popularny, dosadny. Język, który odpowiada wymaganiom propagandy, łatwy do powtarzania, dokonujący przełomu i narzucający się mocą obrazów. Język, który trafia bardziej do serca niż do intelektu i bardziej do bebeczków niż do serca. Język, który odwołując się do emocji, rodzi oburzenie i pogardę, rozpętuje nienawiść. Luter, wielki rewolucjonista epoki nowożytnej, nie był wyjątkiem”.

Ten sam mechanizm wykorzystali później filozofowie oświecenia i rewolucjoniści francuscy w swej rozprawie z katolicyzmem. Nieprzypadkowo ich okrzykiem bojowym do walki z Kościołem stało się zawołanie Woltera: „Zgniećmy Ohydę!”. Wtedy też po raz pierwszy na masową skalę pojawiła się globalna teoria spiskowa. Opierała się ona na „Poufnych radach jezuitów” – anonimowym fałszyfikacie z 1613 r. Jego autorem okazał się wyrzucony w niejasnych okolicznościach z tego zakonu Hieronim Zahorowski. Postanowił się zemścić na swych dawnych współbraciach i opublikował fałszywkę, którą przedstawił jako rzekomą instrukcję do użytku wewnętrzznego zakonników.

„Poufne rady jezuitów”, które przedstawiały rzekomy plan zawładnięcia światem przez zakon, zrobiły błyskawiczną karierę w całej Europie. Jak

pisał Janusz Tazbir: „Już w XVII wieku kolejne ich wersje doczekały się pół setki wydań zarówno w oryginale, jak i w tłumaczeniach na języki narodowe. W następnych wiekach liczba edycji wzrosła do trzystu. Był to więc chyba najczęściej wydawany za granicą utwór polskiego autora, przewyższający swą popularnością większość innych fałszywych instrukcji tego typu”.

Kolejne wydania fałszyfikatu podlegały różnym zmianom. Dodawano do nich rozdziały mówiące o tym, że jezuici dążą do panowania nad światem, np. przez skłócanie europejskich władców czy wzniecanie waśni i wojen między narodami. Szczególnie dużą popularnością teorie takie cieszyły się w krajach protestanckich. Na „Poufnych radach jezuitów” wzorowały się później „Protokoły mędrców Syjonu”.

PEDOFIL I DEKADENCI

Te same techniki medialne, tylko bardziej udoskonalone, stosowano w XX stuleciu w ustrojach totalitarnych. Zarówno bolszewicy, jak i narodowi socjaliści prowadzili kampanie antychrześcijańskie i antyklerykalne, oskarżając duchownych o najróżniejsze niegodziwości, w tym perwersje obyczajowe i zepsucie moralne. Stawką w owym starciu było nie tylko zagarnięcie majątku, lecz coś więcej: rząd dusz. Oba systemy – czerwony i brunatny – uzurpowały sobie prawo do narzucania jedynych słusznych poglądów i wiązania ludzkich sumień. Kościół był więc dla nich konkurencją.

Kiedy w marcu 1937 r. Pius XI ogłosił encyklikę „Mit brennender Sorge” potępiającą narodowy socjalizm, w odpowiedzi hitlerowcy rozpętali nagonkę przeciw Kościołowi. Dwa miesiące później minister propagandy Niemiec Josef Goebbels wygłosił przemówienie, w którym powiedział: „Są przypadki molestowania seksualnego, które wychodzą na światło dzienne każdego dnia w przypadku znacznej ilości kleru katolickiego. Niestety nie jest to kwestia przypadków indywidualnych, ale zbiorowy kryzys moralny, jakiego być może historia kultury ludzkiej nie знаła

nigdy w tak przerażającym i wprawiającym w moralną konfuzję wymiarze. Liczni księża i świeccy przyznali się do winy. Nie ma wątpliwości, że tysiące przypadków, które zwróciły uwagę wymiaru sprawiedliwości, stanowią jedynie niewielką część całej prawdy, jeśli uwzględni się, że wielu molestujących było objętych ochroną i ukrywanych przez hierarchię”.

Dwa dni później, przemawiając do 25-tysięcznej publiczności zgromadzonej w Hali Niemiec w Berlinie, mówił: „Przerażający i ohydny fenomen moralnej dekadencji, dla którego nie można znaleźć odpowiednika w całej historii ludzkości [...]. Przestępcze zboczenia katolickiego kleru zagrażają fizycznemu i moralnemu zdrowiu naszych młodych ludzi. Oświadczam przed na-

Zarówno bolszewicy, jak i narodowi socjaliści prowadzili kampanie antychrześcijańskie i antyklerykalne, oskarżając duchownych o najróżniejsze niegodziwości, w tym perwersje obyczajowe i zepsucie moralne

rodem niemieckim, że ta plaga będzie radykalnie wypłeniona i, jeśli Kościół jest zbyt słaby, zrobi to państwo”. Mowa Goebbelsa wielokrotnie przerywana była okrzykami: „Powiesić ich! Zniszczyć ich!”.

Później się okazało, że przypadki molestowania seksualnego miały charakter jednostkowy, a nie systemowy. Pojedyncze incydenty wyolbrzymiono jednak do rozmiarów problemu społecznego, uruchamiając mechanizm paniki moralnej.

POLITYKIERZY I NIENAWISTNICY

Także w krajach komunistycznych kampanie antyklerykalne zorkiestro-

wane były z innymi operacjami wymierzonymi w Kościół. Żyje jeszcze wiele osób, które doskonale to pamiętają. Na przykład 19 września 1984 r. Jerzy Urban (pod pseudonimem Jan Rem) opublikował w tygodniku „Tu i Teraz” tekst „Seanse nienawiści”. Ówczesny rzecznik prasowy rządu PRL pisał: „W inteligenckiej części warszawskiego Żoliborza stoi kościół księdza Jerzego Popiełuszki – obok św. Brygidy w Gdańsku najbardziej renomowany klub polityczny w Polsce. [...] Co tam więc robi natchniony polityczny fanatyk, Savanorola antykomunizmu? [...] Uczucie nienawiści politycznej do komunistów, do władzy, do wszystkiego, co jest powojenną Polską, przynoszone na tę salę przez bywalców, a pod dyktando księdza Popiełuszki, przestaje być wewnętrznym robakiem drążącym człowieka. [...] Ks. Jerzy Popiełuszko jest więc organizatorem sesji politycznej wściekłości. [...] Cóż z tego, że ks. Popiełuszko mierzi, skoro w dzisiejszej wykształconej Polsce polityczni magicy są wciąż skuteczni. [...] Bardzo to smutne, ale prawdziwe, póki ma swoją klientelę ks. Popiełuszko i wzięciem cieszą się jego czarne msze, a do których Michnik służy i ognem dzwoni”.

Miesiąc po publikacji tego tekstu ks. Jerzy został uprowadzony i bestialsko zamordowany przez funkcjonariuszy komunistycznej bezpieki. Dziś znów staje się on celem ataków – co prawda nie wprost, ale przez czytelną aluzję i plastyczną sugestię: oto w filmie „Kler” Wojciecha Smarzowskiego przedstawiona zostaje msza za ojczyznę, wzorowana na obrazach z żoliborskiego kościoła i celebrowana przez kapelana „Solidarności”, który okazuje się pedofilem. Powtarza się też ten sam mechanizm wywoływania paniki moralnej: wyolbrzymiania zjawiska nadużyć seksualnych do rozmiarów wielkiego problemu społecznego. Wizerunek pojedynczych złych księży rozciągnięty zostaje na cały stan duchowny. Podobny jest również sposób perswazji: jasny, dosadny, narzucający się mocą obrazów, odwołujący się do emocji, trafiający do bebechów. Historia lubi się powtarzać.

SIECI w prenumeracie!

Taniej

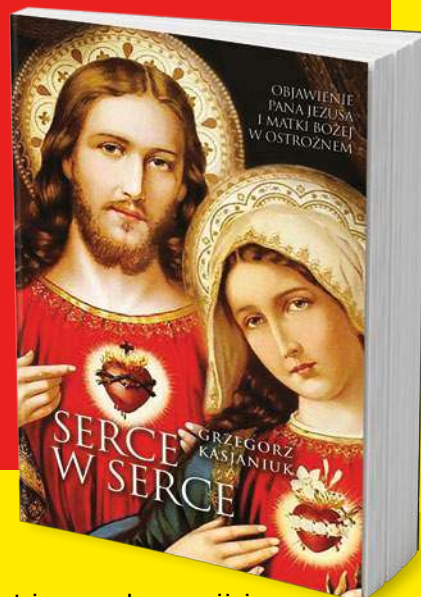
– oszczędzasz nawet 173,90 zł!

Pewniej

– dostawa prosto do domu

Z prezentami

Książka „Serce w serce”,
zakładka do książki
i kalendarz



Prenumerata roczna pakietu Sieci i wSieci Historii: 280 zł

Zamów prenumeratę na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata lub opłać na pocztę, korzystając z przekazu poniżej, lub zrób przelew elektroniczny na konto **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując **prenumerata pakiet** i pełne dane adresowe do wysyłki.

Prenumerata: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Informacje: 22 616 15 70, prenumerata@fratria.pl

nazwa odbiorcy	
Fratria Sp. z o.o. ul. Legionów 126-128 81-472 Gdynia	
91124053541111001077136290	
kwota	
280 zł	
słownie	
dwieście osiemdziesiąt	
zleceniodawca	
tytułem	
prenumerata pakiet	
opłata	
podpis	

nazwa odbiorcy	
Fratria Sp. z o.o.	
nazwa odbiorcy cd.	
ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia	
nr rachunku odbiorcy	
9 1 1 2 4 0 5 3 5 4 1 1 1 0 0 1 0 7 7 1 3 6 2 9 0	
W P PLN 2 8 0	
nr rachunku zleceniodawcy(przelew) / kwota słownie (wpłata)	
nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy cd.	
tytułem	
P R E N U M E R A T A P A K I E T	
tytułem cd.	
06	
Oplata;	
pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy	

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa



Sztafeta z wilkami

3 marca 2019 r. odbędzie się największy bieg pamięci w Polsce. W jego VII edycji wystartuje 70 tys. osób w ponad 360 miejscach w Polsce i za granicą



MARCIN WIKŁO

Dzisiaj trudno w to uwierzyć, ale pierwsza edycja biegu okazała się... całkowitą kląpą. Nie dopisała pogoda, a na starcie zameldowało się niespełna 20 osób. Wtedy zapadła decyzja, że nie można się poddać, że ideę uczczenia Żołnierzy Wyklętych w dniu ich święta należy kontynuować. Z roku na rok impreza jest coraz większa, dołączają kolejne miasta, kraje, kontynenty.

– Patrzymy z uznaniem, jak ten bieg się rozwija. To miał być po prostu ciekawy sposób na oddanie hołdu żołnierzom antykomunistycznego podziemia, a tymczasem urosło wydarzenie, które uczy i angażuje całe rodziny – mówi pomysłodawca imprezy Michał Dworczyk, były prezes Fundacji Wolność i Demokracja, obecnie poseł i szef kancelarii premiera.

Rzeczywiście co roku mamy coraz to nowe oblicze biegu. Kolejne miasta prześcigają się w pomysłach na najciekawiej zorganizowane miasteczko biegowe, na terenowe gry rodzinne i oprawę artystyczną. W Warszawie dla biegaczy, ich rodzin i kibiców zaśpiewa



Fot. Zuzanna Krushevska x2

zespół Tulia. W tym roku organizatorzy szczególnie nacisk kładą na mądre rozwijanie postaw patriotycznych. – Poza misją edukacyjną, poza upamiętnianiem i uhonorowaniem naszych bohaterów od najbliższej edycji będziemy z misją sztafety rozpoczętej przez Niezłomnych. Sztafety, którą jest świadoma, patriotyczna postawa wykorzystująca własne talenty, realizująca pasję,

wspierająca słabszych, czyli budująca Polskę i obywatelskie postawy – mówi Barbara Konarska, rzecznik prasowy biegu.

Jak ma wyglądać kontynuacja postawy Żołnierzy Wyklętych? Można oczywiście pobiec, by zmanifestować swój patriotyzm, by dać sygnał, że ich walka jest przez nas doceniana. Ale może się zdarzyć, że komuś nie uda się

zapisać na bieg, bo każdy z lokalnych organizatorów ma określoną liczbę pakietów startowych. Co wtedy? – Proponujemy inne aktywności, z których popłynie wymierna korzyść – zapowiada Barbara Konarska. – Tam, gdzie będzie to możliwe, miasteczka biegowe będą odwiedzane przez pracowników regionalnych stacji krwiodawstwa, każdy będzie mógł oddać krew. Prowadzone będą także akcje charytatywne, a ich beneficjentami będą potrzebujący, których lokalnie wyłonią ambasadorzy biegu.

Kto kiedykolwiek zetknął się z biegiem Tropem Wilczym, wie, że duży nacisk kładziony jest na oprawę graficzną i projekty koszulek z wizerunkami bohaterów. Tymi najbardziej znanymi, jak mjr Łupaszka czy Inka, ale także innymi, których powinniśmy poznać. I to się dzieje. Niejednokrotnie widziałem, jak ktoś dostawał pakiet startowy z bohaterem, którego nie znał. To powodowało początkową konsternację, ale

ostatecznie zadowolenie, bo na własną rękę można było się czegoś o tym człowieku dowiedzieć.

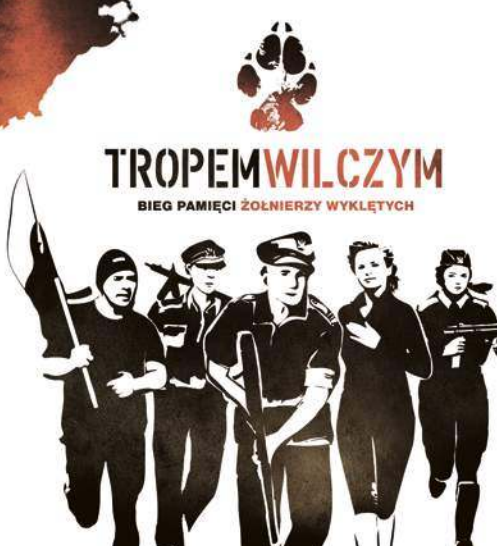
– Tegorocznymi bohaterami Tropem Wilczym to ci Niezlomni, którzy przeżyli czasy ubeckiej represji i pokazali, że niezłomnym można być nie tylko w sytuacjach wojny i walki. Jeden z naszych bohaterów – kpt. Jerzy Stawski – żyje do tej pory. Wszyscy oni pokazali swoim życiem, jak bardzo ich postawy mogą być nam pomocne i jak są nam bliskie. Jak blisko nas byli Wyklęci – opowiada Konarska.

Biogramy oraz formularz zgłoszeniowy można znaleźć na stronie internetowej tropemwilczym.pl. Tam też jest mapka, a na niej zaznaczone miejscowości, które biorą udział w biegu. Warto skorzystać z wyszukiwarki i zgłosić się do organizatora w swojej okolicy. Większe i mniejsze miasta, miasteczka i wsie, w Polsce i za granicą. Czasem blisko, na kresach II RP, a czasem nawet bardzo daleko: Afryka, USA, Australia.

Od pierwszej edycji powtarzamy, że Tropem Wilczym to bieg naprawdę dla wszystkich. Dystansem obowiązkowym jest 1963 m. To symbol, w 1963 r. bowiem zginął ostatni Żołnierz Wyklęty, w Majdanie Kozic Górnych na Lubelszczyźnie w zasadzkę wpadł Józef Franczak „Laluś”. Do organizatorów należy decyzja, czy proponować biegaczom inne długości trasy. Bywają jeszcze krótsze, by dać szansę dzieciom, ale także dłuższe. Często to 5 lub nawet 10 km. Choć w przypadku biegu Tropem Wilczym najważniejszy jest udział, to zdarza się, że bieżą rekordy trasy. Tegoroczną nowością będą konkursy drużynowe i rodzinne, te mają być specjalnie nagradzane.

Za najlepsze rezultaty, ale także za dobiegnięcie do mety, należy się medal. Do tej pory była to symboliczna pamiątka z charakterystycznym odciskiem wilczej łapy. Tym razem wzór ma się zmienić, a jaki będzie, to się okaże tuż przed 3 marca 2019 r., bo wtedy rozgrywane będą zawody.

REKLAMA



VII EDYCJA

Dołącz do największego Biegu Pamięci na świecie!

3 marca 2019

w 365 miastach w Polsce i zagranicą!

zapisz się teraz na:

TROPEM WILCZYM .pl

Pamiętamy! Pomagamy! Biegniemy!

Organizatorzy:



wolne i dźwięki

Mecenasi:



Partnerzy Medialni:



Teraz Panama

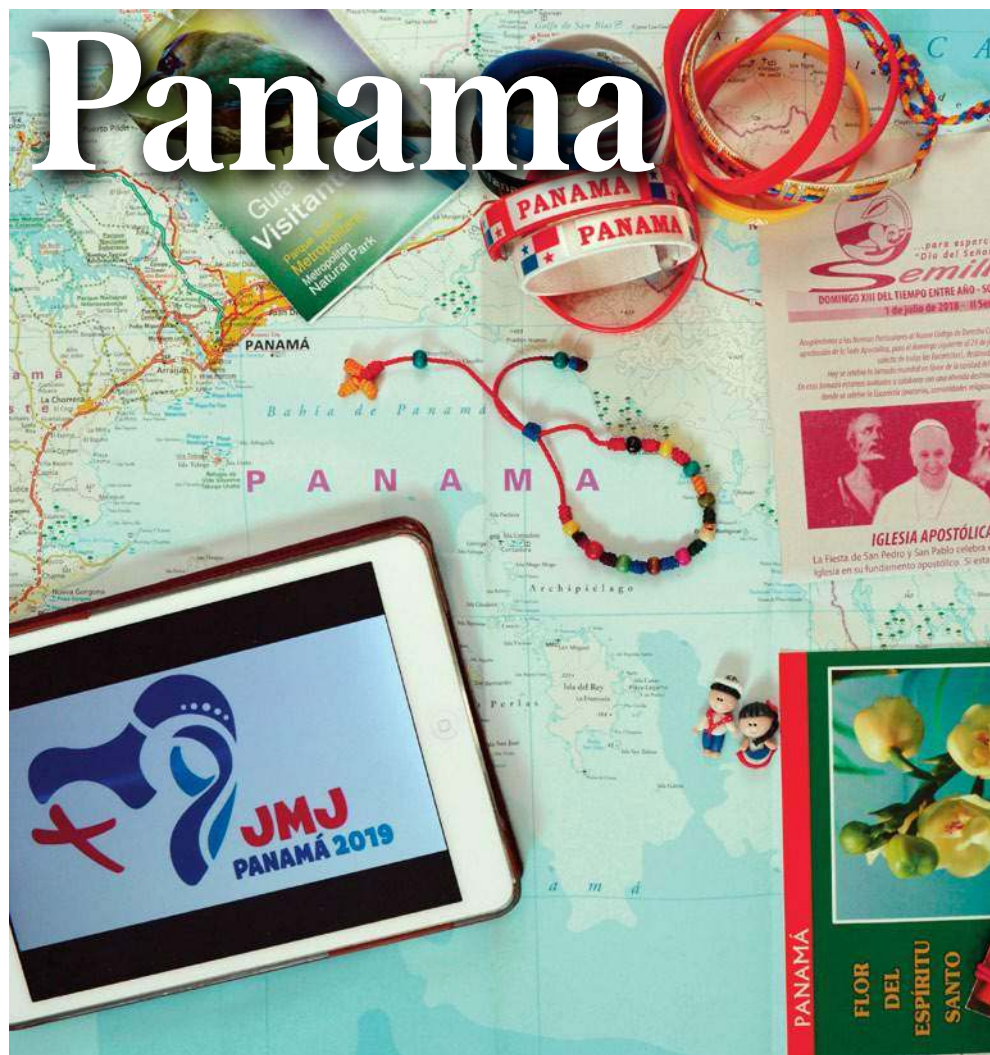
*Tegoroczne Światowe
Dni Młodzieży będą
wyjątkowo fascynujące
i inspirujące dzięki
okolicznościom, w jakich
się odbędą*



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Piękna przyroda panamska pomoże w zrozumieniu istoty Światowych Dni Młodzieży, a zwłaszcza ewangelicznego rozesłania z Dobrą Nowiną na cały świat. Przyroda jest tu ważna, bo będzie scenerią, dzięki której Słowo Boże tym skuteczniej trafi do naszych serc. Przyroda wyjątkowa, mająca w sobie nadal całe różnorodne bogactwo i dziewiczość Nowego Świata. To miejsce, gdzie stada papug witają poranki swoim krzykiem, trop jaguara można znaleźć u progu otoczonych lasem miast, a zielona selwa nadal jest pełna zagadek, podobnie jak głębiny omywających panamski ląd dwóch oceanów.

Światowe Dni Młodzieży w Panamie, tak jak niespełna trzy lata temu ŚDM w Polsce, będą wydarzeniem wyjątkowym, które przemieni i nawróci wielu ludzi. Tych, którzy za dwa tygodnie staną na panamskiej ziemi, ale też wszystkich tych na całym świecie, którzy połączą się z nimi w modlitwie i radości.



ŚDM = JMJ

Aby móc uczestniczyć w panamskim spotkaniu – czy na miejscu, czy duchowo poprzez modlitwę, ale też transmisje i rozmaite media – dobrze znać harmonogram wydarzeń podczas ŚDM, a także istotne panamskie realia.

Zacznijmy od nazwy. Światowe Dni Młodzieży po hiszpańsku to Jornada Mundial de la Juventud – przy czym „j” wymawiane jest jako „h” – „Hornada Mundial de la Huventud”, w skrócie JMJ (co wymawia się jak „hota eme hota”). Przed wyjazdem warto się nauczyć podstawowych hiszpańskich zwrotów – hiszpański to język urzędowy w Panamie, angielski zna tylko część osób. Liczni Indianie natomiast posługują się swoimi językami.

Oficjalna waluta to balboa, przeliczany 1:1 z amerykańskim dolarem, który jest zresztą znacznie powszechniejszy (balboa napotkałem tylko w formie bilonu – ładne monety warto wziąć na pamiątkę).

Duża część pielgrzymów z naszego kraju poleci czterema wycarterowanymi samolotami PLL LOT, które będą odlatywać pomiędzy 14 a 16 stycznia. Powrót, również w kilku turach, zaplanowano na 29–31 stycznia. Główne wydarzenia ŚDM rozegrają się w dniach 22–27 stycznia.

Po około 11 godzinach lotu (najpierw nad Europą, później nad Atlantykiem) pasażerowie będą mogli dostrzec małe, załamujące fale wysepki, następnie Dominikanę i w końcu (12 godzin po starcie) stały ląd amerykański. Różnica



głosów i nieodgadnionego życia, wciąż tak świeża jak za czasów Kolumba. To nadal jest Nowy Świat i jeżeli ktoś sądzi, że wybierając się do niego, przeżyje przygodę swojego życia, zapewniam, iż się nie myli.

PO DRUGIEJ STRONIE ŚWIATA

Panama położona jest na półkuli zachodniej, około 9° szerokości geograficznej północnej, a więc bardzo blisko równika. Chociaż podczas Dni Młodzieży słońce będzie się znajdować na drugiej półkuli, w najodleglejszym punkcie swojej wędrówki, czyli w okolicach zwrotnika Koziorożca, za oceanem będzie bardzo gorąco, od dwudziestu kilku stopni Celsjusza w najchłodniejszym momencie nocy, do trzydziestu kilku stopni Celsjusza w dzień. Będzie to pora sucha, chociaż w kraju o tak silnym wpływie dwóch oceanów zawsze należy się liczyć z możliwością tropikalnej ulew.

wstępne, tzw. dni w diecezjach spędzą Polacy – jak i miasto Panama, w którym odbędą się wydarzenia finałowe, znajdując się poza terenami malarycznymi, które rozciągają się dalej na wschód (czyli w stronę Kolumbii), a Panamczycy bardzo się starają zwalczyć malarię, to i tak stworzenia, które chętnie kęsają, szczypią, żądają i parzą, są nader liczne i mogą się znaleźć w niespodziewanych miejscach. Nikogo z miejscowych nie dziwi karaluch w restauracji albo w komfortowym skądinąd autobusie, biegający swobodnie, bez zażenowania i bez cechującej polskie karaluchy powściągliwości, tak jak nas nie gorszy mucha lub osa ani nikogo nie intryguje krocionóg wielkości parówki sunący po miejskim chodniku – kiedy fotografowałem taki okaz, wykonując różne dziwne pady, żeby uzyskać odpowiednią perspektywę, to nie krocionóg wzbudzał życzliwe zaciekawienie, lecz ja.

Chitré, Colon, Penonomé i Bocas del Toro – w tych miejscowościach młodzi polscy pielgrzymi, najliczniejsi spośród europejskich, spędzą pierwsze dni pobytu w Panamie

czasu w stosunku do Polski wynosi minus sześć godzin. Lecąc w tamtą stronę, jękuje się na czasie.

W mieście, w którym samoloty zaczynają obniżać lot, zbliżając się do położonego tuż przy stolicy lotniska Aeropuerto Nacional de Tocumen, widok z okna spełnia wszystkie wyobrażenia o Zielonym Łądzie: ocean się kończy, a za wąskim pasem przybrzeżnych raf i wstążką kuszącej plaży zaczyna się morze zieloności tropikalnego lasu, przez który toczą powoli swoje wody czerwone od laterytowej gleby splątane rzeki. Wiele rejonów Panamy zachowało dziewczęcy charakter, do wielu miejsc nie prowadzi jeszcze żadna droga i dostać się tam można jedynie łodzią – na wybrzeże naturalnie, ponieważ dalej zaczyna się selva pełna woni, od-

Na pewno jednak podstawowym czynnikiem atmosferycznym, który trzeba będzie wziąć pod uwagę, jest silne promieniowanie słoneczne. Każdy uczestnik ŚDM w Panamie musi mieć nakrycie głowy – czapkę z daszkiem lub kapelusz, okulary przeciwsłoneczne i (niezależnie od kremu z filtrem) lekką koszulę z długimi rękawami oraz spodnie z długimi nogawkami. Buty pełne, sportowe. Taki strój chroni nie tylko przed słońcem – opalanie się w okolicach równikowych nie jest dla Europejczyków dobrym pomysłem – lecz także przed owadami i innymi stawonogami.

Wprawdzie zarówno okolice miasta Chitré, Colon, Penonomé, karibskiego archipelagu Bocas del Toro – w których to czterech rejonach

Woda to zawsze ważny temat w tropikach. Chociaż podróżując po Panamie na ogół staraliśmy się korzystać z wody i napojów w oryginalnie zamkniętych puszkach oraz butelkach (najbardziej higienicznie przez rurkę), kilka razy zdarzyło nam się korzystać z publicznych „poidelek” – Panama i część innych miast ma rzeczywiście wodę wodociagową odpowiednią dla Europejczyków nawet bez przegotowania. Lepiej jednak nawet w takich miejscach traktować to jako ostateczność. Zdecydowanie natomiast należy zrezygnować ze specjałów, takich jak łód strugany na wózy z wielkich bloków na ulicznych straganach i podawany z sokiem lub syropem czy rozmaite „zieleniny”, przedkładając to, co smażone, nad to, co świeże.

Kąpiel w słonej morskiej wodzie jest pod względem bakterii zupełnie bezpieczna, natomiast w jeziorach i rzekach zdecydowanie niezalecana. Dobrze mieć z sobą mokre chusteczki i spirytus w żelu do odkażania dłoni.

CHITRÉ, COLON, PENONOMÉ I BOCAS DEL TORO

W miejscowościach o tak egzotycznie brzmiących nazwach polscy pielgrzymi, najlicniejsi spośród europejskich, spędzą pierwsze dni. Chitré to 50-tysięczne miasto położone nad Zatoką Panamską (czyli od strony pacyficznej), niedaleko stolicy. W Chitré trzeba zwiedzić XVIII-wieczną katedrę, przy której wyposażeniu użyto cennego drewna mahoniowego i tekowego. W kolonialnym budynku muzeum Herrera znajduje się kolekcja złotych przedmiotów sprzed kilku tysięcy lat. Niedaleko na północ od miasta znajduje się park narodowy Sarigua, prezentujący zarówno najstarsze miejsca osadnictwa w Panamie sprzed ok. 11 tys. lat, jak i nadmorskie lasy zarośla namorzynowe. Zarośla te, tworzące niekiedy rodzaj przybrzeżnego lasu, chronią wybrzeża przed naporem oceanu i stanowią wyjątkowo bogaty ekosystem – od gniazdujących w gęstwinie fregat i gigantycznych zimorodków, po penetrujące labirynt splątanych, podwodnych korzeni płaszczki ogończe, barwne kraby i przypominające zielone, żwawe sznurowadło smukłe ryby iglicznie. W pobliżu Chitré znajdują się plaże Playa Monagre oraz Playa Agallito z wartą odwiedzenia stacją ekologiczną Humboldta – Estación Ecológica Humboldt.

Colon to niewielkie miasteczko leżące u atlantycko-karaibskiego ujścia Kanału Panamskiego i wchodzącego w jego skład jednego z największych na świecie sztucznych jezior – jeziora Gatún zasilanego przez wody z okolicznych lasów deszczowych. Oprócz morskiej atmosfery, która już sama w sobie stanowi wystarczającą nagrodę za odwiedzenie Colon, warta polecenia jest wycieczka na słuzi Kanału i tamę tworzącą jezioro, a w miarę możliwości na którąś z położonych na jeziorze wysp.

Penonomé – trzecie z miejsc, w których przez pierwsze dni zamieszkają

Polacy, położone jest nieco dalej od mórz i oceanów. Kto jednak tam trafi, wcale nie będzie miał czego żałować: XVI-wieczne Penonomé ma bogatą historię – po zniszczeniu miasta Panama przez piratów było stolicą, a przede wszystkim ma cudowne położenie tuż u stóp Kordylierów, które nieco na południe przechodzą w Andy, a na północ ciągną się aż po Cieśninę Beringa.

No i w końcu Bocas del Toro. To karaibskie, położone na wyspie niedaleko Kostaryki miasteczko i cały okoliczny archipelag porośniętych deszczowym lasem wysp. Oprócz przewędrowania ulicami miasteczka warto pożytyć rowery i pojechać na Plażę Rozgwiezdzd – Playa de las Estrellas, położoną obok Playa del Drago, a także wsiąść na jednej z licznych przystani do motorówki i popłynąć na cudowną Wizzard Beach. Nie można też zapomnieć, że cały rejon Bocas del Toro to przepiękne rafy koralowe.

PANAMA

Po zakończeniu etapu diecezjalnego wszyscy wyruszą do stolicy kraju położonej u ujścia Kanału Panamskiego do Oceanu Spokojnego, gdzie 22 stycznia rozpoczną się główne wydarzenia Dni Młodzieży. Słowa zawierzenia Bogu: „Oto Ja, służebnica Pańska, niech Mi się stanie według Twego słowa!” (Łk 1,38)

towarzyszyć będą uczestnikom przez kolejne niezwykle dni: od mszy świętych na rozpoczęcie i powitania papieża Franciszka, poprzez piątkową Drogę Krzyżową (w kościołach w Polsce odbywać się będą nabożeństwa w duchowej łączności z papieżem i pielgrzymami, podczas których rozważać się będzie te same teksty, co w Panamie), aż po czuwanie z Ojcem Świętym, które rozpocznie się w sobotę 26 stycznia na obsadzonej palmami kokosowymi promenadzie Cinta Costera nad Pacyfikiem i zakończy mszą świętą Posłania. W Polsce będzie można się włączyć w czuwanie i modlitwę podczas „24 h z Panamą”, które według naszego czasu rozpocznie się o godz. 20.00 w sobotę i zakończy o godz. 20.00 w niedzielę 27 stycznia.

Niespełna trzy lata temu w krakowskich Brzegach, na rozległych łąkach, na których nieco wcześniej tropiłem łosie i szukałem kumaków, po nocy czuwania papież Franciszek wskazał na Panamę. Teraz też tak będzie. Nad oceanem przy Cinta Costera unosić się będą czarnoskrzydłe fregaty i pelikany brunatne, a dziesiątki tysięcy ludzi czekać będzie, aż padnie nazwa kolejnego miejsca na świecie, gospodarza następnych ŚDM. Gdzie to będzie? Może tym razem na Wschodzie? Mam swojego kandydata. Ale na razie przed nami Panama.

Hecho en Panamá

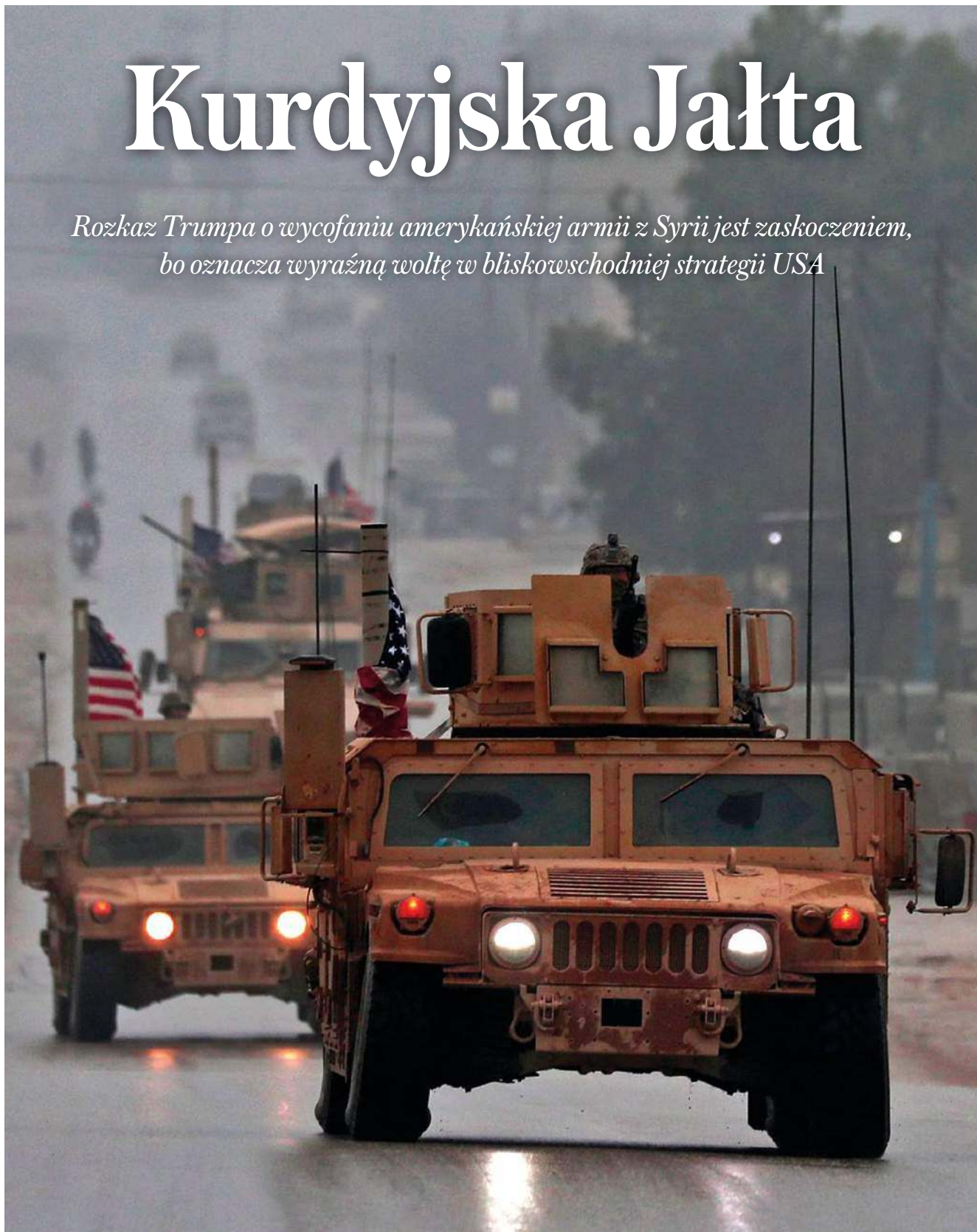
Kto znajdzie nieco wolnego czasu w mieście Panama, powinien:

- wybrać się na wchodzący daleko w ocean **cypel Causeway** – u jego nasady można pożyczyć za kilka dolarów riksę i przemierzyć trasę wyjątkową ścieżką rowerową;
- zobaczyć **Most Ameryk** – Puente de las Américas, do niedawna jedyne lądowe połączenie kontynentów. To również okazja do obejrzenia Kanału Panamskiego, nad którym przerzucony jest most, i przepływających nim wielkich statków. Najlepszy widok na most roztacza się u nasady cypla Causeway;
- odwiedzić park narodowy **Parque Natural Metropolitano** – wspaniały las deszczowy z leniwcami, małpami i tukanami oraz panoramą na ocean i miasto, położony częściowo w jego granicach. Najlepiej zacząć w centrum dla zwiedzających (centro de visitantes), do którego można dojechać żółtą taksówką już za kilka dolarów. Ceny za przejazd najlepiej ustalać przed rozpoczęciem kursu. Można się targować, a cena w obrębie miasta nie powinna raczej wynosić więcej niż kilka do 10 dolarów za wszystkich pasażerów;
- wybrać się do portu i na targ rybacki **Mercado de Mariscos**, podziwiać morskie stwory, zjeść rybę prosto z oceanu i smażone, zielone banany platanos;
- przejść się po starej, kolonialnej dzielnicy **Casco Viejo**, odwiedzić zabytkową katedrę, a także dzielnicę wieżowców Punta Paitilla.

Kto będzie chciał kupić pamiątki, niech szuka przedmiotów z napisem „hecho en Panamá”, czyli „wykonane w Panamie”. Oryginalną pamiątką są także tablice rejestracyjne. Dobrze zgodnie z tradycją zabrać z sobą coś na wymianę z innymi uczestnikami ŚDM, np. gumowe bransoletki z napisem „Polska”.

Kurdyjska Jałta

Rozkaz Trumpa o wycofaniu amerykańskiej armii z Syrii jest zaskoczeniem, bo oznacza wyraźną wolę w bliskowschodniej strategii USA



Fot. Photo by Deill SOULEMAN/AFP



JAN ROKITA

Nie powinniśmy powtarzać błędów przeszłości, ale uczyć się na nich”. Tak rozkaz wycofania się US Army z Syrii skomentował Edward Royce, doświadczony poseł republikanów, przez sześć ostatnich lat szef ważnej kongresowej komisji spraw zagranicznych. Royce, który wspierał dotąd prezydencką politykę – jego żona została nawet członkiem administracji Donalda Trumpa – właśnie przechodzi na emeryturę, więc może swobodnie korzystać z rzadkiego w polityce „luksusu własnego zdania”. Ale też to, co najbardziej uderza w wydanym 19 grudnia 2018 r. rozkazie Trumpa, to podobieństwo do słynnej decyzji (czy raczej jej braku) Baracka Obamy, który w 2013 r. najpierw postawił świat w stan alarmu, zapowiadając zbrojny odwet na syryjskim tyranie za wymordowanie w Ghucie tysięcy ludzi gazami trującymi, a kiedy przyszło co do czego – chyłkiem odwoływał swoje zapowiedzi. Owo podobieństwo idzie nawet tak daleko, że Trump, uzasadniając obecnie swój rozkaz, powtórzył (chyba nieświadomie?) literalnie słowa swojego poprzednika sprzed pięciu lat: „USA nie mogą przecież być policjantem całego świata”. Do tego cytatu ze swojego politycznego wroga Trump dodał jeszcze zdanie charakterystyczne dla jego własnego i niepodrabialnego stylu: „Nie jesteśmy już frajerami dla reszty świata”.

DWA ZADANIA US ARMY

Co najmniej połowa nieszczęść i zbrodni, jakie od tamtego czasu zdarzyły się w Syrii, z nagłą ekspansją bandyckiego Państwa Islamskiego na czele, ma swoje polityczne źródło w tamtej ponurej rejteradzie Obamy. Dziś – rzecz jasna – sprawy w Syrii mają się zupełnie inaczej niżli pięć lat temu. W Syrii pojawili się na dużą skalę Rosjanie, pomagając Baszirowi Asadowi krwawo

stłumić wybuchłe przeciw niemu ludowo-religijne powstanie. Niezwykle skuteczni zaś Kurdowie z Rożawy, którzy z pomocą Amerykanów stworzyli bitną armię (Syryjskie Siły Demokratyczne SDF), rozbili trzon Państwa Islamskiego, zdobywając jego kolejne stolice – Rakkę, a ostatnio także Hadżin, który padł ostatecznie 14 grudnia.

W tej nowej rzeczywistości dalsza rola (jak się szacuje) 2–3 tys. żołnierzy US Army sprowadzałaby się więc do dwóch istotnych zadań. Po pierwsze, do ochrony autonomicznej quasi-państwowości Kurdów w Rożawie, której zniszczenie nie od dziś z zaciekleścią obiecuje turecki prezydent Recep Erdoğan, bezpodstawnie traktując syryjskich Kurdów jako „terrorystów”, ponieważ mają oni własną, nieislamiistyczną, a nawet utopijno-lewicową wizję ojczyzny. I tylko dotychczasowa obecność sprzymierzonych z Kurdami Amerykanów powstrzymywała tureckiego przywódcę od ataku na Rożawę, gdzie Turkom groziłoby bezpośrednie starcie z USA, czyli najważniejszym sojusznikiem Turcji w NATO, a w konsekwencji rozpetanie dramatycznego kryzysu całego Sojuszu.

Drugą misją Amerykanów w Syrii było ostatnio blokowanie pustynnego syryjsko-irackiego przejścia drogowego w At Tanf, co oznaczało zamknięcie najważniejszej (choć nie jedynej) drogi przerzutu wojska i broni dla Asada, prowadzącej z sojusznicznego Teheranu, przez Bagdad, do Damaszku, a następnie na wybrzeże śródziemnomorskie. Niektórzy analitycy skłonni nawet są sądzić, iż z czysto politycznej perspektywy to właśnie ta misja sił amerykańskich jest kluczowa, gdyż istotnie ogranicza perskim ajatollahom swobodę działania na terenie Syrii. Ochroniając i broniąc słabych oddziałów powstańczych, zajmujących syryjsko-irackie pogranicze, wojska amerykańskie wchodziły (to ciekawe, bo absolutnie wyjątkowe) w bezpośrednie walki nie tylko z rządową armią Asada, lecz nawet bezpośrednio z Rosjanami próbującymi opanować pola naftowe nad Eufratem. To właśnie tam w lutym 2018 r. amerykańskie lotnictwo zmasakrowało oddział tzw. wagnerowców, czyli rosyjskich ochotników bijących się w Syrii na

nigdy oficjalnie nieprzyznane zlecenie Władimira Putina. Jak dotąd amerykańskie dowództwo było niezwykle konsekwentne w pilnowaniu tego, aby ani Asad, ani Rosjanie, ani Persowie nie mogli zyskać kontroli nad przejściem At Tanf i całym pustynnym pograniczem.

ZANIEPOKOJONY IZRAEL

W ciągu mniej więcej trzech miesięcy, jakich Amerykanie potrzebują do pełnego wycofania się, rzeczy mogą się tu teraz radykalnie odmienić. Co prawda Trump niezwłocznie po wydaniu rozkazu wycofania przyleciał niespodziewanie do amerykańskiej bazy Al Asad w Iraku, by – korzystając z pretekstu wizyty świątecznej u żołnierzy (działo się to w drugi dzień Bożego Narodzenia) – obwieścić tam solenne zobowiązanie do utrzymania znacznie silniejszego, ok. 5-tysięcznego kontyngentu wojskowego w Iraku. Można sobie więc wyobrazić, iż operacje w rejonie At Tanf i całego pogranicza syryjsko-irackiego będą prowadzone dalej, tyle że z baz po stronie irackiej. Jest to możliwe, tym bardziej że wizja otwarcia drogi swobodnego przerzutu irańskich wojsk i broni aż na próg Wzgórz Golan, okupowanych przez Izrael, wywołała popłoch w Jerozolimie. Gdy świat chrześcijański świętował Boże Narodzenie, lotnictwo Izraela po raz kolejny zaatakowało stanowiska Persów i poddanych im szyickich milicji w zachodniej Syrii. A na izraelskiej lewicy pojawiły się głosy, iż Trump „pozostawił teraz Izrael na łasce Rosji i Iranu”. Nawet jeśli tego typu opinie odbijają raczej atmosferę gorąckowej walki przedwyborczej w Izraelu (wybory odbędą się tam 9 kwietnia), to trudno nie przyznać racji liderowi izraelskiej opozycji Jairowi Lapidowi, iż rozkaz Trumpa „osłabił pozycję Izraela wobec Rosji”. Skoro bowiem Jerozolimie, obawiająca się grupowania dużych sił perskich nad izraelską granicą, nie będzie mogła w zapobieganiu takiemu scenariuszowi liczyć już na Trumpa, to skazana zostanie tym samym na dogadywanie się z Putinem. A rzecz jasna takie układy nie odbywają się za darmo.

Co więcej, w Jerozolimie podważone zostało mocne dotąd przekonanie, iż Ameryka pod wodzą Trumpa jest na

równi z Izraelem zdecydowana na politykę „powstrzymywania” Iranu i jego wpływów, nawet gdyby to miało grozić konfliktem zbrojnym. Cipi Liwni (przywódczyni lewicowego skrzydła opozycji) mówi, że „Ameryka znów niebezpiecznie lekceważy rosnącą obecność Iranu” na Bliskim Wschodzie. W każdym razie rozkaz Trumpa wzmocnił w Izraelu poczucie zagrożenia oraz utrudnił przedwyborczą sytuację Netanjahu i izraelskiej prawicy, zwiększając szanse na przejście wiosną władzy przez liberałów i lewicę pod przywództwem Lapid’a (znanego skądinąd dobrze w Polsce, niekoniecznie z dobrej strony).

ROZCZAROWANI KURDOWIE

Zaniepokojenie Izraela to jeden skutek rozkazu Trumpa. Drugi to poczucie amerykańskiej zdrady, jakie zapanało wśród Kurdów. Oficjalne oświadczenie SDF jest co prawda wyzbyte emocji, ale i tak kwestionuje tezę Trumpa, iż wojna z Państwem Islamskim się skończyła, a przede wszystkim wyraża „rozczarowanie ludzi mieszkających w regionie”. Warto pamiętać, że Trump podkreślając ofiary Amerykanów w wojnie z Państwem Islamskim, czci pamięć kilkunastu zabitych żołnierzy US Army, nie wspominając o mniej więcej 6 tys. poległych w tej wojnie kurdyjskich sojusznikach Ameryki. Zdrada Kurdów ma więc tutaj charakter prawdziwej „kurdyjskiej Jałty”.

Mamy okazję zobaczyć z całą brutalnością ciemną stronę politycznej doktryny Trumpa, opartej na hasle: „America First”. Do tej pory oznaczała ona forsowanie mocarstwowego interesu USA, zarówno gdy idzie o międzynarodowy handel, jak i o dominację wojskową. Zwłaszcza z polskiej perspektywy ten rodzaj amerykańskiego „imperializmu” z natury rzeczy może budzić sympatię, gdyż leży on także w polskim państwowym interesie. Teraz jest jasne, że logiczną konsekwencją takiego stylu politycznego myślenia jest także gotowość porzucenia sojuszników, o ile z amerykańskiej perspektywy wypełnili już swoje zadanie, a dalszy sojusz z nimi z jakichś powodów za-

czyna Amerykę uwierać. Imperializm Trumpa podąża tą samą ideową ścieżką, co imperializm Roosevelta u końca II wojny światowej.

CEL: JEDNOŚĆ NATO

Ale dla jakiego amerykańskiego interesu Trump decyduje się ułatwić życie Persom, przeciw którym prowadził dotąd krucjatę; zaniepokoić Izrael, który uznawał za pierwszego sojusznika USA; a na dodatek spektakularnie zdradzić Kurdów, dzięki którym można było rozbić Państwo Islamskie? Politycy związani z rządem Obamy (np. Victoria Nuland, była wicesekretarz stanu) gotowi są widzieć w rozkazie Trumpa kolejne świadectwo politycznej niepołączalności prezydenta, który „jednym wpisem na Twitterze zniszczył amerykańską politykę na Bliskim Wschodzie”. Jako „całkowicie sprzeczny z interesem

W obliczu dylematu – sojusz z syryjskimi Kurdami czy utrzymanie lojalności Turcji wobec NATO – Trump najwyraźniej wybrał to drugie rozwiązanie

USA” skłonni są widzieć rozkaz Trumpa także niektórzy wybitni analitycy (np. Witold Repetowicz). Jednak w przypadku ludzi z ekipy Obamy stosunek do każdego przejawu polityki Trumpa jest wynikiem nieracjonalnych uprzedzeń oraz idiosynkrazji. Analitycy zaś, nawet wybitni, czasami się mylą.

Tak, to prawda, że rozkaz Trumpa jest zaskoczeniem, bo oznacza wyraźną wolę w bliskowschodniej strategii USA. Nic więc dziwnego, że posypały się z nim protestacyjne dymisje wojskowych, z szefem Pentagonu gen. Mattisem na czele. To prawda także, że Ameryka (w końcu nie po raz pierwszy w swojej historii) dowodzi, że potrafi zdradzać swoich sojuszników. Ale nie-

prawdą jest, że za rozkazem Trumpa nie stoi żadna myśl polityczna ani realny amerykański interes państwowy.

Nakazując żołnierzom US Army wycofanie się, Trump dodał, iż jeśli trzeba będzie jeszcze prowadzić dalszą wojnę z islamistami, to „jej dokończeniem” zajmie się Turcja. Polityczny sens rozkazu Trumpa leży w otwarciu Erdoğanowi drogi do pacyfikacji Kurdów i zapewnienia nie tylko bezpieczeństwa południowej granicy tureckiej, lecz także wypełnienia mocarstwowego aspiracji tureckiego „sultana” na Bliskim Wschodzie. Zapewne na dłuższą metę Ameryka nie byłaby w stanie lawirować pomiędzy sojuszem z syryjskimi Kurdami a utrzymaniem Turcji w politycznej i militarnej lojalności wobec NATO. W obliczu takiego dylematu Trump najwyraźniej wybiera sojusz z Turcją, a tym samym jedność NATO, która poważnie została nadwerżona dotychczasowymi

rozbieżnymi strategiami Zachodu i Ankary na Bliskim Wschodzie. Zasadność takiej hipotezy zdaje się potwierdzać to, iż dzień przed ogłoszeniem rozkazu wycofania się z Syrii (18 grudnia) rząd Trumpa udzielił w końcu zgody na sprzedaż Turcji nowoczesnych systemów przeciwlotniczych (m.in. rakiet Patriot), na kwotę 3,5 mld dolarów. Zgoda ta może być spóźniona, gdyż poróżnieni z Zachodem Turcy finalizują już zakup rakiet od Rosji, co w Waszyngtonie było przyjmowane z oburzeniem, jako przejaw sojuszniczej nielojalności.

Trumpowi, który wiele razy powtarzał, iż inaczej niż dominujący niegdyś wśród republikanów neokonserwatyści nie zamierza uprawiać wolnościowego misjonarstwa wobec żadnego kraju, a kwestie respektu dla praw człowieka nie są jego priorytetem, nie przeszkadza to, że Turcja Erdoğan’a stała się państwem autorytarnym. Interesuje go za to militarna kondycja tzw. wschodniej flanki NATO, która bez Turcji uległaby faktycznemu załamaniu. Nie wiemy, jak dalek będzie się zachowywać Erdoğan wobec Zachodu. Wiemy natomiast, że to autorytarny turecki „sultan” jest głównym politycznym adresatem i beneficjentem grudniowego rozkazu Trumpa.

Uchrońmy dzieci od walki ideologicznej

Na Węgrzech istnieje powiedzenie: „Nie wiem już, czy jestem chłopcem, czy dziewczyną”. Wypowiada się je w sytuacjach, kiedy czujemy się skrajnie zdezorientowani i bezradni

Z sekretarz stanu ds. rodziny i młodzieży oraz wiceprzewodniczącą Fideszu *Katalin Novák* rozmawia Kamila Hedwig-Górny

Dlaczego rząd węgierski po objęciu władzy przez Fidesz uznał politykę prorodzinną za jeden ze swych priorytetów?

Katalin Novák: Przyszłość Węgier zależy od węgierskich rodzin, dlatego koncentrujemy się na tym, aby w każdy możliwy sposób wspierać narodziny węgierskich dzieci. Sytuacja demograficzna jest u nas trudna – podobnie jak w Polsce – dlatego ściśle współpracujemy z panią minister Elżbietą Rafalską. Przypatrujemy się polskim pomysłom i udanym inicjatywom, ale mamy też własne projekty. Od 2010 r. dużo zrobiliśmy dla rodzin: wprowadziliśmy ulgi podatkowe oraz wsparcia finansowe, zagwarantowaliśmy dzieciom darmowe podręczniki, bezpłatne posiłki w szkołach i przedszkolach, a także co roku finansujemy obozy letnie. Wspieramy wszelkie inicjatywy ułatwiające matkom powrót na rynek pracy, a rodzinom budowę i kupno mieszkań. Dzięki naszej polityce rodzina stała się na Węgrzech czymś odbieranym pozytywnie. Firmy, które tworzą miejsca pracy, dążą do tego, by otrzymać tytuł „przyjazne rodzinie”. Od 2010 r. wydatki na wsparcie rodzin z budżetu państwa wzrosły dwukrotnie. Obecnie wynoszą one prawie 5 proc. PKB, co jest sumą bardzo poważną.

Jakie są efekty tych wydatków?

Mamy najwyższą od 20 lat liczbę zawieranych małżeństw i porodów oraz najniższy wskaźnik umieralności



noworodków oraz aborcji. Niestety, przyrost naturalny jest nadal ujemny, więc nie możemy powiedzieć, że jest dobrze. To jednak skutek wcześniejszych wieloletnich zaniedbań.

Jak można temu zaradzić?

Kluczem do uzyskania dodatniego przyrostu naturalnego są rodziny, które mają przynajmniej trójkę dzieci, nazywane u nas wielodzietnymi. Właśnie dlatego wspieramy je w sposób szczególny. Jednym z najważniejszych projektów jest Karta dużej rodziny, która daje dzieciom oraz ich rodzicom duże ulgi i zniżki, poczynając od wstępu do muzeum, przez wejście na basen, po zakupy w kwaciarniach.

Ściśle współpracujemy z organizacjami, które zrzeszają duże rodziny.

Ubiegły rok ogłoszono na Węgrzech Rokiem Rodziny. Czy zostało to zauważone?

Widzę, że sytuacja demograficzna zaczyna być dla Węgrów coraz ważniejsza. Temat rodziny i dzieci coraz częściej pojawia się w rozmowach i dyskusjach. Wielu młodych zaczyna zdawać sobie sprawę z tego, że nasz naród przetrwa, jeśli ludzie będą dawać od siebie więcej, niż otrzymali od starszego pokolenia. Dotyczy to również kwestii rodziny. A indywidualne decyzje dotyczące narodzin każdego dziecka mają wpływ na cały naród.

Węgierska konstytucja uchwalona w 2011 r. gwarantuje ochronę życia od momentu poczęcia, natomiast niższej rangi ustawa pochodząca jeszcze z czasów komunistycznych pozwala na aborcję. Jak wyjaśnić tę sprzeczność?

To bardzo delikatny temat. Widzieliśmy niedawno, jakie emocje sprawa aborcji budzi także w Polsce. Rozwiązanie tej sprzeczności upatruję w edukacji młodzieży i uświadamianiu jej, kiedy zaczyna się życie. Podam przykład: jest przyjęte, że na lekcji biologii dzieci oglądają ludzki szkielet i biorą do ręki czaszkę. Nie widzę powodu, by nie pokazywać im figurki płodu w 12. tygodniu ciąży. Znajduje się on we wnętrzu organizmu i jest tak samo niewidoczny dla naszych oczu jak kość, ale powinniśmy pozwolić uczniom pokazać jego realność. Chodzi o to, by byli świadomi powagi decyzji dotyczącej ludzkiego życia.

Czy istnieje jakaś pomoc dla młodych matek, które boją się urodzić z powodu trudnej sytuacji życiowej?

Na Węgrzech działają liczne organizacje społeczne i kościelne, które wspierają matki znajdujące się w ciężkim położeniu. Osobną kwestią jest zachęcanie do adopcji zamiast aborcji. W tej sprawie fundamentalna jest zmiana świadomości. Nasze społeczeństwo pozytywnie postrzega tych, którzy adoptują dziecko, natomiast jest mocno krytyczne wobec osób, które oddają dziecko do adopcji. Potrzeba więcej zrozumienia dla tych, którym w trudnej, niepewnej sytuacji trudno jest podjąć dobrą decyzję, ale które decydują się na urodzenie dziecka i oddanie go do adopcji.

Co sądzi pani o konwencji stambulskiej, która wywołuje kontrowersje w wielu krajach?

Z jednej strony zawiera ona pozytywne elementy, bo rzeczywiście ofiary przemocy rodzinnej trzeba wspomagać. Z drugiej strony jednak nie można tego robić przez konwencję, zwłaszcza taką, która jest niczym koń trojański. Próbuje bowiem wprowadzać do oficjalnego obiegu takie

pojęcia, które potem mogą być wykorzystane w innym celu. Na Węgrzech są podejmowane przedsięwzięcia wspierające ofiary przemocy domowej, np. czynny 24 godziny telefon zaufania. Działają też organizacje pomagające poszkodowanym, a w Kodeksie karnym wprowadzono oddzielny paragraf dotyczący tej kwestii. Wracając zaś do samej konwencji, wiele krajów ją podpisało, ale mało ratyfikuje.

Wielu krytyków konwencji stambulskiej mówi, że wprowadza ona pojęcia z arsenału ideologii gender.

Nie można negować czy relatywizować rzeczy, które należą do naturalnego porządku świata. Istnieją role i zadania kobiece oraz role i zadania męskie. Nasz świat tak szybko się zmienia, że potrzebujemy pewności i bezpieczeństwa. To, że ktoś jest chłopcem lub dziewczynką, należy do jednego z takich pewników. Na Węgrzech istnieje powiedzenie: „Nie wiem już, czy jestem chłopcem, czy dziewczyną”. Wypowiada się je w sytuacjach, kiedy czujemy się skrajnie zdezorientowani i bezradni. Dążenie do tego, by pozbawić dzieci tej pewności – jednej z niewielu dziś – a zamiast tego uczynić je zdezorientowanymi i bezradnymi, uważam za bardzo szkodliwe. W obecnych czasach toczy się ostra walka ideologiczna, w której jedna strona powołuje się na dobro dziecka i jego prawa, ale w rzeczywistości chce narzucić dzieciom swoje ideologiczne porządki. Jestem temu zdecydowanie przeciwna. Uważam, że dzieci powinno się uchronić od tej walki.

Przywódcy Polski i Węgier otwarcie mówią, że musimy bronić kultury chrześcijańskiej i odnowić duchowo Europę.

Smutne jest, że mało kto teraz w Europie o tym mówi. Dobrze, że choć niektórzy mają odwagę, by wyrazić podstawowe i naturalne prawdy, m.in. o judeochrześcijańskich korzeniach Europy. Wynikające z tego wartości powinny być podtrzymywane, strzeżone, podkreślane i rozwijane zarówno na naszym kontynencie, jak

i poza nim. Obecnie chrześcijanie są największą na świecie grupą prześladowaną za swoją wiarę. W związku z tym spoczywa na nas odpowiedzialność, by bronić cierpiących i im pomagać. Rząd węgierski tak robi. Jesteśmy mocno zaangażowani we wspieranie prześladowanych wspólnot chrześcijańskich na świecie.

Chrześcijanie na świecie są dziś szczególnie prześladowani w państwach muzułmańskich i komunistycznych. Na naszym kontynencie nie podlegają tak strasznym represjom. Często można jednak usłyszeć, że w Europie największe zagrożenie dla chrześcijaństwa stanowi liberalizm. Czy zgadza się pani z takim twierdzeniem?

Ideologia liberalizmu przeciwstawia się wartościom chrześcijańskim. Każde nam negować to, co jest dla nas ważne, bliskie i drogie, w zamian narzucając pustkę. Zdejmuje się ze ściany obraz, bo się „nie podoba”, ale nie wiesz się nic w jego miejsce. W Europie ściga się krzyże, ale nie oferuje nic w zamian. Ale to „nic” jest groźne. Liberalowie są liberalni do momentu, kiedy myśli się tak, jak oni myślą. Kiedy myśli się inaczej niż oni, wtedy nie mogą tego zaakceptować. Znika ich liberalizm. Z tak funkcjonującym liberalizmem nie mogę się pogodzić. To mi przypomina komunizm: w teorii idealny, w praktyce nie działa.

Na koniec chciałam zapytać o Fundację Wacława Felczaka, którą w ubiegłym roku utworzyło pani ministerstwo. Jakie są pani oczekiwania wobec tej instytucji?

Na Węgrzech nawet dzieci wiedzą, że Polak i Węgier to „dwa bratanki”. Od wieków istnieje tradycyjna przyjaźń między naszymi narodami. Aby to nie była jednak tylko teoria, ale i praktyka, to między naszymi narodami musi zaistnieć jak najwięcej osobistych doświadczeń. Powinniśmy na różnych poziomach szukać wspólnego języka, coraz lepiej się poznawać i wzajemnie rozumieć. Fundacja jest więc jakąś formą instytucjonalizacji naszej przyjaźni i powinna służyć wzmacnianiu serdecznych relacji między nami. 

500+ wciąż działa

Narracja, że wszystko drożeje, a w związku ze wzrostem cen 500 zł miesięcznie na dziecko to mało, jest nieprawdziwa

Z Elżbietą Rafalską, minister rodziny, pracy i polityki społecznej, rozmawia Dorota Łosiewicz

2018 r. za nami. Jakim jednym słowem określiłaby pani ten rok?

Elżbieta Rafalska: Intensywny.

A więcej niż jednym słowem?

Robimy, co w naszej mocy, by poprawić sytuację życiową polskich rodzin. To właśnie rodzina jest podstawą społeczeństwa, to wszyscy – dzieci, rodzice, dziadkowie, ale też osoby niesamodzielne, samotne, pracownicy, przedsiębiorcy. Zawsze ktoś będzie potrzebował pomocy, zawsze będzie można zrobić więcej, lepiej, różne wskaźniki zawsze mogą być wyższe. Dlatego pracy było, jest i będzie wiele. Cały podlegający mi resort zdaje sobie z tego sprawę, działamy na pełnych obrotach. I są tego efekty. W mijającym roku udało się zrobić naprawdę wiele.

To po kolei. Zaczniemy od rodzin z dziećmi.

Przeznaczaliśmy rekordowe 450 mln zł na program Maluch+, czyli tworzenie i prowadzenie miejsc opieki nad najmłodszymi dziećmi. Obok sytuacji materialnej to właśnie brak miejsc w żłobkach, klubach dla maluchów jest jedną z największych obaw przyszłych rodziców lub par zwlekających z decyzją o kolejnym dziecku. Problem jest szczególnie widoczny w mniejszych miejscowościach. I tu chciałabym zaznaczyć, że spośród wszystkich gmin, na których terenie tworzone są miejsca w ramach tegorocznej edycji programu, aż 79 proc., czyli 356 gmin, to gminy małe do 40 tys. mieszkańców. To ponad 460 nowych instytucji i niemal 11,5 tys. nowych miejsc dla dzieci. W 2019 r. na program Maluch+ przeznaczymy również 450 mln zł, a samorządy, w których nie ma żadnych instytucji opieki nad dziećmi do lat trzech, będą mogły liczyć na wyższe niż do tej pory dofinansowania – 30 tys. zł zamiast dotychczasowych 20 tys. zł. Większe będą też dopłaty dla samorządów prowadzących już tego rodzaju placówki – 22 tys. zł zamiast 20 tys. zł.

W minionym roku po raz pierwszy rodziny dostały wsparcie na wyprawkę szkolną. Jakie było zainteresowanie? Będzie kontynuacja?

Zainteresowanie programem Dobry Start, zwanym także 300+, przerosło nasze oczekiwania. Niektórzy przeciwnicy programu twierdzili, że wnioski złożą 80–90 proc. uprawnionych, bo 300 zł to „nędzne ochłapy”. Okazuje się jednak, że ze świadczenia skorzystało niemal 100 proc. z 4,6 mln dzieci do niego uprawnionych. Wrzesień jest trudnym miesiącem dla domowego budżetu. Szczególnie dotkliwie odczuwają to rodzice mający dwoje, troje czy więcej dzieci w wieku szkolnym. W 2019 r. program Dobry Start będzie kontynuowany. W tym miejscu chciałabym również zaznaczyć, że program Dobry Start okazał się sukcesem również pod kątem cyfryzacji – co drugi wniosek o świadczenie został złożony on-line.

Ile to kosztowało?

Kwota przeznaczona na ten cel to 1,44 mld zł.

A co z 500+? Pojawiają się głosy, że program przestaje działać.

W ciągu ostatnich lat o blisko 34 proc. spadło w Polsce ubóstwo skrajne – z 6,5 proc. w 2015 r. do 4,3 proc. w roku 2017. Odnotowaliśmy również spadek zagrożenia ubóstwem, zwłaszcza wśród dzieci. Z niedawnego raportu Eurostatu wynika, że w 2017 r. w Polsce zagrożonych ubóstwem lub wykluczeniem społecznym było 17,9 proc. dzieci. To spadek o 6 pkt proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Jeszcze w 2008 r. problem biedy i wykluczenia dotyczył ok. 33 proc. dzieci. W 2017 r. wskaźnik dzietności wynosił dla całego kraju 1,45, czyli o 12,4 proc. więcej niż dwa lata wcześniej. A dzieje się to, zaznaczam, w czasie spadku liczby kobiet w wieku rozrodczym, który rozpoczął się w roku 2000 i trwa do dzisiaj. Twierdzenie, że program Rodzina 500+ nie działa, to zaklinanie rzeczywistości. Nawet nasi polityczni przeciwnicy obiecują, że w przypadku wygranych wyborów utrzymają program. Chociaż, jak pokazuje doświadczenie z poprzednich lat, ich wiarygodność pozostawia wiele do życzenia.

Jednak w minionym roku urodziło się mniej dzieci niż w 2017 r.



To będzie 1–2 tys. mniej. Ale musimy pamiętać o tym, co powiedziałam, tzn. w 2018 r. kobiet w wieku prokreacyjnym jest o 105 tys. mniej niż w roku poprzednim. Spadek liczby urodzin pierwszych dzieci wynika ze struktury demograficznej kobiet. Ta zapas utrzyma się przez kilka lat, bo roczniki wyżu lat 80. już wkraczają w okres poprodukcyjny. Warto jednak zadać pytanie, co by było, gdyby nie było 500+? Dziś na pewno rodzi się więcej drugich i trzecich dzieci i jest to wzrost liczby urodzeń najwyższy od 20 lat.

Niektórzy twierdzą, że dzisiaj 500 zł to za mało. Będą podwyżki?

Narracja, że wszystko drożeje, a w związku ze wzrostem cen 500 zł miesięcznie na dziecko to mało, jest nieprawdziwa. W pierwszym roku działania programu Rodzina 500+, czyli w 2016 r., mieliśmy deflację, czyli ceny spadały. 2018 był drugim rokiem inflacji – i to niewysokiej. Możemy się zastanawiać nad podniesieniem progu kryterium dochodowego przy przyznawaniu świadczenia na pierwsze dziecko. Minimalne wynagrodzenie za pracę rośnie, a my nie zamierzamy pozwolić na to, by dwuosobowa rodzina straciła świadczenie z tego tytułu. Nie zgadzam się natomiast z tezą, że 500+ nie spełnia swojej funkcji i jest niewystarczające.

A co pani powie o pojawiającym się medialnie zarzucie o oszczędzaniu na programie przez niewypłacanie świadczeń tym samotnym matkom, które nie wystąpiły o alimenty od drugiego rodzica.

Nic takiego się nie zdarzyło. Nie było żadnych zmian w przepisach (poza tymi wprowadzonymi już ponad rok temu) ani żadnych prób oszczędności. Niektóre media atakują nas już rytualnie i zaczynamy się przyzwyczajać. Chodzi o to, żeby wprowadzać stan niepokoju wśród rodzin i straszyć je złym ministerstwem. Samotnych rodziców wspieramy znacznie bardziej niż koalicja PO-PSL.

Ile dzieci korzystało z programu w 2018 r.?

We wrześniu 2018 r. uprawnionych do świadczenia było 3,76 mln dzieci.

Od początku nowego roku miał wejść w życie program Mama 4+. Nie udało się. Dlaczego?

To ogromne przedsięwzięcie, które wymaga spokojnej i rozsądnej analizy. Na etapie konsultacji zgłoszono bardzo dużo uwag do projektu. Jak państwo wiedzą, od projektu do wprowadzenia rozwiązania jest kilka etapów procesu legislacyjnego, nie da się tego zrobić z marszu. Szacujemy natomiast, że realnym terminem wejścia w życie programu jest marzec 2019 r.

Ile matek obejmie program, ile będzie kosztować?

Chcę przypomnieć, że tzw. matczyne emerytury, po spełnieniu pewnych warunków, będą przysługiwać również ojcom, którzy z przyczyn losowych podjęli się samotnej opieki nad co najmniej czwórką dzieci i w związku z tym nie udało im się wypracować minimalnej emerytury. Z naszych wyliczeń wynika, że programem Mama 4+ może zostać objętych około 85,5 tys. osób. Będzie to kosztowało ok. 916 mln zł.

Ekspertki zgłaszają niesprawiedliwość, polegającą na tym, że mamy, które wychowały czworo dzieci i wypracowały sobie emeryturę, będą potraktowane niesprawiedliwie w stosunku do tych, które tej emerytury nie wypracowały.

Do tej pory kobiety, które nie pracowały i wychowywały dzieci, żyły poza systemem. My po prostu chcemy im zapewnić byt na minimalnym poziomie. Uratować je przed brakiem jakiegokolwiek śniadania. Nie chcemy, by musiały korzystać z pomocy społecznej. Czy to jest niesprawiedliwe?

Skoro jesteśmy przy temacie emerytur, to emeryci najmniej korzystają na dobrej zmianie.

W 2018 r. emerytury i renty wzrosły o 2,98 proc., co oznaczało jeden z wyższych wzrostów świadczeń w ostatnich latach. W przyszłym roku świadczenia emerytalno-rentowe wzrosną o 3,26 proc. – jednak nie mniej niż 70 zł. Od 1 marca 2019 r. najniższa emerytura, renta z tytułu całkowitej niezdolności do pracy oraz renta rodzinna i socjalna wzrosną do 1,1 tys. zł. Nie twierdzę, że są to kwoty satysfakcjonujące. Mam nadzieję, że dzięki podejmowanym przez rząd działaniom polepszy się jakość życia nie tylko emerytów i rencistów, lecz także całego społeczeństwa. Statystyki pokazują, że sytuacja emerytów znajdujących się w najtrudniejszej sytuacji życiowej poprawiła się w okresie ostatnich trzech lat. Wskaźnik zagrożenia ubóstwem skrajnym w 2017 r. zmalał o 0,6 p. proc. w porównaniu z rokiem 2015 (z poziomu 5 proc. do 4,4 proc.).

A jeśli chodzi o pozostałych seniorów...

Tutaj również działo się wiele. Rok 2018 to rekordowe wydatki na tworzenie Dziennych Domów i Klubów „Senior+”. W 2018 r. budżet programu to 80 mln zł. Taka sama pula środków została już zabezpieczona w projekcie budżetu na 2019 r. To 384 gminy, które biorą udział w programie Opieka 75+. Dzięki temu najstarsi seniorzy z tych gmin mają ułatwiony dostęp do usług opiekuńczych, również tych specjalistycznych. To także blisko 450 tys. osób, które w latach 2016–2018 skorzystały z oferty zajęć kulturalnych czy edukacyjnych uruchomionych dzięki środkom z Rządowego Programu na rzecz Aktywizacji Społecznej

Osób Starszych. W 2019 r. na program przeznaczymy 40 mln zł.

Dobrze, a co z bezrobociem? Prognozy wykazują, że w 2019 r. nie będziemy już odnotowywać większych spadków.

Rzeczywiście, nie będą to już tak spektakularne spadki. Odpowiedź na to pytanie jest prosta – zbliżamy się do tzw. granicy bezrobocia naturalnego. W każdej gospodarce jest bowiem tak, że pomimo wysokiego zapotrzebowania na pracowników zawsze istnieje pewna liczba osób, które poszukują pracy lub też mają trudności z jej znalezieniem. Powodów może być wiele, np. wykształcenie, umiejętności, oczekiwania placowe czy miejsce zamieszkania. Dużo mówimy o spadku bezrobocia, ale gdzieś umyka nam inny ważny fakt – rekordowa liczba osób aktywnych zawodowo. W 2017 r. średnia liczba pracujących wyniosła 16,4 mln osób. Z najświeższych danych wynika, że w trzecim kwartale 2018 r. liczba pracujących osiągnęła rekordowo wysoki poziom – ponad 16,6 mln osób. Bardzo nas to cieszy.

33 proc. firm chce zwiększyć w 2019 r. zatrudnienie. Pytanie tylko, skąd wezmą pracowników? Polskich rąk do pracy brakuje, Ukraińcy mogą niebawem wyjechać...

Ciągle mamy niewykorzystane zasoby krajowe. Mamy pewną grupę biernych zawodowo, mamy trwale bezrobotnych, którym trzeba pomóc wrócić na rynek pracy, mamy grupy 50+ i 60+, które można wykorzystać. Mamy na rynku sporo Ukraińców i Białorusinów...

Ale oni mogą wyjechać do Niemiec.

Polska jest im bliższa kulturowo, liczymy, że jednak nie będą tak chętnie wyjeżdżać, jak się wydaje. W Polsce łatwiej im się zintegrować.

Pracodawcy chętnie by sięgnęli po pracowników z Bangladeszu, Nepalu, Indii czy Filipin.

Liczba pracowników z tych krajów jest niewielka i nie planujemy otwarcia rynku na te kierunki.

Były takie pomysły, żeby pracownikom z tych egzotycznych krajów wydłużyć pobyt tymczasowy z trzech do pięciu lat.

Takie pomysły były, ale rząd się z nich wycofał i w tej chwili nie ma takich planów.

Realnym terminem wejścia w życie programu tzw. matczynych emerytur jest marzec 2019 r.

Od 1 grudnia ubiegłego roku wszystkie zwolnienia lekarskie miały być wystawiane drogą elektroniczną. Jak pani ocenia realizację tej reformy?

To ogromne przedsięwzięcie, któremu wielu nieżyczliwych nie wróżyło powodzenia. Wbrew czarnym scenariuszom mamy sukces. Mniej niż 1 proc. zwolnień, z różnych przyczyn, wystawianych jest papierowo. Mogę jasno powie-

dzied, że się udało. Chcę podziękować zarówno lekarzom, jak i Zakładowi Ubezpieczeń Społecznych, który spisał się na medal.

Niedawno mogliśmy usłyszeć, że ZUS zrezygnował z 2 mld zł dotacji z budżetu państwa do Funduszu Ubezpieczeń Społecznych. Jest tak dobrze?

Chcę podkreślić, że w sumie w 2018 r. ZUS zrezygnował z 10,5 mld zł z budżetu państwa – i tak, mogę powiedzieć, że sytuacja FUS jest dobra, lepsza, niż przewidywaliśmy. Wpływy ze składek są wysokie, więc rozwiewam obawy – nie zabraknie pieniędzy ani na emerytury, ani na inne świadczenia. Może jeszcze warto powiedzieć na koniec o ogromnym ułatwieniu dla przedsiębiorców, jakim było wprowadzenie z początkiem 2018 r. e-składki. Od tej pory zamiast czterech czy pięciu osobnych przelewów przedsiębiorcy wpłacają składki na jeden indywidualny rachunek. I tak od stycznia do połowy grudnia na indywidualne numery rachunków składkowych w ZUS wpłynęło 251,6 mld zł. To blisko 14 mld zł więcej niż w tym samym okresie ubiegłego roku! Co więcej, przez niecałe 12 miesięcy przedsiębiorcy przy okazji wpłat składkowych popełnili zaledwie 342 błędy. W tym samym okresie 2017 r. błędów było 271,7 tys. To świadczy o skuteczności nowego rozwiązania.



Gra polskich firm z zagranicą o miliardy

Wartość rynku świadczeń pozapłacowych w Polsce przekroczyła w 2018 r. 12 mld zł.

Nic dziwnego, że ta gigantyczna suma zwabiała do naszego kraju zagranicznych potentatów z branży fitness, gdyż dostęp do klubów sportowych jest jednym z najchętniej oferowanych świadczeń przez pracodawców. Niepokój budzi to, że modus operandi obcych koncernów, stawiających na bezobsługowe centra fitness, może doprowadzić do upadku wiele polskich klubów, które dziś zapewniają kilkadziesiąt tysięcy miejsc pracy



Rynek pracownika, jak eksperci określają warunki niskiego bezrobocia i deficytu specjalistów, zasadniczo nie jest korzystny dla przedsiębiorców. Nie dla wszystkich jednak. Firmy działające w segmencie świadczeń pozapłacowych – głównie sprzedające abonamenty medyczne i sportowe – notują zwiększone obroty. Dziś bowiem ich produkty są niemal standardowym dodatkiem do pensji oferowanym przez pracodawców. W 2018 r. 71 proc. ankietowanych przez firmę Sedlak & Sedlak stwierdziło, że w ich miejscach pracy zatrudnionym przysługują świadczenia dodatkowe. Korzysta z nich 90 proc. pracowników.

DYNAMICZNY ROZWÓJ I WIELKIE REZERWY

Z ogłoszonego właśnie raportu ARC Rynek & Opinia (przygotowanego na zlecenie Benefit Systems) wynika, że wartość rynku świadczeń pozapłacowych w ciągu ostatniego roku wzrosła o 8 proc. do kwoty 12,2 mld zł. Niewątpliwie wpłynął na to wzrost kwoty zwolnienia z podatku dochodowego PIT świadczeń finansowanych ze środków Zakładowego Funduszu Świadczeń Pracowniczych z 380 zł do 1 tys. zł, ale dominującym czynnikiem jest jednak rywalizacja o pracownika. W 2018 r. budżety motywacyjne wzrosły w co trzeciej firmie (31 proc.), a średnia kwota przeznaczona rocznie na świadczenia pozapłacowe na jednego pracownika wyniosła aż 1995 zł.

Jednak odnotować trzeba, że nawet pomimo szybkiego rozwoju w ostatnich latach wciąż jedynie niewielka część środków w dyspozycji pracodawców jest przeznaczana na świadczenia niegotówkowe. Niezmiennie największą pulę stanowi gotówka wypłacana przez zakłady pracy w ramach tzw. wczasów pod gruszą (aż 58 proc. pracowników – największy odsetek – wskazuje na dofinansowanie do urlopów jako benefit występujący w ich firmie).

Natomiast jeśli chodzi o świadczenia niegotówkowe, dominują dwie możliwości: abonamenty medyczne i karty sportowe. W pierwszej kluczowe pozycje na rynku ma dwóch zagranicznych potentatów. To LuxMed, będący częścią międzynarodowej Grupy Bupa (ponad 1 mln klientów w Polsce), oraz szwedzki Medcover (ok. 700 tys. klientów). Drugi segment – karty umożliwiające wstęp do klubów fitness, siłowni i pływalni w całym kraju – to stricte polski koncept wymyślony przez giełdowy Benefit Systems (blisko 1 mln użytkowników kart MultiSport). Drugim podmiotem na tym rynku jest znacznie mniejszy OK System, który w połowie tego roku został przejęty przez Medcover. Z punktu widzenia tych firm w Polsce mamy obecnie 16,5 mln pracujących, ale „tylko” 2,3 mln prywatnych ubezpieczeń medycznych i 1 mln posiadaczy kart sportowych. Do zagospodarowania pozostaje zatem gigantyczny rynek i nie może dziwić dynamika wzrostu w tych obszarach. A ta jest ogromna: w 2017 r. abonament

medyczny posiadało 30 proc. więcej osób niż rok wcześniej, podobnej skali dynamiką mogą się pochwalić operatorzy kart sportowych.

Według danych z raportu firmy Sedlak & Sedlak „Świadczenia dodatkowe w oczach pracowników w 2018 roku” od lat najpopularniejszym świadczeniem pozapłacowym dla pracowników są karnety na siłownię i do klubów fitness. W minionym roku benefit ten otrzymywało aż 46,5 proc. pracowników. Kolejne w rankingu jest ubezpieczenie na życie (38,3 proc.). Na trzecim miejscu znalazł się podstawowy pakiet opieki medycznej (36,5 proc.).

KONSOLIDACJA OFERTY

Dynamika wzrostów zachęca do inwestycji na polskim rynku. Transakcja przejęcia OK System (kilkadziesiąt tysięcy klientów kart sportowych) przez Medico-ver to przykład nowego podejścia i postrzegania branży. W miejsce oddzielnych segmentów kart sportowych i abonamentów medycznych tworzy się jeden: świadczeń pozapłacowych. Krok Medico-veru pokazuje, że pierwsze podmioty już postrzegają rynek bardziej holistycznie w kategoriach nie tylko sportu i rekreacji, lecz także jako miliardy do wzięcia z funduszy świadczeń pozapłacowych. Dzięki transakcji Medico-ver uzyskał możliwość zaoferowania kompleksowej oferty: abonamentu medycznego i karty sportowej w jednym, co będzie nową jakością na rynku. Takie plany zresztą zapowiedział zarząd Medico-veru zaraz po przejęciu OK System.

Decyzja szwedzkiej firmy i jej czas nie są przypadkowe. Kluby fitness – główne obiekty, z których korzystają posiadacze kart sportowych – przeszły w ostatnim czasie w Polsce niemal rewolucję i przeobraziły się z pełnych sterydów siłowni garażowych w salony fitness w modnych galeriach handlowych i centrach miast. Zainteresowanie kulturą fit wśród Polaków powoduje otwieranie kolejnych klubów i sieci: obecnie mamy ich ok. 2,6 tys. (szacunki Deloitte). Dlatego zainteresowanie rynkiem przejawiają zagraniczni gracze. Do Polski weszli m.in. niemiecki McFit, brytyjski CityFit, duński Fitness World, niemiecko-austriacki Fit/One. Obecnie rynek jest bardzo rozproszony, największa sieć Calypso ma nieco ponad 50 klubów, ale łącznie zapewniają kilkadziesiąt tysięcy miejsc pracy.

To jednak wciąż niewielka skala działalności dla europejskich liderów. Brytyjski David Lloyd Leisure, działający także w 13 innych krajach w Europie, tylko w 2017 r. zanotował przychody w wysokości 483 mln euro. To kwota zbliżona do wartości całego polskiego rynku fitness.

Dzięki integratorowi usług i pośrednikowi między obiektami sportowymi i użytkownikami, jakim jest Benefit Systems, rynek klubów fitness pozostaje bardzo rozproszony.

Karty umożliwiające wstęp do klubów fitness, siłowni i pływalni w całym kraju – to stricte polski koncept wymyślony przez giełdowy Benefit Systems

Ma to niewątpliwie swoje zalety. Deloitte w swoim raporcie wprost konkluduje: rynek fitness w Polsce rośnie dzięki kartom sportowym. W rezultacie mamy kilka tysięcy firm należących do polskich przedsiębiorców, którzy łącznie tworzą kilkadziesiąt tysięcy miejsc pracy. W dodatku często są to pierwsze miejsca pracy dla młodzieży wchodzącej dopiero na rynek. Międzynarodowe sieci dążą zaś do automatyzacji obsługi klubów. W połączeniu z działalnością Benefit Systems cała branża wypracowała specyficzny, oryginalny model funkcjonowania i rozwoju, który jest obecnie zagrożony przez ekspansję zagranicznych firm i ich dążenie do zmiany modelu świadczeń pozapłacowych w Polsce.

Dobrym przykładem „zawłaszczania rynku” jest francuskie Sodexo. Firma wypracowała sobie mocną pozycję, oferując karty podarunkowe, bony zakupowe oraz karty lunchowe. Sodexo działa na wielu rynkach, ale znamienity jest przykład Węgier, gdzie zdobyło dominującą pozycję i dziś praktycznie nie ma konkurenta w sektorze świadczeń pozapłacowych, a pracownicy mogą wybierać między bonami zakupowymi a kartami podarunkowymi.

SPÓR 4 PROC. RYNKU

Niespodziewanie w procesie przeobrażania się rynku świadczeń pozapłacowych ważną rolę może odegrać UOKiK. Urząd od czerwca 2018 r. prowadzi postępowanie przeciwko firmie Benefit Systems w sprawie prób ograniczania konkurencji na rynku fitness. Wcześniej urząd kierowany przez Marka Niechciała uniemożliwił spółce przejęcie sieci klubów fitness Calypso. Sprawa z punktu widzenia ograniczania konkurencji jest co najmniej dziwna. UOKiK oskarża bowiem Benefit Systems i zależne od spółki kluby fitness o stworzenie kartelu, który miałby ograniczać możliwość działania innym podmiotom. Z tym że rzekoma zmowa dotyczy zaledwie 100 klubów spośród 2,6 tys. działających w Polsce. Nic dziwnego, że UOKiK właśnie przedłużył postępowanie w tej sprawie i poinformował spółkę, że przeciągnie się ono co najmniej do kwietnia 2019 r. Urząd stoi bowiem przed wyzwaniem udowodnienia istnienia kartelu, który skupiał... 4 proc. rynku.

Tymczasem odbywa się proces równoległy, w którym zagraniczny kapitał monopolizuje rynek świadczeń pozapłacowych w Polsce. Firmy do tej pory działające na rynku zdrowia (karty medyczne jako świadczenia pozapłacowe) przejmują firmy oferujące świadczenia sportowe. Powoduje to zmniejszenie wyboru dla klienta, a w sytuacji braku reakcji odpowiednich instytucji państwowych może doprowadzić do zdominowania rynku świadczeń pozapłacowych przez zagraniczne koncerny dysponujące kapitałem pozwalającym na „wypchnięcie” z niego rodzimych przedsiębiorców.

Kajetan Kutnowski

Stulecie pobudziło także świadomość polskich przedsiębiorców

Stulecie to mnóstwo decyzji firm i przedsiębiorstw, od marketingowych przez inwestycyjne aż po... reklamę. Może właśnie dzięki jubileuszowi pojęcie narodowości, kraju pochodzenia produktu, usługi, producenta trafiło na stałe do gospodarki? Wiele firm, choćby PLL LOT, buduje dziś wizerunek właśnie w oparciu o to, że są z Polski



Fot. M. Czajko

Początek roku to naturalny czas na podsumowania ostatnich 12 miesięcy, zatem w kolejnym programie „Kapitał ma narodowość” rozmawialiśmy o najważniejszych wydarzeniach 2018 r. Za nami jubileuszowy rok stulecia odzyskania niepodległości, więc wspólnie z Marcinem Roszkowskim, prezesem Instytutu Jagiellońskiego, spróbowaliśmy na antenie telewizji wPolsce.pl podsumować, jakie znaczenie miało lub mogło mieć to historyczne wydarzenie w działaniach podejmowanych przez przedsiębiorców

S tulecie i liczne, częste nawiązania do 20-lecia międzywojennego otworzyły szanse na rozpoczęcie historycznych inwestycji, dały nam wszystkim pewne ożywienie, może odwagę – częściej i chętniej rodzime firmy podkreślały swoją polskość...

„Trzeba powiedzieć, że w 20-leciu międzywojennym udało się rozwinąć kilka istotnych projektów infrastrukturalnych. Niektóre z nich ustawiły Polskę wśród liderów ówczesnego, rozwi-

jającego się świata. Mam na myśli choćby port w Gdyni” – mówił Marcin Roszkowski. „Warto też zastanowić się dziś, które elementy rozwojowe są rolą państwa, a które należy przypisać do przedsiębiorców. Na pewno właśnie kwestie infrastrukturalne trudno sfinansować wolnym rynkiem. Już Adam Smith mówił, że drogi bite to właśnie rola państwa, zatem infrastruktura jest elementem, który buduje państwo. My też mamy złe doświadczenia, choćby z budowy autostrad przez przedsiębiorców”.

INFRASTRUKTURĘ ZAPEWNIĄ PAŃSTWO

Drogi, autostrady, infrastruktura transportowa – takie inwestycje jak Via Baltica, rozbudowa infrastruktury przesyłowej gazu czy energii elektrycznej, gazoport w Świnoujściu – to dobre przykłady inwestycji, które są rolą państwa.

„To także projekty takie jak Centralny Port Komunikacyjny, który jest ogromnym wyzwaniem na lata” – wyjaśniał gość programu „Kapitał ma narodowość”. „Amerykanie mają takie dość pogardliwe określenie na tereny pomiędzy Wschodnim a Zachodnim Wybrzeżem – flyover country. To takie miejsce, gdzie nic się nie dzieje. Do tej pory Polska była takim właśnie miejscem między Berlinem a Moskwą. Postawienie na rozbudowę infrastruktury Północ–Południe i budowa CPK inaczej rozkładają akcenty transportowe, komunikacyjne i rozwojowe. Bez infrastruktury bardzo trudno jest rozbudować przemysł, usługi czy inne elementy działalności gospodarczej, więc ta inwestycja jest z pewnością korzystna” – mówił Roszkowski.

Port Solidarność może być zatem swego rodzaju pamiątką po jubileuszu stulecia odzyskania niepodległości. Innym mogą być ważne umowy na dostawy gazu LNG podpisane przez PGNiG z dostawcami z USA. „Trzeba wyraźnie pokazać, gdzie takie inwestycje znajdują się w całym, skomplikowanym organizmie gospodarczym. Otwarcie na morze poprzez rozbudowę przepustowości gazoportu do 7,5 mld m³ gazu rocznie, ale też budowa gazociągu Baltic Pipe – to elementy prowadzące nas do przyspieszenia transformacji energetycznej. Ponieważ gazu będziemy w przemyśle potrzebowali bardzo dużo, rolą państwa jest właśnie budowa odpowiedniej infrastruktury” – podkreślał gość telewizji wPolsce.pl.

IMPULSY ROZWOJOWE

To duże inwestycje – dziejowe, ale stulecie to także mnóstwo mniejszych decyzji firm i przedsiębiorstw, od marketingowych przez inwestycje aż po... reklamę. A może właśnie dzięki jubileuszowi pojęcie narodowości, kraju pochodzenia produktu, usługi, producenta trafiło na stałe do gospodarki? Wiele firm zaczęło budować wizerunek właśnie w oparciu o to, że są z Polski.

„Przypominam sobie, jak na początku lat 90. wielu moich kolegów nosiło koszulki Bundesligi. To było trendy, bo wyzwaniem było to, co się dzieje za zachodnią granicą. Dziś nikt nawet nie myśli, żeby dystrybuować koszulki niemieckiej ligi piłkarskiej w Polsce. To się zmieniło, bo jesteśmy dumni, że budujemy nie tylko polską gospodarkę, lecz także społeczność, która ma swoje aspiracje i cele” – wyjaśniał Roszkowski. „Nauczyliśmy się też zarabiać pieniądze. Jesteśmy dumni z naszej historii i potrafimy budować biznes. Niekoniecznie państwowy. Państwo może dawać tu jednak pewne impulsy, wsparcie, choćby poprzez sektor bankowy, w którym – jak się przekonał – narodowość ma znaczenie. Jesteśmy coraz bardziej świadomi i dumni z tego, że mamy polskie produkty, że Polacy potrafią konkurować na globalnym rynku”.



Fot. MAC

Port w Gdyni to inwestycja wielokrotnie przywoływana w jubileuszowym roku. Analogie budowy Portu Solidarność – nowego centrum transportowego w środkowej Europie z inwestycją z lat 20. w najnowocześniejszy port na Bałtyku, wydają się oczywiste

INWESTOR ZAGRANICZNY NIE JEST ZŁY

Czy zatem państwo powinno szczególnie wspierać polskich przedsiębiorców? To naturalne, że banki i wiele instytucji finansowych oferują produkty wsparcia kierowane właśnie do rodzimego biznesu. Pytanie jednak, co z inwestorami i przedsiębiorcami, produktami, usługami z zagranicy.

„To nie jest tak, że inwestorzy zagraniczni zawsze są źli. Gdy kapitał zagraniczny przynosi know-how, chce rozwijać pewne technologie w Polsce, jest to korzystne. To nie jest początek lat 90., gdy byliśmy w stanie wszystko sprzedać, by załatać dziurę w budżecie. Dziś potrzebujemy zdiagnozować te obszary, w których rozwój technologiczny jest nam niezbędny, zaprosić takich inwestorów, którzy przyniosą nam nie tylko pieniądze, lecz i technologię właśnie” – wyjaśniał Roszkowski. „Niekoniecznie potrzebujemy partnerów prowadzących choćby handel wielkopowierzchniowy. To nie jest nic skomplikowanego. Zapraszamy inwestorów zagranicznych, firmy, które chcą w Polsce rozwijać działy badań i innowacji. Na tym nam zależy, bo chcemy stać się krajem rozwijającym technologie. Co więcej – stać nas na poszukiwanie najbardziej korzystnego modelu współpracy z partnerami zagranicznymi. Jeśli mamy sektory w gospodarce, w których 80 proc. podmiotów nie płaci podatków, a korzysta z naszej infrastruktury, to nie ma w tym nic korzystnego. Jeszcze raz powtarzam – nie wszyscy zagraniczni inwestorzy są źli, ale świadomość polskiego kapitału jest coraz wyższa i powinniśmy ją konsekwentnie budować”.

(mac)

„KAPITAŁ MA NARODOWOŚĆ” to cykl 10 programów publicystycznych na antenie telewizji wPolsce.pl emitowanych w każdą środę. Najciekawsze wątki rozmów w studiu przenosimy na łamy tygodnika „Sieci” w pięciu publikacjach. Zapraszamy widzów i czytelników do oglądania kolejnych odcinków cyklu, w którym poruszamy temat narodowości kapitału, inwestycji, współpracy państwa, biznesu i instytucji finansowych.

*Hit tygodnia*

McLaren z widokiem na chmury



McLaren 720S Spider to nowe (zapewne) marzenie niejednego fana motoryzacji. Marzenie nie tylko ze względu na cenę (273 tys. euro, czyli ok. 1,3 mln zł), lecz m.in. na rozkładany dach. Ale nie taki zwykły, tylko wykonany z elektrochromatycznego szkła, za sprawą którego kierowca może regulować ilość światła wpadającego

do wnętrza samochodu. Co poza tym? Auto waży 1 332 kg, do setki potrzebuje 2,8 s, a prędkość maksymalna wynosi 325 km/h, również ze złożonym dachem. Żeby jednak złożyć dach, należy zwolnić do nie więcej niż 50 km/h i poczekać ok. 11 s. No ale po co składać dach, skoro możemy sobie wyregulować jego jasność?

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Wsumie to mogło być do przewidzenia. Jeździmy jednymi z najstarszych aut w Europie – wynika z raportu Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Samochodów ACEA. Choć stopniowo sytuacja ulega poprawie, to w rankingu Starego Kontynentu zajmujemy 17. miejsce na 25 krajów branych pod uwagę. Średni wiek auta w Polsce to 13 lat. Za nami są kraje bałtyckie, starszymi autami od nas jeżdżą także Grecy, Węgrzy, Chorwaci i Czesi. Co ciekawe, najmłodszymi pojazdami w Europie mogą się pochwalić mieszkańcy Luksemburga. Mają one średnio 6 lat i 3 miesiące.

Trochę nam umknęło, więc nadrobiamy zaległości. Powstała gra, w której możemy się wcielić w znanych skądinąd Jeremy'ego Clarksona, Richarda Hammonda i Jamesa Maya. Produkcja nazywa się „The Grand Tour Game”. Stworzył ją Amazon na konsole PlayStation 4 i Xbox One.

Skoro już jesteśmy przy Clarksonie i spółce, to teraz nieco świeższe wiadomości. Jeremy Clarkson wybrał najlepsze auto roku – Lamborghini Huracan Performante. Ale brytyjski dziennikarz wybrał również najgorszą piątkę aut roku. I ten niezbyt chlubny

tytuł otrzymały: Abarth 695 Rivale, Audi Q8, Dacia Duster, Mini 1499 GT, Volvo V60.

WNiemczech walka o czyste powietrze jest już bardzo zaawansowana. Jednakże co zrobić z dieslami, które mają zakaz wjazdu? Znalezione na to sposób – modernizacja starych silników Diesla. Jednakże – jak informuje Agencja Reutera – lepszym rozwiązaniem byłaby wymiana samochodów na nowsze, przynajmniej według producentów.

Przygotował Paweł Gadaczek



Hit tygodnia

Blackmagic Pocket Cinema Camera 4K

Panasonica i Olympus, ze względu na jego „otwartość” wiele firm trzecich produkuje obiektywy do kamer i aparatów fotograficznych z tym tzw. bagnetem). W Blackmagic Pocket Cinema Camera 4K zamontowano matrycę o rozdzielczości 4 096 × 2 160 pix (pozwala na nagrywanie w 4K). Urządzenie wspiera technologię HDR i może korzystać z funkcji dual ISO (do 25 600). Urządzenie pozwala nagrywać filmy w jakości 4K przy 60 kl/s lub Full HD przy 120 kl/s, specjalny przycisk zaś pozwala na szybkie wykonanie zdjęć. Blackmagic Pocket Cinema Camera 4K umożliwia nagrywanie na zewnętrzne nośniki za pomocą portu USB-C. Urządzenie posiada także port HDMI, wejście mini XLR, wejście audio 3,5 mm oraz gniazdo słuchawkowe, a także złącze zasilania prądem stałym.

Cena: ok. 6 tys. zł

Firma Blackmagic w świecie osób zajmujących się filmowaniem to uznana marka. Blackmagic Pocket Cinema Camera 4K to model, który może zadowolić zawodowo zajmujących się filmowaniem, jak i amatorów czy vlogerów. Kamere,

przede wszystkim ze względu na niewielkie rozmiary, można nosić w małej torbie, a ze względu na możliwość zmieniania obiektywów – w systemie Micro 4/3 – zmieści się również kilka „szkieł” (Micro 4/3 to bezlusterkowy następca systemu 4/3, stworzony przez

Plusy i minusy

- + wszystko w jednym małym urządzeniu, co potrzebne do filmowania
- jeżeli są, to naprawdę niewielkie

Huawei Y7 Pro

Chińskie smartfony cieszą się całkiem sporym uznaniem nie tylko w Polsce, choćby ze względu na dobrą relację ceny do jakości. Huawei Y7 Pro (2019) to telefon właśnie z tej kategorii. Ma 6,26-calowy ekran o rozdzielczości 1 520 × 720 pix, 8-rdzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 450 z grafiką Adreno 506 i 3 GB RAM. Pamięć to 32 GB, którą można rozszerzyć o karty micro SD. Jeśli chodzi o możliwości wideo-fotograficzne, to smartfon dysponuje podwójną kamerą główną 13+2 Mpix oraz przednią – 16 Mpix. W urządzeniu znajdziemy także Bluetooth, Wi-Fi, LTE oraz dual SIM. Zabrakło co prawda czytnika linii papilarnych, ale jest rozpoznawanie twarzy. Telefon ma również całkiem przyzwoity akumulator o pojemności 4 000 mAh. Na razie nie wiadomo, kiedy smartfon pojawi się w Europie, ale od czego są sklepy internetowe, jeśli ktoś jest zainteresowany. Cena powinna nie przekraczać 150 euro.

Zapowiedź



Fossil Sport

Już po świętach i Nowym Roku, więc warto pomyśleć o... sporcie, by zrzucić zbędne co nieco, a najlepiej zacząć od kupienia zegarka sportowego (i nie poprzestać na kupnie). Co można powiedzieć o tym smartwatchu? Przede wszystkim został wyposażony w nowy procesor Snapdragon Wear 3100, za sprawą którego system Wear OS pokaże swoje możliwości. Co więc potrafi Fossil Sport? Mierzy tętno, liczy kroki, śledzi przebytą trasę dzięki wbudowanemu modułowi GPS. Możemy też za pomocą zegarka dokonywać płatności, a że to smartwatch, to i współdziała ze smartfonem (powiadomienia) oraz obsługuje różne aplikacje.

Cena: 255 dol.

Przygotował Paweł Gadaczek

Poezja... schabowego z kością

Uwielbiam jeść, co zresztą widać [śmiech], więc pierwsze skojarzenie, gdy słyszę „moje smaki” – i nie będę w tym chyba zbyt oryginalny – to jedzenie domowe, rodzinne. Potrawy, które gotowała i nadal gotuje moja mama, są dla mnie nie do przebicia. Chociaż jestem otwarty i na inne kulinarne doświadczenia. Gdy gdzieś wyjeżdżam, chętnie próbuję lokalnych dań.

Jestem autentycznie zakochany w Bałkanach. Bywałem w tym rejonie kilkakrotnie, w różnych miejscach i okolicznościach. I z grupą przyjaciół, i rodzinnie. To obszar smakowy, który bardzo mi odpowiada. Odkryłem tam m.in. pleskawicę.

W Warszawie jest coraz więcej miejsc, w których można zjeść potrawy z różnych stron świata. Warto po nie sięgać, choćby dlatego, by wrócić do polskich smaków i móc stwierdzić, że nasza kuchnia ma też wiele do zaoferowania.

Nie potrafię wymienić jednego dania, które lubiłem w dzieciństwie. Mama jest mistrzynią smaków (do dziś uwielbiam np. robiony przez nią pasztet; nigdzie nie spotkałem równie wyborczego). Nawet pozornie banalne dania, przygotowane przez nią, stają się kulinarnymi majstersztykami. Choćby kotlet schabowy z kością. Wprost... poezja smaku.

Miałem może sześć lat, gdy postanowiłem usmażyć dla mamy jajecznicę. Zebrałem, co się dało, żeby była jak najwspanialsza. Nie pamiętam wszystkich składników, ale były wśród nich też dosyć abstrakcyjne. Na patelnię trafił m.in. surowy ogórek. Mama okazała się nad wyraz wyrozumiała dla końcowego efektu. Nie zniechęciła mnie do dalszych działań. Dzięki temu, jak sądzę, dziś radzę sobie w kuchni zupełnie nieźle. Tylko czasu brakuje, więc gotowanie staje się trochę przyjemnością odświętą.

Mam popisowe danie. Bardzo proste, ale efektowne. To kurczak w porach. Często jestem przez przyjaciół czy kolegów proszony o jego przygotowanie. Nawet na przedświąteczne spotkanie, choć to mało wigilijna potrawa. Traktowana jest jednak jak rarytas.

Potrafię docenić różnorodne dania, a także, dodając im walorów atmosferę spotkań przy stole – z bliskimi i przyjaciółmi. Jednak „moje smaki”, gdy rozumiem je szerzej, to dla mnie też wszystko, co doprawione humorem. Jestem rozsmakowany w rzeczach komediowych, budujących dobry nastrój. Wykonując swój zawód, staram się to właśnie proponować: zarówno grając policjanta Paruzela w „Ojcu Mateuszu”, jak i współtworząc swój teatr Ekipa. Humoru nie zabraknie także w naszej najnowszej premierze „Miłość szuka mieszkania” (choćby realia, w których rozgrywa się akcja, nie są najłatwiejsze). Sztukę Jerzego Jurandota wystawiamy gościnnie w teatrze WARSawy. Serdecznie na nią zapraszam. 

Jolanta Gajda-Zadźworna

Bigos nie tylko świąteczny

Składniki: Taka sama ilość kapusty i mięsa. Przyprawy: ziele angielskie, liście laurowe, pieprz czarny.

Dodatki: grzyby suszone, polskie wędzone śliwki. Mięso: łopátka wieprzowa, karkówka, udziec indyjski, boczec wędzony lub surowy (wszystkie mięsa chude).

Wykonanie: Przesmażyć mięsa tak, aby dobrze się zamknęły, wszystkie oddzielnie. Przełożyć do dużego garnka, dodać przyprawy i grzyby. Pokroić kapustę kiszoną, dodać do mięsa. Nie płukać. Dusić ok. 2 godzin. Dodać śliwki wędzone, jeśli kapusta kwaśna to więcej. Dla amatorów: można dodać jałowiec i czerwone wino. Dusić jeszcze na małym ogniu około godziny. Przez kolejne trzy dni podgrzewać przez ok. 1/2-1 godziny, pamiętając o dokładnym mieszaniu. 

Fot. Shutterstock, Gajda/ZAKPA



Zakiś to w domu

ANNA MONICKA

Przejedzeni po świętach? Ponad tygodniowa labą, składająca się z kilku dni spędzonych za stołem, może dać człowiekowi w kość, zwłaszcza gdy nie skorzystało się z okazji i nie wskoczyło zaraz na narty. Nic tak dobrze nie robi na ociążalność brzusznej jak dieta JP lub JPP, czyli jedz połowę lub połowę połowy. Albo – naturalne, najlepiej fermentowane w domu warzywa. Takie kiszonki to o tej porze roku prawdziwe dobrodziejstwo dla żołądka i jelit. Warto je porobić samemu w domu, bo na 100 proc. nie znajdziesz w nich octu spirytusowego tylko żywe bakterie probiotyczne utrzymujące w dobrej formie naszą florę jelitową. Ale to nie wszystko, fermentowane jedzenie jest bogatsze w witaminy, które powstają w czasie kiszenia, łatwiej je wykorzystujemy i przyswajamy.

Załóżę się, że wszystko, co potrzebne do zabawy w kiszenie, masz w domu. Warzywa, owoce, sól morską, wodę i słój, najlepiej ze specjalnym zaworem, dzięki któremu gaz wytwarzany przez drobnoustroje będzie miał którędy uciec. Zwykły zakręcany słój trzeba codziennie odkręcić, żeby nie eksplodował.

Najprostsza i z długimi tradycjami w Polsce jest kiszona kapusta, ale zróbcie ją po nowemu. Pokrojone w paseczki liście mniej więcej kilogramowej główki (bez głąba, w którym kumulują się zanieczyszczenia wysane przez warzywo z ziemi) zmieszajcie z dziesięcioma plasterkami imbiru, pięcioma porządnie wyszorowanymi ekologicznymi cytrynami pokrojonymi razem ze skórką w plastry, łyżką gorczycy i garścią soli. Pozwólcie soli trochę podziałać, a potem układajcie na przemian kapustę z imbirem i cytrynami. Warzywa dobrze ugniatajcie, na koniec ulóżcie na górze liść i obciążcie płaskim kamykiem. Słoją nie trzeba dokręcać, ale ustawić na tacce, bo kapusta pracuje. Tak samo przygotowujecie kapustę z marchwią i czosnkiem, tarte lub krojone w talarki buraczki z czosnkiem i jałowcem (zalewamy je soloną wodą – dwie łyżki na pół litra, podobnie jak tarte cukinie, i lekko dokręcamy). Doskonale smakuje kiszona w takiej zalewie kalarepa z koprem.

Możesz też zrobić sobie domowy cydr – dwa-trzy jabłka zalewasz litrem wody osłodzonej 10 ml miodu i stawiasz w ciepłe. Słojem trzeba codziennie potrząsnąć, a po tygodniu przełać płyn do czystego słoja. Dojrzewa przykryty ręcznikiem papierowym. ▀



Biomasa

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jeżeli chodzi o kwestię wyżywienia ludzkości, to kluczowym zagadnieniem jest biomasa. Na podstawowe pytanie, gdzie znajduje się jej największa ilość, człowiek odpowiedział sobie już dawno, stając się rolnikiem uprawiającym rośliny (w tym nadzwyczaj energetyczne zboża). Według badań opublikowanych ostatnio przez amerykańską National Academy of Science, w których dla zobrazowania zagadnienia posłużono się jednostkami gigaton węgla (1 gigatona = miliard ton) jako podstawowego pierwiastka chemii organicznej, pośród ok. 550 gigaton węgla zawartego w całej ziemskiej biomase 82 proc. to rośliny. Dzięki zdolności fotosyntezy stanowią one pierwsze i podstawowe ogniwo łańcuchów pokarmowych. Pozostaje jednak jeszcze 100 gigaton węgla, a ich dystrybucja w przyrodzie, wskazująca w części na potencjalne kierunki wyżywienia ludzkości, nie jest wcale oczywista.

Aż 13 proc. biomasy to bakterie, 2 proc. grzyby, ponad 1 proc. archeony, czyli zaliczane wraz z bakteriami do organizmów bezjądrowych tzw. archeobakterie. 0,7 proc. to protisty (dla ułatwienia określimy je jako pierwotniaki).

Zwierzęta stanowią zaledwie niecałe 0,5 proc. biomasy kuli ziemskiej. Większość spośród nich zamieszkuje morza i oceany: morskie stawonogi to prawie połowa zwierzęcej biomasy Ziemi. Ryby to ponad jedna piąta. W ekosystemach lądowych masą dominują kolejno stawonogi (owady, pajęczaki, wije itp.), pierścienice (np. dżdżownice) i mięczaki.

Hodowane przez nas bydło to 0,02 proc. zwierzęcej biomasy, a my sami to 0,01 proc. Dzikie ssaki to ok. 1 promila, a dzikie ptaki – mniej niż pół promila.

Wartości te wskazują, dlaczego tak wielki potencjał w wyżywieniu planety mają rośliny oraz morza, a także dlaczego jest tak mało wielkich drapieżników – nie znalazłyby one w ziemskim ekosystemie wystarczającej ilości odpowiednio dużych ofiar.

Przechodząc ze skali makro na bardziej lokalną, warto zauważyć, że w typowym lesie naszej strefy klimatycznej, przy zdecydowanej przewadze biomasy roślinnej, na 1 ha lasu przypada przeciętnie zaledwie 0,2 kg zwierzyny płowej (saren i jeleni) i aż 600 kg dżdżownic, co wyjaśnia, dlaczego wielu drapieżców i wszystkożerców, np. borsuk, woli pokopać w ziemi, niż urządzać spektakularne łowy. ▀

Agnieszka Holland, pani uprzejma i dobrze wychowana, straciła na chwilę te cechy, gdy spotkała się z krytyką stworzonego pod jej nadzorem (a dwa odcinki są bezpośrednio jej autorstwa) serialu „1983”. Przestała na moment panować nad sobą i w odpowiedzi na opinie kwestionujące wybitność tego dzieła pozwoliła sobie rzucić na Facebooku tzw. mięsem.

Hipotezę, dlaczego Holland, jak mówili bohaterowie Wiecha, wyszła z nerw, podzielić się z czytelnikami pod koniec tego tekstu. Najpierw jednak króciutko o jej dziele, na wypadek jeśli ktoś jeszcze nie wie, co to jest ta pierwsza w skali planetarnej polskojęzyczna produkcja Netflix.

To historia alternatywna, dziejąca się w świecie, w którym w PRL komunizm nie upadł, tylko się przepoczwarzył w jakąś groteskową, niemniej jednak bardzo straszną dyktaturę. Ideowo dość nieokreśloną, choć dziwaczne, noszone przez jej funkcjonariuszy uniformy przypominające... czy ja wiem co, armię Hallera chyba najbardziej, sugerują coś narodowo-prawicowego.

Punktem zwrotnym w historii Polski miały być krwawe zamachy bombowe dokonane w tytułowym 1983 r. To one pchnęły kraj na złą drogę. W efekcie Polska w roku 2003 (wtedy dzieje się akcja) jest krajem zupełnie innym od tego, który jest nam znany: ekonomicznie w sytuacji lepszej, technologicznie wręcz plasujący się gdzieś w światowej innowacyjnej czołówce, za to sterroryzowany przez mundurową juntę. Coś jakby małe Chiny.

Osobiście jestem takim fanem historii alternatywnych, że trzeba bardzo dużo, żebym jakkolwiek całkiem odrzucił. Holland udało się jednak dokonać ze mną tej sztuki. Bo film jest, co tu ukrywać, denny. I wprost trudno wymienić wszystkie niedoróbki i błędy składające się na to, że nawet taki jak ja wielbiciel formuły ma trudności z dotrzymaniem do końca. Sztuczne dialogi. Złe aktorstwo, nawet w wykonaniu dobrych aktorów. Nielogiczności i zarazem naiwność akcji, jej chaotyczność i skomplikowanie wątków ponad ludzką wytrzymałość. Wreszcie, rażące tych, którzy tak jak ja pamiętają ten okres (ale przecież pamięta go również dobrze sama Holland... jak to możliwe, że pozwoliła na takie coś, pozostaje dla mnie zdumiewającą tajemnicą), nieprawdziwe i przegięte pokazanie Polski z początku lat 80. – z czasów „sprzed Wybuchów”, czyli z okresu kiedy alternatywna rzeczywistość jeszcze nie zaistniała. Niech wyobrażą

1983, czyli nigdy

PIOTR SKWIECIŃSKI



Wiemy już, jak według Agnieszki Holland powinna wyglądać historia Polski. Tak, żeby nie było utrudniających pojęcie dialektycznej prawdy półcieni

sobie państwo choćby scenę, w której na podziemne zebranie opozycjonistów wdzierają się, i nie przypadkiem tylko, jak wynikałoby z akcji, działając rutynowo, nie żadna tam bezpieka po cywilu, tylko... ZOMO w polowych mundurach, hełmach, z tarczami i długimi pałkami. Wcześniej polscy opozycjoniści ze stanu wojennego dyskutują między sobą o... Martinie Lutherze Kingu. Takich kwiatków jest tam naprawdę więcej.

Wszystko to razem spowodowało sytuację przez twórców filmu nieoczekiwaną. Oto pracownicy stworzyli świat, będący dla towarzystwa Holland czymś w rodzaju kwintesencji najgorszego zła. Bo serialowa Polska po 1983 r. to kraj, w którym monopartia komunistyczna sprzymierzyła się z Kościołem katolickim – czy może być coś bardziej odstręczającego?

Tak, można by zaryzykować tezę, według Holland powinna wyglądać historia Polski, bo ta nam znana z lat 80., ta realna z patriotycznymi księżmi i narodową antykomunistyczną zgodą tylko zaciemnia dialektycznie prawdziwy obraz głównych zagrożeń epoki.

A jeśli dodać, że serial jest naszpikowany aluzjami do PiS – to czy trzeba czegoś więcej, by zachwycić tzw. target...?

Otóż okazało się, że niestety trzeba. Bo scenariuszowo-filmowa nędza omawianej produkcji okazała się ponad siły nawet owej grupy docelowej.

Agnieszka Holland i jej współreżyserki (skądinąd – same panie) liczyły się z krytyką, chyba wręcz liczyły na nią. Ale na inną. Bo cóż mogłoby być świetniejszym klejnotem w ich koronie i przepustką do uznania na salonach niż fala ataków na serial z prawicowej strony? Że

depce świętości, że antypolski? Ech, byłoby tak pięknie... Wzdychały do tego i uważały taką reakcję za pewnik.

A tu takie rozczarowanie. Podwójne. Bo media prawicowe serialu albo nie zauważyły, albo obeszły się z nim wręcz łagodnie. Jeśli krytykując, to wyłącznie za błędy ściśle filmowe. Ideowych i w ogóle zasadniczych zarzutów nie podnosząc.

Mainstreamowe media zaroily się natomiast od kpín ze strony ideologicznie Holland bliskiej. Która to strona, mimo tej bliskości, nie potrafiła nie dostrzec nieudacznikostwa produkcji, momentami wyglądającej jak autoparodia. Ta reakcja jest skądinąd również przejawem zmiany pokoleniowej – oto uznane po tamtej stronie stare autorytety przestają już definitywnie być nienaruszalnymi świętościami.

Nie dziw, że w tej sytuacji Agnieszka Holland po prostu musiała rzucić mięsem.

Anno Domini 2019

Nie jestem odbiorcą sylwestrowych imprez i koncertów. Samo huczne obchodzenie końca roku średnio mnie bawi, a przyznam, że im mam więcej lat, tym bawi mnie mniej. Z czego tu się cieszyć, jak człowiek robi się coraz starszy? – w głowie pojawia się coraz częściej taka myśl. Pies się boi huków, a ostatnio nawet znajomych nie zapraszamy i przestaliśmy też (jak to mieliśmy w zwyczaju) witać nowy rok, tańcząc poloneza z przyjaciółmi i sąsiadami na środku naszej uliczki.

Zerkalem z ciekawości na różne propozycje telewizyjne, szczególnie przyglądając się telewizji publicznej. I muszę powiedzieć, że – chociaż bardzo daleko mi do tych gustów muzycznych – naprawdę pod względem realizacyjnym było świetnie. Co ciekawe, byliśmy lepsi od włoskiej telewizji publicznej, a także bardziej „włoscy”, mając przed północą ichni duet gwiazd, czyli Ala Bano i Rominę Power z ich wielkim przebojem „Felicità”, jako „truskawkę na torcie”, że użyję wyrażenia Hajty. Włosi np. tuż przed północą wpadli w chaos, zgubili jakiegoś faceta z orkiestry i mieli z pół minuty ciszy ratowanej przez prezentera



**Tomasz
Łysiak**

zgrabnymi żarcikami. Cały w tym urok Włochów, ale... no właśnie. Naprawdę u nas wstydu nie było! A że wykonawcy raczej tacy, co to się podobają niezbyt wymagającej publiczności? Pal sześć! Dla kogo w końcu jest sylwester, jeśli nie dla niej?

Ten, kto chciał, mógł w pierwszy dzień roku rozkoszować się tradycyjnym koncertem Filharmoników Wiedeńskich albo (co wybraliśmy w naszym domu) słuchać operowych przebojów nadawanych z Wenecji z Teatru La Fenice, odbudowanego ze zgliszczy po wielkim pożarze.

Najbardziej jednak mnie bawi w całym sylwestrowym szaleństwie to, że większość uczestników nawet się nie zastanawia nad tym, że zabawa, fajerwerki, sztuczne ognie i szampany w ogóle nie miałyby sensu, gdyby nie to, że 2019 lat temu narodził się Zbawiciel. I gdyby potem, przy okrągłych jubileuszach kalendarzowych zmian, nie świętowano tego, że świat się nie skończył i nie nadeszła Apokalipsa. Zawsze mam ochotę zapytać zadeklarowanych ateistów świętujących nadejście nowego roku, co tak naprawdę celebrują. I dlaczego.

Sączenie jadu

Właściwie my, Polacy, powinniśmy przeprosić, że istniejemy, a najlepiej, gdybyśmy dobrowolnie rozparcelowali nasz kraj pomiędzy sąsiadów. A tu nic, na odwrót, są tacy, którzy chcą być dumni z polskości i budują jakąś koszmarną, fałszywą „narrację”, jak ten wicepremier z tabletu. „Historycy nie chcą współpracować z muzeum Glinińskiego. »Zniekształcona narracja historyczna«” – alarmuje w tytule redakcja z Czerskiej, która w odróżnieniu od ministra dba o to, żebyśmy my, Polacy, nie odrywali się od ziemi.

Prawda jest mianowicie taka, że my, Polacy, masowo mordowaliśmy Żydów, donosiliśmy za pół kilo cukru, gdzie się ukrywali, zrywaliśmy ze zwłok ubrania, wyrzucaliśmy im złote zęby, grzebaliśmy palcami w łonach zabitych kobiet w poszukiwaniu złota, cieszyliśmy się, że z żydowskich trupów będzie dobre mydło... – przybliży gazeta. A teraz, zamiast bić się w piersi, PiS lansuje tezę, jakoby Polacy masowo ratowali Żydów. Cóż za absurd! Uniwersytecka wykładowczyni, pani dr Havi Dreifuss z Instytutu Yad Vashem, wyklada, że polski rząd stara się uzyskać „międzynarodową »i żydowską« aprobatę dla mylnej historycznej narracji”: zamiast w powstają-

cym w Warszawie muzeum przedstawić tragiczną historię getta, wicepremier Piotr Gliniński wymyślił sobie „muzeum 800 lat miłości między dwoma narodami” i – co gorsza – zobrazowanie bohaterstwa Polaków ratujących Żydów. Czyż nie skandal?

Polski „rząd przygarnia martwych Żydów”, dlatego Dreifuss nie będzie współpracować w tworzeniu muzeum ani „wzmacniać walki polskiego reżimu z polskimi badaczami, którzy nie dostosowują się do tego dyktatu”. W jej opinii „Żydzi polscy podczas Holokaustu (i przed nim) nie byli postrzegani jako przynależący do narodu polskiego ani przez polski rząd na uchodźstwie, ani przez polską delegaturę i ruchy skupione w podziemiu, a zwłaszcza przez szerokie kręgi polskiego społeczeństwa”. Przy muzeum ma powstać międzynarodowy zespół historyków pracujących nad stałą wystawą, pod kierownictwem prof. Daniela Błatmana z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. „Niestety prof. Błatman zamierza pozwolić polskiemu reżimowi na to, by ofiary Holokaustu po ich śmierci zamienić na polskich obywateli” – atakuje dr Dreifuss w rozmowie z portalem Jewish.pl. Ot, takie bezinteresowne sączenie jadu. Bezinteresowne?



**Piotr
Cywiński**

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Europejskie plany Niemiec

*Stare niemieckie idee,
w tym te z lat ostatniej wojny, powracają*

Zanika geopolityczny projekt pod nazwą Unia Europejska. Ledwie się zaczął, a nie chodzi tu o dawną Wspólnotę Węgla i Stali ani o EWG, ani o jego tzw. ojców założycieli (R. Schuman, A. De Gasperi, K. Adenauer), ale o powstały na czysto ideologicznych założeniach nowy twór polityczno-gospodarczo-społeczny związany przez 28 państw 7 lutego 1992 r. w holenderskim Maastricht. Od tej daty oraz od dnia wejścia w życie traktatu lizbońskiego i Karty Praw Podstawowych w 2009 r. należy obserwować licznik zanikania UE w jej obecnym kształcie. Został bowiem zbudowany na fałszywych przesłankach integracji państw europejskich, w tym kilku nowych, jak Polska, pod dyktando Niemiec i Francji, przy biernej akceptacji Włoch, w duchu sprzecznym z rozwojem Europy jako zbioru historycznych państw narodowych. Dlatego na patrona tej nowej Europy wybrano włoskiego komunistę Altiera Spinello, któremu nie chodziło tylko o wolne granice, co zagwarantowano w Maastricht, lecz również o europejskie wielkie państwo z własnym rządem i wojskiem. Popiersie Spinello znajduje się przy wejściu do Parlamentu Europejskiego, a jemu i jego „Manifestowi z Ventotene” oddano hołd na tej wyspie (Merkel, Hollande, Renzi), gdzie więzili go faszysty Mussoliniego.

Włoski patron nowej UE, wieloletni komisarz handlu i przemysłu, okazał się niezwykle wygodny dla Niemiec. To on pierwszy idei zjednoczonej, federacyjnej Europy, wolnej od wojen, upatrywał w nacjonalizmie państw. Trudno więc było oficjalnie, w tej akceptacji dla no-

wej ideologicznej koncepcji urządzenia Europy, upatrywać niemieckich aspiracji. Ale wciąż trudno odejść od europejskiego historyzmu. A ten wiele już widział i to, co dziś mogłoby się wydawać nowe, miało już swoje miejsce w historii, poczynając od Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Te trzy kraje, tworzące dziś główne jądro Unii czy tzw. pierwszą prędkość, próbowały już organizować się wspólnie nawet w warunkach wojennych. W planach ministra spraw zagranicznych III Rzeszy Joachima von Ribbentropa Europa miała być wielkim, jednolitym obszarem gospodarczym („Grosswirtschaftsraum”), który zapewni wielką europejską przestrzeń handlu i współpracy („Grosseuropäischer Raum”).

Lubię cytować opracowania, których treści nie znajdziemy w internecie. Niemiecki ideolog Alfred Oesterheld pisał: „Droga do gospodarki wielkoprzestrzennej wiedzie poprzez granice, poza własny naród. Jednakże gospodarka wielkoprzestrzenna nie jest tworem czysto gospodarczym, lecz raczej gospodarczą stroną koncepcji politycznej. [...] Władza centralna nadaje gospodarstwu obszaru ponadpaństwowego właściwy sens, decydując przy tym, jakie dobra mają być produkowane i jakie konsumowane. Ona [władza – przyp. W.R.] wydobydzie ze stanu przypadkowości podział pracy między poszczególnymi polaciami kraju, określony przez naturę i rozwój historyczny, i wyznaczy im właściwe miejsce w ogólnym obszarze gospodarczym”.

Już wtedy, w 1943 r., zastanawiano się nad przyszłą rolą Wielkiej Brytanii,

którą zamierzano podbić, militarnie czy pokojowo. Wówczas jednak postulowano, że taka uzależniona Anglia będzie musiała zrezygnować z roli ośrodka dyspozycji finansowej, handlowej i ekonomicznej. Europa według tych koncepcji miała być zwarta politycznie i gospodarczo, a ponadto scalona silną emocjonalną więzią europejską. To dlatego Niemcy podbiły państwa narodowe pod hasłem wspólnej Europy, wolnej od więzi narodowych, które miała zastąpić więź ponadnarodowa, europejska. Rządy państw podbitych, jak Polska, nazywano zdrajcami Europy, a atak na Związek Radziecki, przy współudziale wielu państw europejskich, prowadzono pod hasłami „budowy wspólnej Europy”. Doskonale wczuł się w to 70 lat później Radosław Sikorski, zwracając się do Niemców o przewodnictwo w Unii, czyli w Europie. Brexit udowodnił jednak, że nawet w warunkach pokojowych nie jest możliwa integracja europejska dyktowana ideologicznymi względami, za którymi kryją się de facto niemieckie interesy narodowe. Otwarte nawoływanie kanclerz Angeli Merkel o wyrzeczenie się przez państwa narodowe swojej suwerenności mogły być możliwe dopiero po angielskim brexicie. Trwa kolejna próba podporządkowania Europy federalistycznej niemieckiej wizji. Stare niemieckie idee, w tym te z lat ostatniej wojny, powracają.

Dla Polski i krajów Europy Środkowej wizja niemieckiej, wielkiej Europy jako „środka świata”, jako wielkoprzestrzennego organizmu konkurencyjnego dla Ameryki i wschodniej Azji to przygotowanie pod nowy polityczno-gospodarczy pakt ze współczesną Rosją, wymarzony przez Putina projekt Eurazji, a to grozi kolejną wojną, o czym zresztą wspominał ostatnio bez owijania w bawełnę Jean-Claude Juncker. 



Polska. To brzmi dobrze

Irak. Karakosz. Wraz z Bartkiem Rutkowskim z Fundacji „Orla Straż” wchodzimy do fryzjera. To będzie nasze najmilsze strzyżenie. Zakład powstał za pieniądze zebrane w Polsce. Widzowie „Komentarza tygodnia”, który publikuję co tydzień w internecie, mogą się czuć dumni – tak, to państwo ufundowali temu człowiekowi miejsce, dzięki któremu może teraz utrzymać swoją rodzinę. Strzyże nas fachowo i na dodatek – dla mnie to rarytas i powrót do dawnych czasów – goli brzytwą. Kilka domów dalej wchodzimy do schludnego sklepiku. Jego wyposażenie też ufundowali Polacy. Kupiliśmy także aparaty do spawania dla warsztatu ślusarskiego. Jedziemy do szkoły – chrześcijańskie dzieci brykają w najlepsze, wszędzie schludnie, widać rękę dobrego gospodarza. Tu również trafiły pieniądze z Polski. Datki widzów „Komentarza tygodnia” powędrowały ponadto do miejskiego szpitala. Są nowe okna, solidne drzwi – można leczyć w przyzwoitych warunkach.

Jedziemy do pobliskiej Bartelli, kościół św. Jerzego – nowe schody, drzwi, okna, wewnątrz ślady po grasowaniu barbarzyńców z ISIS, spalona Biblia, figury Chrystusa i Maryi z dopiero co poprawionymi głowami. Rozmowa z miłym proboszczem, filozofem po watykańskich studiach. Jest wdzięczny, bo wreszcie zobaczył tych mitycznych Polaków,

którzy ufundowali mu remont pięknej świątyni. Wszędzie witani jesteśmy ciepło. Polska ma tu pewne miejsce w sercach ludzi.



**Witold
Gadowski**

Wiosną 2015 r. siedziałem z nimi w nędznych namiotach, w piwnicach, w płataninie betonowych żeber powstającego dopiero centrum handlowego Ankawa Mall w Irbilu. Obiecowałem pomoc, uprzejmie kiwali głowami. Nie wierzyli, że kolejny dziennikarz z Zachodu cokolwiek dla nich zrobi. I rzeczywiście nic bym nie wskórał, gdyby nie widzowie „Komentarza tygodnia”. To oni ufundowali ten wspaniały powrót do wyzwolonego Karakosz. Dziś mogą być z siebie dumni, poprzez Fundację „Orla Straż” trafiło tu prawie 500 tys. zł. Karakosz uprzytomniło mi, że właściwie liczą się tylko nasze intencje i chęci, że wszystko jest możliwe.

Podróż przez dolinę Niniwy przekonała mnie także o tym, że nawet dziennikarz może coś zdziałać. Byłem już nieco doświadczony. Wiele lat temu udało mi się zorganizować dwa konwoje z pomocą dla ofiar wojny w Kosowie. Teraz to powrót do tamtych obrazów, ludzi. Wojna wszędzie wygląda podobnie.

Bez ludzi nic jednak by nie wyszło. Dlatego jeśli ktoś psiochy na Polaków, odchodzę, nie wdaję się w dyskusję. Ja spotykam dobrych ludzi i szczęśliwie żyję w dobrym kraju. **✓**

Opowieść powigilijna

Gdzieś na przełomie lat 70. i 80. koncertowaliśmy w Finlandii. Podczas zwiedzania kościołów mieliśmy szczęście trafić na nabożeństwo (mszę św. odprawiano tam raz na cztery tygodnie). Po naszym wejściu do świątyni frekwencja wzrosła o 100 proc.! Byliśmy jedynymi młodymi ludźmi pośród modlących się tam staruszek. Ksiądz się ożywił, serdecznie powitał nowych „parafian”, a po nabożeństwie zaprosił wszystkich wiernych na plebanię. Tam – przy herbacie i ciastkach – wypytywał nas o religijność Polaków. Nawet dziś niemożliwe byłoby w Polsce zaproszenie kompletu uczestników mszy na poczęstunek; nie pomieściłby ich żaden refektarz. Spyaliśmy zatem fińskiego duchownego, dlaczego w Skandynawii zabytkowe, przepiękne i monumentalne kościoły świecą pustkami. Ów winą za ten stan obarczył „poprawność polityczną” swych hierarchów. Tzw. nowoczesny Kościół przyzwalający na naginanie, omijanie nakazów i zakazów stanowiących fundament wiary utracił autorytet i moc oddziaływania. Po-

szerzanie stref „wolności” (zwłaszcza obyczajowej) sprzyjało hedonizmowi. Dekalog coraz bardziej wadził w drodze do „szczęścia”, lawinowo ubywało wiernych. Za kilka lat, wraz ze śmiercią ostatnich parafianek, misja naszego księdza dobiegnie końca. Opustoszałe świątynie zamieni się w muzea, restauracje, hotele itp. Lub wyburzy...



**Lech
Makowiecki**

Ten finał właśnie ziszcza się w Europie Zachodniej. Tradycyjna moralność i rodzina – świat wiecznych wartości – są dziś *passé*. Lewackie „przykazanie” – „róbta, co chceta” – dotarło już do Polski, demolując normalność i przyzwoitość. Zło wdarło się nawet do Kościoła; lawendowa V kolumna poczyni sobie coraz śmielej. Czy w porę wyciągniemy wnioski z błędów społeczeństw UE? Może nasze „zacofanie” uratuje kraj przed degrengoladą i upadkiem? Czy miłość i rozsądek pokonają rozprężenie i hucpę? Czy damy radę postawić tamę głupocie i egoizmowi? Życzeniowe „Szczęśliwego nowego roku” zależy poniekąd od nas samych. **✓**

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Otwórzmy drzwi

Prezenty gwiazdkowe już przestały cieszyć, butelki po szampanie dawno na wysypiskach śmieci, place miejskie posprzątane po hucznych zabawach i koncertach noworocznych. Już nawet po Święcie Trzech Króli (jak wiemy, „nowoczesny” liczebnik może być inny). Ale Boże Narodzenie to także czas kolęd, tego jedyne w swoim rodzaju pielgrzymowania kapłana do miejsc świętych codzienności, do domów, do rodzin. To tradycja bardzo długa. Teraz jednak okazuje się szkodliwa. Mainstream przypuszcza huraganowy atak na kolędy. Woła, aby nie wpuszczać „pasibrzuchów”, aby nie dawać tzw. kopert, aby odżegnywać od tego sąsiadów i znajomych. To takie namacalne wyrzucanie Kościoła z życia, zamykanie go w kruchcie. Ktoś się więc chwali, że przyjmie księdza, ale w czasie kolędy będzie miał włączony telewizor z filmem „Kler”. Ktoś inny da kopertę z karteczką: „Nie przychodź tu więcej”, a jeszcze inny poda herbatę z silnym środkiem przeczyszczającym. Nie wymyśliłem tego, wystarczy zajrzeć do internetu. Istnieją nawet antykolędowe fora. A tam pełno przypowieści o pijanych kolędnikach, chciwych i bezczelnych. Wszystkie rzecz jasna „autentyczne”. W wielu miejscach do domów najpierw pukają ministranci, aby zapytać, czy mieszkańcy przyjmują kolędę. W ten sposób ksiądz może uniknąć upokorzeń i zwyczajnego prostactwa.

Wiele emocji wzbudzają datki tradycyjnie przekazywane w kopertach. Wszak nic nas tak nie zajmuje, jak liczenie komuś pieniędzy. A w stosunku do kapłanów robimy to nader chętnie. Tymczasem parafia to także gospodarstwo, ekonomia przychody i rozchody. Polska ma to „nieszczęście”, że jest wiele bardzo, bardzo zabytkowych kościołów. Stanowią one nieocenione źródło poznawcze naszego kulturowego dziedzictwa, świadectwo cywilizacji, a nierzadko są to unikatowe galerie sztuki. Świadomie pomijam tu wymiar metafizyczny, gdyż nie da się go wycenić. Czy te obiekty nie wymagają troskliwej opieki? Czy dzięki poprzednim pokoleniom kapłanów i m.in. kolędom datkom nie przetrwały do naszych czasów, by i nas zachwycić? Na co więc nie dawać tych nieszczęsnych kopert? Na dach świątyni, remont organów, a może na naczynia i szaty liturgiczne? Wstydziłbym się nie dać raz do roku kwoty kilkakrotnie większej niż niedzielna taca. A czyż kapłan nie musi się

ubrać, jeść, wyjechać, wyremontować plebanię, kupić golarki, benzyny, leków?



**Aleksander
Nalaskowski**

*Zajadłość, z jaką się dzisiaj
próbuję tę bardzo polską
tradycję zniszczyć, podeptać
i upokorzyć, jest zupełnie
niezwykła*

Kolęda to także okazja do rozmowy z duszpasterzem. Doskonała również do tego, aby mu w oczy, wprost, z podniesioną przyłbicą powiedzieć, co nas razi, co się nie podoba, jakie są nasze wątpliwości. To też okazja, by posłuchać jego argumentów i wyjaśnień. Korzystajmy z niej i nie knujmy po kątach, nie plotkujmy, miejmy odwagę. Ilu z nas z tego skorzystało? Mnie się zdarzało. Jakoś ani moja, ani proboszczowa korona z tego powodu z głowy nie spadła. Bodaj chodziło wtedy o grafik mszy. Ksiądz wysłuchał i zmienił.

W dzieciństwie kolęda była czymś niezwykłym. Sprzątało się gruntownie mieszkanie, które po świętach z ciżbą ludzi zdążyło się już zakurzyć, wkładało białą koszulkę i wiązało aksamitkę pod szyję, a mama szykowała odświętny serwis kawowy i zakładała garsonkę. Tato wiązał krawat i drugi raz tego dnia się golił, spryskując przemyślawką. Obecność księdza w domu była prawdziwym świętem. Funkcjonowała giełda informacji, u kogo aktualnie kolędnicy przebywają, kiedy mogą dotrzeć do nas. Niektórzy pożyczali lichtarze i krucyfiks od tych, u których już kolęda była. Ale nikt nie kreował niechęci wobec osób, które księdza nie przyjmowały. Byli to z reguły milicjanci, zawodowi wojskowi,

jacyś urzędnicy miejscy. Ale widywało się kapłana po cywilnemu pukającego późnym wieczorem do drzwi takiego „ateisty”, już bez obstawy ministrantów. Była wszak dość popularna instytucja „prywatnych”, a może lepiej „sekretnych” kolęd. W końcu jak trzeba było, to i Jezus chodził do Nikodema nocą...

Zajadłość, z jaką się dzisiaj próbuję tę bardzo polską tradycję zniszczyć, podeptać i upokorzyć, jest zupełnie niezwykła. Pokazuje bowiem, jak wielką jest determinacja przeciwników chrześcijaństwa, a tym samym przeciwników korzeni naszej cywilizacji, hierarchii wartości, systemu etycznego. Koperty są tu tylko pretekstem, bo kwoty niewielkie i niewarte krzyku. Tu idzie o coś więcej, o obecność „klechów” w naszej codzienności, a tak naprawdę o obecność Boga w życiu, a i w ogóle o jego obecność. Aż chciałoby się zapytać – jeśli ksiądz mówi coś złego, coś przeciwko życiu, to mu to udowodnijcie, a jeżeli nie, to dlaczego ich bijecie, arcykapłani nowej wiary? Czy wam tak zwyczajnie nie wstyd?

PRZEZ ŚWIETLIK

Po co nam mamut?

Polska Agencja Prasowa właśnie doniosła, że w Krakowie odkryto pierwszy na świecie dowód, iż nasi przodkowie polowali na mamuty. Corpus delicti nie pozostawia złudzeń – grot z krzemienia wbity w kość zwierzęcia sprzed 25 tys. lat. Gdyby współcześni miłośnicy zwierząt dopadli działających kilkanaście tysięcy lat temu pod przyszłym kopcem Kościuszki myśliwych, to tym ostatnim trudno byłoby się wykiąć twierdzeniami, że zwierzątko się potknęło albo trafiło na innego, silniejszego osobnika.

Sprawa mnie zdziwiła z całkiem innego powodu. Do tej pory byłem święcie przekonany, że rzecz jest dawno sprawdzona. Że to, iż dzia dziołowie polowali na te wielkie zwierzęta, by przynieść pożywienie babuniom, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Przecież nawet w dziecięcych, pierwszych podręcznikach historii są rysunki gromady ubranych w skóry dzikusów, ze sporym narażeniem życia walczących z uzbrojonym w kły olbrzymem. Przecież te książki dopuszczają jakieś gremia naukowe, a tu się okazuje, że rysunek zawierał tylko hipotezę, której wielu naukowców do zeszłego tygodnia była przeciwna.

Nie dotyczy to tylko mamutów. Przy okazji zapoznawania się z popularnym serialem sprzed pięciu lat o wikingach prześledziłem dyskusję w internecie na ten temat. Jako żywo przypominają próby dyskwalifikacji rodzimej „Korony królów”, bo w serialu przykładowo pojawiały się ubrania w jakimś tam kolorze, a za ostatnich Piastów jeszcze takiego barwnika nie znano. U mnie też ileś tam rzeczy



**Wiktor
Świetlik**

*Jeśli losów wikingów czy
Kazimierza Wielkiego nie
odnosić do współczesności,
to popularyzacja historii
traci jakikolwiek sens*

w „Wikingach” wzbudziło podejrzenia (włączając oczywiście konieczne dla współczesnego kina wątki polityczno-poprawne). Ale – szczerze mówiąc – przecież my o tym okresie niemal nic nie wiemy, a przynajmniej prawie nic nie wiemy na pewno. Mamy dziś poważnych naukowców, archeologów, choćby prof. Przemysława Urbańczyka, którzy twierdzą, że dawny podział plemienny na ziemiach polskich, który przecież porządkuje naszą wiedzę o rodzimej geografii, nie istniał albo w najlepszym razie nie jest dostatecznie dowiedziony.

Co więc zrobić? Naukowcy muszą walczyć z faktami, czasem się o nie spierać, ale uważam, że dla pisarzy, filmowców, autorów seriali kluczowe jest tylko to, jak bazując na podstawowych faktach, odniosą rzeczywistość do współczesności. Jest taka szkoła („idiograficzna”) mówiąca, że historia ma tylko rejestrować fakty, nie odnosić ich do współczesności, nie wyciągać zasad ani praw. W takim razie możemy z niej zrezygnować w ogóle. Tym bardziej w przypadku kultury: masowej lub nie. Bo czy to będą „Wikingowie”, czy „Korona”, czy Sienkiewicz lub Cherezińska, mamy do czynienia nie z opisem historycznym, ale z wyobrażeniem autorów o tamtych czasach. Paru takich udanych nowych wyobrażeń, pozbawionych politycznej poprawności, za to z wartką akcją sobie i państwu w Anno Domini 2019 życzę.

A co do tytułowego pytania – nie wiem, po co nam mamut z grotem w kości, ale po coś na pewno jest. Każdy może wyciągnąć swoje wnioski.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

E-prenumerata

SIECI

wSIECI HISTORII

9,99 zł za miesiąc

Zamów na:
SiećPrzyjaciół.pl



Poszkodowanym reformą na otarcie łez

Kiedy biegłam w kierunku Sądu Najwyższego, żeby pocieszyć Małgorzatę Gersdorf rozczarowaną ogłoszeniem przez prezydenta jej dymisji ze stanowiska prezesa Sądu Najwyższego, na rogu Miodowej i Długiej zламаłam obcas w swoich włoskich szpilkach. Mimo to nie zatrzymałam się do momentu, kiedy na pierwszym stopniu schodów do wnętrza gmachu SN poczułam ostry ból w kostce. Po demonstracji wylądowałam na ostrym dyżurze. Diagnoza nie pozostawiała wątpliwości – pęknięte śródstopie. Trzy tygodnie miałam nogę w gipsie.

Genowefa Królik, Warszawa, Czerska 8a, (naprzeciwko „Gazety Wyborczej”)

To jeden z setek tysięcy wniosków skierowanych do Komisji przyznającej odszkodowania dla Osób Poszkodowanych Reformą Wymiaru Sprawiedliwości. O konieczności wypłaty takich odszkodowań przez rząd PiS zdecydowała tzw. dyrektywa Timmermansa nr 2, zatwierdzona w jawnym głosowaniu przez Parlament Europejski na początku stycznia tego roku.



**Jerzy
Jachowicz**

Dodam tylko, że wedle dyrektywy nr 1 ok. 4 tys. polskich sędziów (według stanu na 1 lipca 2017 r.) automatycznie zostało uznanych za poszkodowanych i każdemu z nich polski rząd winien wypłacić do końca stycznia 2019 r. 5 tys. euro. Tym zaś, którzy potrafią udokumentować swój udział w protestach przeciwko reformie – bez względu na formę sprzeciwu (udział w manifestacjach, podpisanie protestacyjnych apeli oraz noszenie koszulek z napisem „Konstytucja”) – po 10 tys. euro. Rządowa administracja niestety nie jest w stanie się uporać z wypłatami dla zwykłych obywateli, którym Komisja przyznała odszkodowania (od 500 do 2 tys. euro). Do kas tworzą się olbrzymie kolejki. Uruchomiono je tylko w miastach wojewódzkich, choć jądra oporu przeciwko reformie powstawały także w wielu miastach powiatowych.

W następnym numerze zamieścimy wstrząsający reportaż opowiadający o tym, jak Komisja złośliwie odrzuciła wniosek o odszkodowanie byłego szefa KOD Mateusza Kijowskiego.

Ciekawe, że Lech Wałęsa domaga się odszkodowania w wysokości 100 tys. euro.

AUTOPROMOCJA

Nowe wydanie w kioskach!

**wSIECI
HISTORII**

W numerze:

- **KRÓL SKANDALISTA**
Jak Henryk Walezy został władcą Polski?
- **HUBERT KOSTKA I SB**
Zmagania słynnego piłkarza z bezpieczeństwem
- **BRATNIE PAŃSTWA**
Jak rozszły się drogi Polski i Czech?



DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.

WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII

CO MNIE WKURZA

Zachować pamięć

W okresie świąt Bożego Narodzenia leciwy kapitan Armii Krajowej Zbigniew Radłowski wygrał proces w polskim sądzie o zniesławienie dobrego imienia żołnierzy AK przez film wyprodukowany w Niemczech „Nasze matki, nasi ojcowie”.

Ten film był emitowany przez TVP1 w czasach, kiedy telewizją rządziły PO-PSL, bez jakichkolwiek wyjaśnień, że jest to obraz historycznie kłamliwy, bezpodstawnie godzący w dobre imię AK, ludzi, którzy przeżyli te czasy, oraz w spakobierców żołnierzy. Polska była jedynym państwem w Europie, w którym za pomoc Żydom groziła kara śmierci. Całe rodziny były rozstrzeliwane i mordowane wraz z małymi dziećmi. Takich przykładów mamy wiele. Najwięcej drzewek posadzonych w Yad Vashem to drzewka Sprawiedliwych wśród Narodów Świata Polaków. Mało tego, Polskie Państwo Podziemne zorganizowało pomoc dla Żydów – słynną Żegotę. Niemcy chcą teraz wybielać swoją historię. Nagle to nie oni zabijali. To ponoć nie Niemcy zamordowali mojego ojca w Oświęcimiu, tylko hitlerowcy i naziści. Wtedy tak nie mówiliśmy. Były to dla nas szwaby.



**Katarzyna
Łaniewska**

W Polsce zdarzały się jednostkowe przykłady szmalcówników, którzy za pieniądze bądź ze strachu wydawali Żydów.

To nie artyści polscy w czasie okupacji jechali do Hitlera, by przed nim występować. To byli największy aktorzy francuscy. Ich się nie dotyka, nie rozlicza.

W filmie „Nasze matki, nasi ojcowie” szkaluje się do bre imię AK i starych już ludzi, którzy muszą dochodzić swoich praw i szacunku dla swoich kolegów w sądzie. Sąd wydał wyrok, że należy przeprosić. Ale ma się odbyć rewizja wyroku w sądzie niemieckim. Jestem więc nie pewna, że Niemcy nigdy nas za to nie przeproszą.

Przy okazji chciałam zapytać, gdzie był wtedy rząd polski, gdzie było sądownictwo, które nie rozliczyło prezesa polskiej telewizji Juliusza Brauna. Usiłował się on wytłumaczyć, że my też sprzedajemy swoje tendencyjne filmy do Niemiec. Może były one tendencyjne, ale nie kłamliwe.

Kapitan doczekał się małej satysfakcji. Chce ocalić pamięć. Apelowal do młodego pokolenia, żeby nie zapomniało o prawdzie historycznej i punktowało to, co nieprawdziwe. Ja też o to apeluję do swoich dzieci, wnuków i prawnuków.

AUTOPROMOCJA

TRASA KONCERTOWA 2018/2019



pospieszalskich kolędy

- 08.01 Litwa – Soleczniki
- 09.01 Litwa – Troki
- 10.01 Łotwa – Ryga
- 11.01 Litwa – Wilno
- 13.01 Warszawa Bemowo
- 17.01 Mielec
- 18.01 Opatów
- 19.01 Moszczenica
- 20.01 Łódź
- 24.01 Częstochowa
- 25.01 Cieszyn Czeski
- 26.01 Starachowice
- 27.01 Kielce KCK
- 01.01 Chełm
- 02.02 Zamość

 [koledypospieszalskich](https://www.facebook.com/koledypospieszalskich)

Partner trasy
koncertowej:



niezależna

W POLSCE PL



Rysuje Jerzy Wasiukiewicz



TRENDY I OWĘDY

2019
rokiem hejtu

Ten rok dla ludzi na poziomie kultury może być wyzwaniem

Debata” pod auspicjami totalnej niedyspozycji ma na celu jedno – spro-
wokowanie PiS i jego zwolenników. Metoda ta jest dla schetynistów jedynym sposobem przetrwania. Do zaoferowania ludziom mają tyle, ile prezydent Rafał Trzaskowski w Warszawie. No, fajerwerki to nie są. Mogą być jedynie wściekliczną antypisowską. „Hejt! Hejt! Hejt sokoly...” – to ich przyśpiewka.



**Ryszard
Makowski**

W szalejącej pyskówce nie liczą się rzeczowe argumenty. Im ktoś jest większym gburem czy chamidłem, tym ma większe szanse. I tu trudno się dziwić postępowaniu opozycji. Każdy rzuca na szalę to, w czym czuje się mocny.

Niestety, doradcy dobrej zmiany doszli do wniosku, że należy postawić na polityczną kindersztubę. Nawet prof. Pawłowicz doradzano, żeby się wycofała z wpisów na Twitterze, choć nic bulwersującego nie publikuje.

Taktyka – będziemy fajni, to nas polubią ci niezdecydowani – jest bardzo ryzykowna. Pokazały to wybory samorządowe. Dobrzy kandydaci PiS przegrywali z wyjątkowo miernymi kontrkandydatami. Niektórych, jak choćby prezydenta Gdańska, to nawet PO się wstydziła. W wyborach do europarlamentu będzie atak polexitem. Czy opowieści o wyższości moralnej wystarczą? PiS powinno ruszyć do zdecydowanej szarży, na konkretnej zasadzie: albo chcecie zdrajców i obcą agenturę w Brukseli, albo przedstawicieli Polski. Hejt niech się hejtem odsciska.

I nie ma co być ugrzecznionym wobec zwykłej hołoty. To się nigdy nie kalkuluje i przy urnie wyborczej też.

Zawistowski prezentuje: **Rok wyborczy**



Wycinki z przeszłości

Tak witał czytelników w nowym roku magazyn „7 Dni” z 1 stycznia 1931 r. We wstępniaku redakcja zauważa, że „jesteśmy w stanie wrzenia ideologicznego, że podobnie jak na całym świecie, ścierają się i u nas najrozmaitsze ze sobą prądy, a idee, które do niedawna mogły sobie rościć prawo do miana powszechnych, podmywane są przez nowe”. Co więcej, zauważano, „jedni twierdzą, że cała cywilizacja zachodnioeuropejska jest w stanie upadku, rozkładu, że człowiek załamał się moralnie i nie jest już zdolny do wyrzucenia z siebie woli innego, lepszego życia, lecz po-graża się coraz głębiej w bagno, które go w końcu pochłonie”. Na szczęście są i optymiści, którzy podkreślają, że „obecne czasy są czasami przejściowymi. Kataklizm, jakim była wielka wojna, musi mieć swoje następstwa”.

Zdaniem redakcji „7 Dni” w sumie jednak „człowiek, mimo wszystkich grzechów i zbrodni, które ciążyą na jego sumieniu, nie jest ostatecznie złym ani z gruntu, ani do gruntu. W dorobku swoim na przestrzeni tysiącleci ma on także wiele dobrego. Ufamy, że Dobro na szalach świata ostatecznie przeważy”.

Ufamy i my! A zatem – dobrego roku dla wszystkich czytelników tygodnika „Sieci”, niech spełnią się dobre marzenia.

(mk)



Z pochylonym czołem

K.K. Baczyński (1921–1944)

*Ballada o trzech królach
Tajemnicę przesypując w sobie
jak w zamkniętej kadzi ziarno,
jechali trzej królowie
przez ziemię rudą i skwarną.
Wielbłąd kobysał jak maszt,
a piasek podobny do wody;
i myślał król: „Jestem młody,
a nie minął mnie wielki czas.
I zobaczę w purpurze rubinów
ogień, siły magiczny blask;
może stanę się mocniejszy od czynów
przez ten jeden, jedyny raz”.*

*Tygrys przeżył siłę jak wąż,
mięśnie w puchu grały jak harfa.
Na tygrysie jechał drugi mąż,
siwą grzywę w zamyśleniu szarpał.*

[...]

*Trzeci król na rybie
wielkiej jak wyspa jechał
przez stępy podobne szybie
błękitnej pod wiatru miechem.
Nucił: „Po latach stu
kwiat początku i końca ogień
w jedno koło związanych nut
gdy zobaczę, sam się stanę Bogiem.
W suche liście moich ciemnych ksiąg
spłynie mądrość odwiecznych gwiazd
i osiadzie w misie moich rąk
przez ten jeden, jedyny raz”.*

[...]

*I spojrzeli nagle wszyscy trzej,
gdzie dzieciątko jak kropla światła,
i ujrzeni, jak w pękniętych zwierciadłach,
w sobie – czarny, huczący lej.
I poczuli nagle serca trzy,
co jak pięści stężały od żalu.
Więc już w wielkim pokoju wracali,
kobysani przez zwierzęta jak przez sny.
Wielbłąd z wolna huśtał jak maszt,
tygrys cicho jak morze mruczał,
ryba smugą powietrza szła.
I płynęło, i szumiąco w nich jak ruczaj.
Powracali, pośpieszali z wysokości
trzej królowie nauczeni miłości.*



Leszek Długosz

CENNIK

PRENUMERAT*

	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Nauczyciel na wojnie (kulturowej)

Mniemając niekiedy, że jesteśmy bardzo racjonalni, wyrabiamy sobie poglądy na ważne sprawy społeczne nie na podstawie faktów, ale emocji, sympatii, uprzedzeń, presji środowiska czy pobożnych życzeń. Ludzkie umysły są tak skonstruowane, że w wielu sprawach myślimy i działamy automatycznie, dopiero po czasie dorabiając sobie uzasadnienia.

W dodatku często chyba jest tak, że im ktoś jest bardziej wykształcony i przekonany o tym, że posiada wiedzę umożliwiającą mu samodzielne ocenianie świata, tym łatwiej taką osobą manipulować.

Pamiętają państwo, jak przed wejściem w życie obiecanej przez Prawo i Sprawiedliwość reformy obejmującej likwidację gimnazjów głoszone było powiednie, że pracę straci 20 tys. nauczycieli? I że nie tak mała część środowiska nauczycielskiego w takie straszenie uwierzyła?

ROZMOWA

Przypomniało się to nam w kontekście zasłyszanej nauczycielskiej rozmowy. Oto jeden z jej motywów: „Ja w życiu nie zagłosuję na PiS! Jestem nauczycielką! Kto jak kto, ale my, nauczyciele, nie możemy pozwolić na ten ciemnogród!”. „Tak, tak” – zgodnie potwierdzają pozostali, aż ktoś rzuci: „A właściwie co masz na myśli z tym ciemnogrodem?”. Pytanie wzburza towarzystwo. Mimo ożywienia nie pojawił się jednak żaden konkretny przykład ciemnogrodu, poza jednym. Podanym przez nauczycielkę, która z ciemnogrodem chce walczyć: „Macie coś przeciwko homoseksualistom? Są tacy sami jak my. I dzieci też mogą wychowywać. Mają prawo. Na pewno będą dobrymi rodzicami, tolerancyjnymi!”. Potem rozmowa zupełnie zmieniła temat.

CZYJ POSTULAT?

W niektórych krajach małżeństwa jednopłciowe i ich prawo do adopcji dzieci zostały zalegalizowane. Głównie pod hasłami praw człowieka.

Czy wiemy jednak, dla jakiej części środowisk homoseksualnych to postulat ważny – jaka jest faktyczna gotowość do wchodzenia w stałe związki i adopcji dzieci? W jakim zaś stopniu jest to część programu radykalnej lewicy, której celem jest podważenie (a nie wzmocnienie) rodziny i dla której

środowiska LGBTIQ są tylko instrumentem inżynierii społecznej, jak niegdyś klasa robotnicza dla bolszewików oraz ich zachodnich sojuszników?

Marksizm ekonomiczny – postulujący likwidację prywatnej własności środków produkcji – upadł. Tymczasem marksizm kulturowy jakoś świetnie się wpisał w kapitalizm. Można powiedzieć, że dogadał się z wielkim kapitałem.

A marksizm kulturowy programuje wyzwolenie ludzkości przez atak na trzy ważne filary ładu społecznego – na rodzinę, religię i naród.

RZECZ SŁABO ZBADANA

Propagowanie homoseksualizmu (szerzej LGBTIQ) jako całkiem naturalnego i bezdyskusyjnego wzorca życia stało się już wyraźnym trendem kulturowym. Dla nas dziwnym, częściowo trudno zrozumiałym. Czy jest on należycie badany, analizowany przez nauki społeczne?

Jak np. wygląda skala przemocy domowej w takich rodzinach? Jak przebiega socjalizacja dzieci do różnych ról społecznych, do różnych ludzkich temperamentów, stylów myślowych w rodzinach jednopłciowych? Jaki jest poziom autorytaryzmu w takich rodzinach? Jaka jest ich trwałość? Jak wygląda akceptacja takich rodzin dla dzieci wykazujących skłonność do wchodzenia w tradycyjne, czyli – jak powiadają – „heteronormatywne” wzorce ról osobowych?

Wszystkie takie kwestie powinny być wielokrotnie przebadane, przedyskutowane, zanim ktoś uważający się za osobę racjonalną, oświeconą zajmie poważne stanowisko w tak istotnym sporze. Jednak choć na Zachodzie badania przeprowadzono, to na małych próbkach, na podstawie których nie można wyprowadzać wiarygodnych uogólnień.

Dlaczego jest to spór istotny? Bo rzecz dotyczy samych fundamentów ładu społecznego – jego stabilności, przewidywalności, przestrzeni dla rozwoju i różnorodności.

Z DUCHEM CZASÓW?

Nauczyciele nie powinni być zacofani, powinni nadążać za wieloma trendami, bo przecież ich misją jest przygotowywanie dzieci i młodzieży do dorosłego życia. A co, jeśli nauczyciele tak podążają za duchem czasów, że nie znajdują chwili na głębszą refleksję nad tym, co są gotowi popierać?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Zawsze w trendzie wzrostowym

Portal pełen informacji
i opinii **ogospodarce**

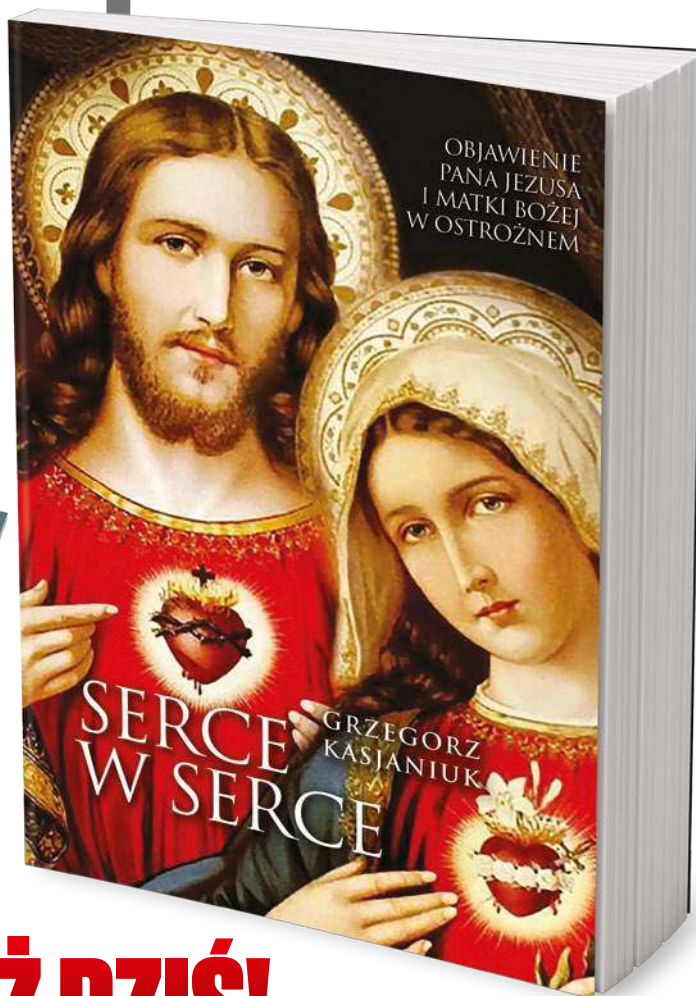


**Najstarszy
magazyn ekonomiczny
w Polsce**

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i miesięcznik
wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę „Serce w serce”
otrzymasz **gratis!**



ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

Sprawdź dostępność książek
na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

tel. 22 616 15 70

prenumerata@fratria.pl

www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 765807a084